KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 9/215** **1965**



• « La Culture » • Revue mensuelle •

M. MIHAJLOV :
MARTWY DOM DOSTOJEWSKIEGO I SOŁŻENICYNA

P. KOTWICZ :
POKOLENIE POLSKI LUDOWEJ

J. MIEDZIŃSKA : **BEZROBOCIE W POLSCE**

W. JEDLICKI : **MAŁY KODEKS KARNY**

SPIS RZECZY

Mihajlo Mihajlov:	*Martwy Dom Dostojewskiego i Sołżenicyna*	3
Józef Mackiewicz:	*Wtrącenia do przekroczonego czasu*	35
Witold Gombrowicz:	*Fragment z dziennika*	53

WIERSZE

Kazimierz Wierzyński:	*Wiersze z Włoch*	64
Jan Leszcza:	*Ten ruch morza jest wszędzie obecny*	68
Krystyna Bednarczykowa:	*Biała flaga*	71
» »	*Out of bounds*	71

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Polityczne neurozy*	73
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	81
S. W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	88

KRAJ

Gaston de Cerizay:	*Podziemie gospodarcze*	93
Piotr Kotwicz:	*Pokolenie Polski Ludowej*	98
Janina Miedzińska:	*Bezrobocie w Polsce*	102
Witold Jedlicki:	*Mały kodeks karny*	111

SPRAWY I TROSKI

Danuta Irena Bieńkowska:	*Mickiewicz w Kanadzie czyli z czego były te gołąbki*	120

KRONIKA KULTURALNA

Józef Poniatowski:	*Stanisław Gryziewicz*	124
Damian Wandycz:	*Jan Wszelaki*	126
T. Ś.:	*Aleksander Kawałkowski*	123
Walerian Rewucki:	*Motywy polskie w twórczości M. Rylskiego*	130
—	*Komunikat*	134

KSIĄŻKI

Milica D. Kirkoff:	*Dwie antologie poezji polskiej w Jugosławii*	135
Zygmunt Markiewicz:	*Poeci poetom*	139
Mieczysław Młotek:	*„Opowiadania starego kaprala"*	142
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	145

◆

Z. Buczewski, J. Giertych, K. Krótki, Redaktor, W. M. Marcinkowski, W. N., St. J. Paprocki, I. C. Pogonowski, J. Poniatowski, I. Słowikowska, P. Szandruk, W. A. Zbyszewski, St. Żochowski, Redaktor:

Listy do Redakcji 146

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1965

INSTYTUT LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Mihajlo MIHAJLOW. Ur. 26 września 1934 r. w Pancevo, Jugosławia. Ukończył liceum w Sarajewie a w 1959 wydział filozoficzny na Uniwersytecie w Zagrzebiu w dziedzinie literatury porównawczej. Potem otrzymał stypendium państwowe dla studiów nad współczesną literaturą rosyjską. W roku 1964 został asystentem katedry literatury w Zadarze. Od 1957 r. zajmuje się eseistyką i publicystyką. Jest ponadto sekretarzem Związku Zawodowego pracowników Wydziału filozoficznego i Instytutu Historii Jugosłowiańskiej Akademii Nauk w Zadarze.

◆

Walerian REWUCKI, ur. w 1911 r., w Irżawcu, k. Połtawy, Ukraina. Wykształcenie średnie uzyskał w Kijowie, wykształcenie wyższe w Moskwie (Państwowy Instytut Teatralny — Sekcja Teorii, 1937-1941). Spełniał obowiązki docenta przy Kijowskim Konserwatorium Muzyczno-Dramatycznym (1941-1943). W 1943 roku wywieziony przez hitlerowców do Niemiec do obozu pracy *(Ost-Arberier Lager)*. Przybył do Kanady w 1951 r. Obecnie wykłada literaturę rosyjską na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii w Vancouver. Autor wielu artykułów z dziedziny historii rosyjskiej i ukraińskiej literatury i teatru, ogłaszanych w czasopismach naukowych kanadyjskich, amerykańskich, rosyjskich i ukraińskich.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Józefa Turska, Ste Anne de Bellevue, Que. (Kanada po raz jedenasty	F. 45,00
Dr S. N. Korzeniowski, Ladd. Ill. (USA) po raz piętnasty ..	F. 73,50
Wilhelmina Skroczyńska, Brooklyn, N. Y. (USA) po raz szósty	F. 24,50
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz trzeci	F. 100,00
Aleksander Grzonka, Gossau, St. Gallen (Szwajcaria) po raz dziesiąty	F. 24,50
Kazimierz Zdziarski, Caracas (Venezuela) po raz siódmy	F. 24,00
Irena Dyrcz, Gloversville, N. Y. (USA) po raz trzeci	F. 24,50

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Martwy Dom Dostojewskiego i Sołżenicyna

(PRZYCZYNKI DO FENOMENOLOGII NIEWOLNICTWA)

Jestem człowiekiem. Nie śmiejcie się, ja naprawdę jestem człowiekiem".
(Hermann Goering — przemówienie w Sportpalast w 1939 roku)

„Mimo, że w codziennym życiu każdy sklepikarz doskonale zna różnicę między tym, co ktoś mówi o towarze a rzeczywistą wartością tego towaru, to nasza historiografia nie osiągnęła jeszcze stopnia tak prostego rozpoznania. Wierzy ona każdej epoce na słowo honoru, wierzy w to co ta epoka mówi sama o sobie i co wyobraża".
(K. Marx i F. Engels — „Niemiecka Ideologia")

W jedenastym numerze najbardziej reprezentatywnego sowieckiego czasopisma literackiego „Nowyj Mir", w roku 1962-im ukazało się opowiadanie A. Sołżenicyna — „Dzień Iwana Denisowicza", tematycznie związane z sowieckimi obozami koncentracyjnymi. W pierwszym rzędzie dzięki zakazanemu dotychczas tematowi, a dalej dzięki niewątpliwie wielkiej wartości, opowiadanie to ściągnęło na siebie uwagę całego świata i przyniosło autorowi zasłużoną sławę. W rekordowym czasie zostało ono przetłumaczone na wiele języków, a polemika wokoło opowiadania trwa tak na Zachodzie jak i w ojczyźnie pisarza, gdzie kandydowało ono do nagrody Lenina i weszło do finałowej selekcji siedmiu tytułów. (Nagrodę otrzymał kto inny — przyp. tłum).

Dokładnie przed stu laty, w roku 1862-im, wyszło spod prasy dzieło, które również przyniosło światową sławę innemu rosyjskiemu pisarzowi, F. M. Dostojewskiemu, a którego tema-

tem była syberyjska katorga. Zwało się ono „Zapiski z Martwego Domu".

Pomiędzy historycznymi realiami i tematyką dzieł owych dwu rosyjskich pisarzy istnieje wiele podobieństw i wiele różnic, a fakt, że chodzi o dwu wielkich pisarzy (przyjmując, że już dziś możemy tak określić Sołżenicyna), którzy z byle jakich danych statystycznych i z analizy ekonomiczno-socjalnej złożyli głęboki obraz czasu i człowieka — umożliwia nam przez porównanie żywej rzeczywistości ich dzieł dojrzeć podobieństwa i różnice między dwoma światami, dwoma sposobami życia, dwiema epokami, dwoma wiekami — dziewiętnastym i dwudziestym.

Utwory obu pisarzy pojawiają się w przełomowym momencie życia ich kraju. W roku 1861-ym zniesiono pańszczyznę w rosyjskim imperium. W roku 1956-57 rozwiązano większość sowieckich obozów koncentracyjnych. Obaj pisarze doświadczyli na własnej skórze życia, które opisują. Dostojewski przeżył cztery lata w omskiej katordze, Sołżenicyn osiem lat w syberyjskim obozie koncentracyjnym. Na pewno jednemu i drugiemu potrzebne było pewne usprawiedliwienie się z niecodziennego i „drażliwego" tematu. Dostojewski w kilku miejscach podkreśla, że takich katorg, o jakich pisze, już więcej nie ma: „Opisuję teraz przeszłość, zdarzenia dawno minione...", „...w tej niedawnej przeszłości, którą wspominamy na świeżo, ale w którą tak trudno uwierzyć", „Wszystko co tu piszę o karaniu i biciu, było za moich czasów. Słyszałem, że teraz się to zmieniło i zmienia dalej".

W zastępstwie Sołżenicyna tak samo postępuje Twardowski, redaktor „Nowego Mira", który w artykule „Zamiast Przedmowy", gdzie przedstawia Sołżenicyna sowieckim czytelnikom, pisze:

„Życiowy materiał, który służy za fundament opowiadaniu A. Sołżenicyna, jest w sowieckiej literaturze niezwykły. Jest w nim echo owych bolesnych objawów naszego rozwoju, związanych z okresem obalonego i odrzuconego przez partię kultu jednostki, a które nam, nie tak znów bardzo odległym w czasie, wyglądają na daleką przeszłość. Ale jaka by ta przeszłość nie była, nigdy nie pozostaje ona bez związku z teraźniejszością. Warunkiem pełnego i niepowrotnego zerwania z całą ową mroczną przeszłością jest prawdziwe i odważne rozpoznanie jej skutków".

Bohaterzy obu dzieł — Aleksander Piotrowicz Gorianczykow i Iwan Denisowicz Szuchow — są skazani i odsiadują po dziesięć lat, ale kiedy „Zapiski z Martwego Domu" przedstawiają pomysłowo wyimaginowane wspomnienia Gorianczykowa dotyczące całego okresu uwięzienia, Sołżenicyn pokazuje to samo co i Dostojewski, obserwując życie, słowa, myśli i czyny swego

bohatera w granicach tylko *jednego* dnia, od porannej pobudki do momentu, kiedy Iwan Denisowicz zapada w sen. Między dziełami Dostojewskiego i Sołżenicyna są podobieństwa, których nie można przypisać wpływowi wielkiego klasyka rosyjskiego, a jedynie podobnej sytuacji życiowej obu autorów. I Iwan Denisowicz Szuchow i Aleksander Piotrowicz Gorianczykow śpią na takich samych pryczach obok młodego człowieka, który u Dostojewskiego nazywa się Alej, u Sołżenicyna — Aliosza, obaj zresztą nie tylko z imienia, ale psychicznie i fizycznie są podobni do siebie. Dagestański Tatar Alej, którego Gorianczykow alias Dostojewski uczy czytać i pisać, wygląda tak:

„Uśmiech jego był tak ufny, tak dziecięco prostoduszny, żem patrząc na niego czuł zawsze szczególniejszą przyjemność, nawet ulgę w troskach i smutku"... „Był cnotliwy jak dziewica, i czyjś niecny, cyniczny, plugawy czy niesprawiedliwy, krzywdzący uczynek rozżagwiał płomień oburzenia w jego pięknych oczach, które się wskutek tego stawały jeszcze piękniejsze".

Sołżenicyn opisuje młodego baptystę Alioszę:

„Szuchow spojrzał bokiem na Alioszę. Oczy jego paliły się jak dwie świece", „baptysta Alioszka, sąsiad Szuchowa, czysty umyty, czytał z notatnika, gdzie miał przepisaną połowę ewangelii".

Obaj znajdują przyjemność w czytaniu ewangelii; Alej na pytanie Gorianczykowa mówi, co mu się w Jezusie Chrystusie najwięcej podoba:

„A gdzie on każe: odpuść, kochaj, nie czyń złego i kochaj nieprzyjaciela. Ach, pięknie mówi!"

Baptysta Aliosza z nieopisanie głęboką wiarą czyta Szuchowowi:

„Aby tylko żaden morderca, ani złodziej, ani złoczyńca, ani taki co odbiera drugiemu, nie ucierpiał od ciebie. A jeżeli to mu się zdarzy, a jest chrześcijaninem, nich się nie wstydzi, ale niech chwali Boga za taki los".

I mówi mu:

„Ot widzicie, Iwanie Denisowiczu, dusza wasza tęskni do Bożej modlitwy. Dlaczego nie dacie jej swobody, a?

Dostojewski pisze o rosyjskim życiu, zaprzepaszczonym w katordze:

„I ile młodości pogrzebano w tych murach na próżno, ile wielkich sił zginęło tu nadaremnie. Bo trzeba już powiedzieć wszystko; przecież ci

ludzie byli ludźmi niezwykłymi. Przecież to może ludzie najzdolniejsi, najsilniejsi z całego naszego narodu. Ale na darmo przepadły potężne siły, przepadły nienormalnie, bezprawnie, bezpowrotnie. A kto temu winien? Otóż to: kto winien?"

Sołżenicyn, słowami brygadzisty Tiurina mówi tak samo o jadących na praktykę studentkach, które nic nie wiedziały o obozach koncentracyjnych: „Podróżują *brzegiem życia,* zielone semafory...", a uzupełnia go krytyk W. Lakszyn w „Nowym Mirze" Nr 1/ 1964: „Kiedy zamiast pracy surowo-przymusowej ujrzymy obraz pracy swobodnej, pracy wynikającej z pobudek wewnętrznych, ułatwi to nam głębsze i ostrzejsze zrozumienie, ile są warci tacy ludzie jak nasz Iwan Denisowicz, i co to za zbrodnicza bezmyślność trzymać ich daleko od rodzinnego domu, pod strażą karabinu maszynowego, za kolczastym drutem".

Ale obok wielu frapujących podobieństw istnieją też w pracach rosyjskich pisarzy znaczne różnice: bohaterem Dostojewskiego jest szlachcic, intelektualista zdolny do najgłębszego wniknięcia w psychologię zbrodni, przestępcy i więźnia; bohater Sołżenicyna to zwyczajny rosyjski wieśniak, później rekrut Czerwonej Armii, a teraz łagiernik, który swe otoczenie widzi oczyma przeciętnego, niewykształconego człowieka. Wykazuje to język, którym utwory są pisane. Bohater Dostojewskiego i większość opisywanych przez niego więźniów rzeczywiście popełnili jakieś zbrodnie i ta okoliczność pozwala pisarzowi czynić genialne odkrycia w ludzkiej naturze; bohater Sołżenicyna i większość jego towarzyszy w nieszczęściu to ludzie *niewinni,* na których w dzień i w nocy spełnia się zbrodnia. Różnica jest i w tym, że Dostojewski opisuje pracę w najcięższej katordze: „Drugi stopień katorgi, w którym się znalazłem, a który składał się z katorżników pilnowanych przez wojsko, był bez porównania cięższy od dwu pozostałych stopni...", podczas kiedy „Osobłag" (Obóz Specjalny — „Osobnyj Łagier") w którym cierpiał karę Iwan Denisowicz, był po względem wyżywienia i trybu życia o wiele lżejszy od innych obozów, w których przebywał on poprzednio. Iwan Denisowicz tak wspomina łagier w Ust-Iżmie, w którym „zdychał z biegunki": „W Ust-iżmeńskim obozie, jak szepniesz, że na wolności nie ma zapałek, zamykają cię, dają ci jeszcze dziesięć lat". Ten, w którym się znajduje teraz, jest liberalniejszy — gadaj, co ci się podoba!

Wbrew tym ważnym przeciwieństwom: u Dostojewskiego prawdziwi zbrodniarze, u Sołżenicyna ludzie niewinni; u Dostojewskiego — najcięższa katorga, u Sołżenicyna jeden z „lepszych" obozów, pouczające będzie porównanie życia więźniów w XIX XX-tym wieku i zmian w *naturze* niewoli, które zaszły przez sto lat, oraz psychologii więźnia ubiegłego i bieżącego stulecia.

Oba dzieła opisują to samo: usiłowanie przemiany ludzkiego bytu w niewolnictwo.

Podchodzimy do „Zapisków z Martwego Domu" i do opowiadania „Dzień Iwana Denisowicza" jako do najprawdziwszych ludzkich dokumentów dlatego zwłaszcza, że są wielkimi utworami, a będziemy je analizowali nie ze stanowiska estetyki (o ich estetycznej wartości już zadecydowano), ale z socjalno-psychologicznego punktu widzenia, biorąc za przedmiot zainteresowania *życiową rzeczywistość*, którą znajdujemy w tych dziełach.

Tryb życia

Najcięższą chwilą w życiu więźnia jest poranna pobudka. Nie, nie ma żadnej różnicy między budzeniem w Martwym Domu i w Spec-Łagrze:

Dostojewski:

„W kordegardzie przy więziennych wrotach bęben zagrał pobudkę i po jakich dziesięciu minutach dyżurny podoficer jął otwierać koszary. Więźniowie się budzili. W mdłym świetle łojówki (funt takich łojówek składał się z sześciu sztuk) wstawali z prycz drżąc z zimna. Większa część była milcząca i posępna z niewyspania. Ziewali, przeciągali się i marszczyli piętnowane czoła. Jedni czynili znak krzyża, drudzy wszczynali już sprzeczki. Zaduch był straszny. Świeże powietrze zimowe wtargnęło przez drzwi skoro je tylko otwarto i kłębami pary rozeszło się po całej izbie. Przy wiadrach z wodą stłoczyli się więźniowie; kolejno brali dzban, nabierali wody w usta i z ust myli sobie ręce i twarz. Wodę przygotowywał z wieczora parasznik".

Sołżenicyn:

„O piątej rano, jak zawsze, młotkiem o szynę koło baraku komendy wydzwonili pobudkę. Drgający dźwięk słabo przenikał przez szyby, oszronione na dwa palce, i rychło zacichł. Było zimno i strażnikowi nie chciało się długo dzwonić.

Dźwięk ucichł a za oknem nadal, jak nocą, kiedy Szuchow wstawał na kibel, było ciemno i tylko wpadało w okno żółte światło trzech latarń, dwóch na zonie i jednej w samym łagrze.

Jakoś nikt nie przychodził otworzyć baraku, ani nie było słychać, żeby dyżurni brali paraszę na drągi do wylania.

Szuchow nigdy nie przesypiał pobudki, zawsze wstawał natychmiast. Do rozprowadzania więźniów było półtorej godziny czasu własnego, i każdy kto się łagrowego życia nauczył, coś sobie wtedy korzystnego podłapie: uszyje komu ze starej podszewki pokrowiec na rękawice, wielmożnemu brygadziście poda na pryczę suche walonki, żeby się tamten nie musiał fatygować na bosaka, wyszukiwać swoje ze sterty, albo przeleci się pod magazyny, może się komu można przysłużyć, może co przynieść, może co podnieść, albo pobiegnie do stołówki zbierać ze stołów miski i znosić je do mycia — tam też podkarmią, ale tam chętnych wielu, opędzić się od nich nie mogą, a najgorsza, że jeśli coś w misce zostało, to nie strzymasz zaczniesz z miski wylizywać".

Tak krok po kroku wprowadzają nas pisarze w świat swoich bohaterów. Spójrzmy wpierw na „zewnętrzną" stronę życia Gorianczykowa i Szuchowa.

Różnica istnieje w wielkości łagru i baraków — w barakach Martwego Domu spało po 30 ludzi, w barakach Spec-Łagru po 400, co nie jest bez znaczenia, jeżeli wspomnimy słowa Dostojewskiego:

„Później zrozumiałem, że oprócz pozbawienia wolności, prócz przymusowej pracy jest w życiu katorżniczym jeszcze jedna męczarnia, kto wie czy nie gorsza niż wszystkie inne. Jest nią PRZYMUSOWE WSPÓŁŻYCIE".

Więźniowie różnią się też wyglądem zewnętrznym. Jedni i drudzy mają krótko ostrzyżone głowy, ale kiedy katorżnicy Dostojewskiego noszą łańcuchy wagi 8-12 funtów, przykute do nóg i w specjalny sposób przeciągnięte przez spodnie, aby nie przeszkadzały przy chodzeniu, — Iwan Denisowicz i jego towarzysze noszą tylko numery na czapce, na lewym kolanie, na plecach i na piersiach, i od czasu do czasu muszą je odnawiać u niegdysiejszego artysty, a obecnie obozowego malarza numerów. Numer Iwana Denisowicza jest „SZ — 854" (sz — po rosyjsku jedna litera — przyp. tłum.) i tak go nazywają strażnicy i dozorcy, kiedy się doń zwracają. To już modernizacja. Katorga XIX-go wieku zna tylko imiona, ale jeszcze nie numery.

Między katorgą sprzed stu lat i współczesnym łagrem istnieją różnice natury czysto technicznej. U Dostojewskiego ogrodzenie z pali wbitych w ziemię, u Sołżenicyna kolczasty drut i reflektory na strażniczych wyżkach. Nawet i straż jest uzbrojona inaczej. W Martwym Domu — karabiny, w Spec-Łagrze — karabiny maszynowe. Tak jak we wszystkich więzieniach, i w Martwym Domu i w łagrze dokonuje się dziennie nieskończonych apeli; nieraz strażnicy mylą się przy liczeniu i mija dużo czasu zanim liczba więźniów zgodzi się ze spisami.

Dostojewski pisze:

„Więźniów tu ustawiają, liczą i wywołują po nazwisku z rana, w południe i wieczorem, czasem jeszcze parę razy w ciągu dnia — w zależności od podejrzliwości strażnika i jego umiejętności liczenia". „Strażnicy często się mylili, źle dodawali, odchodzili i znów wracali. Niektórym dozorcom udawało się to prędzej i wtedy barak zamykano".

Sołżenicyn:

„Naszym największym skarbem jest człowiek. Jednej głowy zabraknie za drutami — twoja ją zastąpi... Nie wolno się pomylić, za cudzą głowę zapłacisz własną... Konwój wierci się zaniepokojony, sprawdza podlicze-

nia na deseczkach. Brakuje! Znów im brakuje! Żeby chociaż umieli liczyć... To ich liczenie od nowa tym jest dotkliwsze, że ucieka już nie państwowy czas, ale nasz własny".

We wszystkich więzieniach posiadanie noży i innych ostrych przedmiotów jest surowo zabronione, ale przecie zawsze można je znaleźć u więźniów obu stuleci: we wszystkich więzieniach, zarówno w carskiej katordze jak i w sowieckim łagrze pieniądze mają większą wartość, niż na wolności.

Dostojewski: „Najgorsza szmata była w cenie, zawsze można jej było do czegoś użyć".

Sołżenicyn: „W łagrze ceny na wszystko były inne, nie jednolite, gdyż pieniędzy nie wolno było posiadać, mało kto je miał i były bardzo drogie".

Kradnie się jednakowo w obu Martwych Domach, z tą różnicą, że każdy z katorżników Dostojewskiego miał swoją skrzynię z zamkiem, a łagiernicy Sołżenicyna, kiedy otrzymywali paczki z domu, oddawali je na przechowanie „na oddział"; żywność jednak nie była tam pewna, bo kradł nadzorca oddziału. Łapownictwo kwitło jednakowo w XIX i XX-tym wieku. Prycze i kible prawdopodobnie nie wiele się zmieniły, a w barakach na dzień wyznaczano dyżurnych od czystości — w obu wypadkach inwalidów.

Rano po pobudce i śniadaniu wymarsz do pracy. Ale kiedy u Dostojewskiego tylko kilku strażników prowadzi więźniów, którzy różnymi drogami idą na miejsce pracy — u Sołżenicyna obraz lepiej odpowiada nowym czasom:

„Ponatykali konwojentów do cholery! Półkolem otoczyli kolumnę TEC[1]. Automaty wycelowali prosto w mordę. Stoją szare psy ze swoimi przewodnikami".

Także izolacja nowoczesnego łagru jest nieporównanie dokładniejsza.

„Dowódca warty zmówił codzienną znaną do złudzenia, aresztancką modlitwę: uwaga więźniowie! W czasie marszu do miejsca przeznaczenia ściśle przestrzegać szyku w kolumnie! Zachować odstępy z piątki do piątki, nie przechodzić, nie rozmawiać, nie rozglądać się, ręce trzymać z tyłu! Krok w prawo, albo krok w lewo będzie uważany za próbę ucieczki, konwój otworzy ogień bez ostrzeżenia! Prawoskrzydłowy krokiem marsz!"

Dostojewski opisuje marsz kolumny przez syberyjskie miasteczko — katorżnicy rozmawiają, żartują, zaczepiają jeden dru-

1. TEC — skrót od rosyjskiego „Tiepłowo-energeticzeskij Centr" — Elektrownia.

giego, przechodnie zatrzymują się i dają, „w imię Chrystusa", jałmużnę nieszczęśliwym. U Sołżenicyna o jakiejkolwiek jałmużnie nie ma mowy. Nie dlatego, żeby się zmienił charakter rosyjskiego ludu, który zawsze wszystkich więźniów uważał za „nieszczęśliwych" i pomagał im na każdym kroku, ale w systemie sowieckich obozów nie ma możliwości nawiązania bezpośredniego kontaktu z więźniami. Tam gdzie to było możliwe, wolni sowieccy ludzie, tak jak i w Rosji XIX-go wieku, pomagali więźniom. W „Literaturnoj Gazetie" z 4. IV br. ukazał się artykuł Waleriana Osipowa pt. „Kapran — Bohater Północy", poświęcony pewnemu geologowi z Kołymy, który stracił życie, gdy stanął w obronie łagierników z niezliczonych obozów Kołymy. Osipow pisze: „Naturalnie obozowa administracja wiedziała, że Kapran u siebie w domu stale podkarmia więźniów i stara się choć trochę ułatwić im wegetację w łagrze. W owych latach takie postępowanie było powszechne wśród wolnych obywateli Kołymy. Lekarze, inżynierowie, geolodzy, w miarę swoich możliwości starali się uwolnić niewinnie zasądzonych kolegów od pchania taczki i wykorzystywali w łagrach ich umiejętności. W wielu wypadkach podtrzymywało to więźniów moralnie i fizycznie, niekiedy po prostu ratowało życie".

Rozpatrując warunki życia — regulamin, wyżywienie, pracę — robimy to przede wszystkim dlatego, że te warunki określają *stopień braku wolności* więźniów.

Sołżenicyn mówi:

„Nawet myśl aresztancka nie jest wolna, ciągle wraca do tego samego, w kółko o jednym — czy chleba w sienniku nie wymacają? Czy doktór wieczorem zwolni? Posadzą kapitana czy nie posadzą? Skąd Cezar wytrzasnął swoją ciepłą bieliznę? Na pewno dał w łapę w składzie rzeczy osobistych, no bo skąd?

Iwan Denisowicz i jego towarzysze nie mają ani jednej chwili wolnej. Pracuje się cały dzień do zmroku z przerwą na obiad, potem więźniowie wracają do łagru, jedzą kolację, a po kilku kontrolach kładą się spać śmiertelnie zmęczeni. Jeden z komendantów obozu starał się odebrać łagiernikom możliwość poruszania się po obozie nawet podczas tych krótkich chwil.

„W swoim czasie komendant łagru wydał rozporządzenie, że żadnemu więźniowi nie wolno chodzić po zonie w pojedynkę. Gdzie tylko się da należy całą brygadę prowadzić w szyku zwartym. A, powiedzmy, na izbę chorych albo do latryny, tam gdzie cała brygada iść nie ma po co, należy formować grupy z czterech albo pięciu ludzi i wyznaczać spośród nich starszego, który poprowadzi ich zwartą grupą, poczeka i zwartą grupą przyprowadzi z powrotem. Komendant łagru bardzo się upierał przy tym rozporządzeniu. Nikt nie miał odwagi mu się sprzeciwić. Strażnicy wyłapy-

wali pojedynczych, zapisywali numery, zabierali do BUR'u, ale rozporządzenie wysiadło. Ileż to gromkich rozporządzeń wysiada tak po cichutku?... Tym rozporządzeniem komendant chciał odebrać zekom ich ostatnią wolność, ale nie udało mu się, brzuchaczowi".

Więzień nie ma niedzieli ani święta:

„Ale przecież sprawiedliwie mówią w ogonku — naczalstwo potrafi i w zonie urządzić im dodatkowy dzień roboczy, zawsze coś wynajdzie, albo łaźnię trzeba budować, albo stawiać płot, żeby ludzie nie mogli przejść dokąd potrzebują, albo po prostu czyścić teren. Albo każe słomę w siennikach przetrząsać, albo pluskwy tępić na pryczach. Albo wymyślą sprawdzanie według fotografii — ten czy nie ten. Albo inwentaryzację, wtedy wychodź ze wszystkimi rzeczami na dwór, czekaj pół dnia. Tego widocznie najbardziej nie mogą znieść, żeby zek sobie pospał po śniadaniu".

W „Zapiskach z Martwego Domu" wiele miejsca poświęca się życiu katorżnika w jego wolnych chwilach. W porównaniu z normami XX-go stulecia niektóre obrazki z „najgorszej katorgi syberyjskiej" XIX-go wieku wyglądają wprost idyllicznie. Dostojewski pisze: „Przed wejściem do baraków spacerowali więźniowie z bałałajkami". Więźniowie XIX-go wieku nie pracują w niedzielę, po kilka dni świętują Boże Narodzenie i Wielkanoc, nie pracują w dzień swoich imienin. Żydowi Izaakowi Fomiczowi przepisy gwarantują, że nie musi pracować w sobotę, z czego ten oczywiście korzysta. Ten sam przywilej mają i muzułmanie. Więźniowie hodują także zwierzęta domowe.

Dostojewski pisze:

„Gęsi zaczęto u nas hodować także przypadkowo. Kto zaprowadził tę hodowlę i do kogo gęsi właściwie należały nie wiem, ale przez pewien czas wielce bawiły więźniów, a i w mieście uzyskały rozgłos. Wylęgły się w więzieniu, trzymane były w kuchni. Kiedy stadko podrosło, gęsięta nabrały zwyczaju chodzenia całą czeredą wraz z więźniami do pracy... Przystawały zawsze do najliczniejszej grupy i gdyśmy pracowali pasły się gdzieś nieopodal".

Dowiadujemy się również, że katorżnicy „przygotowywali teatr" świąteczny, czasem nawet mogli się zetknąć z kobietami: „Prawda, że to zdarzało się bardzo rzadko i z największymi trudnościami".

W łagrze Sołżenicyna o kobietach wspomina się tylko jeden raz. Dyżurny oficer odprowadził Iwana Denisowicza do karceru przed śniadaniem, za „nie wstawanie w porę", ale pomyślał, że wystarczy, jeżeli Iwan Denisowicz wymyje podłogę na wartowni: Wyglądało to tak:

„...obficie rozlewając szmatą wodę, rzucił się pod walonki strażników.
— Ty! Bydlę! Ostrożnie — zorientował się strażnik i podciągnął nogi na krzesło...

— Ile wody lejesz durniu? Kto tak myje?!

— Inaczej nie da rady wymyć, obywatelu naczelniku! Brud się przecie wżarł...

— Tyś przynajmniej kiedy widział jak twoja baba podłogę myła, świniaku?

Szuchow wyprostował się trzymając ociekającą wodą ścierkę. Uśmiechnął się prostodusznie, pokazał resztkę zębów przerzedzonych szkorbutem w Ust-Iżmie w czterdziestym trzecim, kiedy był na wykończeniu. Nie wiele mu wtedy brakowało, miał krwawą biegunkę, ciekło z niego ciurkiem, wymęczony żołądek niczego nie przyjmował. Na pamiątkę mu seplenienie zostało.

— Od baby odstawili mnie w czterdziestym pierwszym, obywatelu naczelniku. Już nawet nie pamiętam co to baba.

— Jak to myją!... Nic, ścierwa, nie umieją robić, i nie chcą. Nie warci tego chleba co się im daje. Gównem by ich karmić".

Więźniowie Martwego Domu wieczorami oddają się różnym zajęciom:

„Lecz skoro tylko zamknięto koszary wszyscy się niezwłocznie rozlokowali ze spokojem, każdy na swym miejscu i prawie każdy zabrał się do tej czy innej roboty. W koszarach zrobiło się nagle widno. Każdy miał własną świecę i własny lichtarz, przeważnie drewniany. Jedni zasiedli do szycia butów, drudzy do łatania odzieży... Gromadka karciarzy kucnęła w kąciku przed rozesłanym dywanikiem".

XX-ty wiek nie zna takiego liberalizmu, Łagiernicy umęczeni apelami na dworze i w baraku kładą się i od razu zasypiają. Opowiadanie Sołżenicyna kończy się następująco:

„Szuchow zasypiał w pełni zadowolony. Wiele mu się tego dnia udało: nie wsadzili go do karceru, brygady nie pognano na Soc-gorodok, przy obiedzie podwędził kaszę, brygadzista dobrze załatwił obliczenie normy, dobrze się Szuchowowi murowało, na szmonie nie podpadł ze swoim kawałkiem stali, wieczorem podpracował u Cezara, kupił tytoń. I nie zachorował, przetrzymał.

Minął dzień niczym nie zamącony, nieomal szczęśliwy.

W jego wyroku było takich dni od dzwonienia do dzwonienia trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt trzy.

Z powodu lat przestępnych doszły trzy dodatkowe dni".

Jeśli idzie o kary, Dostojewski po mistrzowsku opisuje bicie, więźniów a także reakcję rosyjskich ludzi na ten mroczny obyczaj. Niezapomniany jest obraz katorżnika Orłowa, który mężnie decyduje się „przejść" 4.000 kijów, wierząc, że je przeżyje i że przecie uda mu się uciec na wolność. Nie udaje mu się wytrzymać chłosty, którą mu wyznaczono za poprzednią próbę ucieczki. Za przestępstwa dyscyplinarne w Carskiej Rosji czasów Dostojewskiego płacono własnymi plecami. Jak ta sprawa wygląda w łagrze sowieckim?

Sołżenicyn opisuje przypadek byłego „kawtoranga" (*kapitan wtoroj rangi* — kapitana drugiego stopnia) Bujnowskiego, który

wybuchnął gdy lejtnant Wołkowoj, komendant straży, przy temperaturze — 27 stopni, kazał więźnim rozebrać się żeby sprawdzić, czy kto nie włożył na siebie więcej, niż pozwalają przepisy:

„— Nie macie *prawa* rozbierać ludzi na mrozie. *Dziewiątego* artykułu kodeksu karnego nie znacie!

Mają! Znają! To ty bracie jeszcze łagru nie znasz.

— Ludzie radzieccy tak nie postępują — dobija ich kapitan. — Nie jesteście komunistami!

— Artykuł kodeksu Wołkowoj jeszcze ścierpiał, ale teraz cisnął się jak błyskawica czarna:

— Dziesięć dni ścisłego!"

Na pierwszy rzut oka lepsze dziesięć dni ścisłego karceru niż bicie i biczowanie. Ale trochę dalej Sołżenicyn opisuje karcer, do którego odprowadzają Bujnowskiego:

„...ściany kamienne, podłoga cementowa, bez okna, palą w piecu — aby stopił się lód na ścianach i zamarzał potem kałużą na podłodze. Spanie — na gołych deskach, jeżeli zębów nie roztrzęsiesz, chleba dziennie — trzysta gramów, a cienka zupka tylko trzeciego, szóstego i dziewiątego dnia.

Dziesięć dni! Dziesięć dni tutejszego karceru, jeżeli je odsiedzisz ściśle i do końca — stracisz zdrowie na całe życie. Gruźlica — i już nie wyciągniesz się ze szpitala. A kto odsiedział piętnaście dni — ten już w czarnej ziemi".

Jak widzimy, karcer Spec-Łagru nie taki znów lepszy od bicia. Przypomnijmy sobie, że to Syberia, gdzie normalna temperatura w zimie rzadko kiedy podnosi się ponad — 20 stopni C.

A za co się idzie do karceru — Sołżenicyn pisze:

„Ot, czytali po barakach zarządzenie — zdejmować czapkę pięć kroków przed nadzorcą i dwa kroki później nakładać. Niektóry nadzorca idzie jak ślepy i takiemu wszystko jedno, a dla innych cała w tym słodycz. Iluż ich z powodu tych czapek zawlekli do karceru!"

Mimo modernizacji karceru, bicie w sowieckim łagrze istnieje nadal. Sołżenicyn tak opisuje lejtnanta Wołkowoja:

„Nie upilnujesz się przed nim. Z początku jeszcze pejcz nosił, jak ręka do łokcia, skórzany, pleciony. W karcu nim tłukł, powiadają. Albo na wieczornym apelu — tłoczą się zeki przed barakiem, a ten z tyłu się podkradnie i — lu! — pejczem po karku: „Dlaczego nie w szeregu, ścierwo?!" Tłum przed nim odskoczy jak falą zmyty. Uderzony złapie się za szyję, obetrze krew, milczy — żeby jeszcze bunkra nie dołożył.

Teraz coś pejcza nie nosi".

Stosunek władz obozowych do więźniów można by zilustrować cytatą z już wymienionego artykułu W. Osipowa — „Kapran — Bohater Północy", gdzie opisano dialog Karpana, podnieconego z okazji jakiegoś wypadku w obozie, z przedstawicielem władzy:

„— Ludzie mogą zginąć!

— Jacy tam ludzie? — uśmiechnął się przedstawiciel obozowej administracji. — To są wrogowie ludu".

Wcale nie lepsze było zachowanie się „majora", komendanta katorgii Dostojewskiego. Ze wszystkiego można wnosić, że ten typ ludzki zachował się przez sto lat. Zmieniła się technika, zmieniły się miary porównawcze. Dostojewski opisuje pojedyncze wypadki denuncjacji, np. niejakiego Iwanowa, który donosi „majorowi" o wszystkim, co się dzieje w katordze: „...był jego szpiegiem... wszystko na to wskazywało, ale nikomu nigdy nie przyszło na myśl, żeby go jakoś ukarać albo choć powiedzieć coś nikczemnikowi". I dalej — „Chuligaństwo kwitnie normalnie. Donosicielstwo w niewoli nie jest żadnym upodleniem; niesposób więc na takiego się złościć". Sołżenicyn opisuje cały system donosicielstwa; donosiciele w łagrze mają powiązania z „operem" (biuro operacji obozowych). Przy tym jednak, kiedy katorżnicy Dostojewskiego nie przejmują się donosicielstwem, to więźniowie sowieccy jednak reagują: „I rzeczywiście, w łagrze zaczęło się coś nowego. Dwu znanych chuliganów zakłuto wprost na wyrku..." Ta zmiana jest może jedyną jaśniejszą plamą na obrazie obozów XX-go wieku.

Ucieczki są ryzykowane i w obu wypadkach prawie niemożliwe. Dostojewski opisuje ucieczkę dwójki katorżników, którym udało się ukrywać przez trzy miesiące. Sołżenicyn mówi: „Jeżeli ktoś ucieknie, straż nie ma wytchnienia, gonią go nie śpiąc i nie jedząc. Czasem dochodzą do takiej wściekłości, że — nie biorą uciekiniera żywcem".

Podobny jest stosunek więźniów do tych, których na wolności zalicza się do „sfer wyższych". Katorżnicy Martwego Domu złośliwie i z przekąsem nazywali szlachtę „muchobojami". W ten sam sposób łagiernicy określali byłych *rukowoditieli.*

Żywność

„Gdyby naród zawsze żył dobrze, byłoby nim bardzo trudno rządzić".
(Talleyrand)

Powtarzam — nie obchodzi nas sama różnica w jakości wyżywienia katorżników i łagierników. Chcemy natomiast wykazać, że *nieprzerwany głód* to o jedne kajdany więcej w ludzkiej niewoli. Znaczna część opowiadania Sołżenicyna jest poświęcona jedzeniu. Szuchow marzy o nim bez przerwy, wszystkie jego myśli obracają się wokół możliwości dostania dodatkowej porcji zupy, od początku opowiadania towarzyszymy mu jak skrywa i wszywa

w swój siennik pół dziennej porcji chleba (dzienna porcja — 550 gramów), żeby ją dotrzymać do kolacji, idziemy za wszystkimi jego myślami i postępowaniem w czasie śniadania, obiadu, kolacji. Łagierne życie rozwinęło w Szuchowie jakieś możliwości, które trudno zrozumieć ludziom, którzy nie przeszli przez obóz niemiecki albo sowiecki. Krytyk W. Lakszin pisze: „...dla Iwana Denisowicza dwa zmartwienia w łagrze są najbardziej realne i najważniejsze — nie osłabnąć z głodu i nie zamarznąć. W warunkach, które dlaczegoś podobne są do prehistorycznej walki o istnienie, na nowo się ujawniają wartości najprostszych, „materialnych" elementów życia, tego co człowiekowi najpotrzebniejsze — jedzenia, odzieży, obuwia, dachu nad głową. Dodatkowa porcja chleba staje się przedmiotem wielkiej poezji". A ileż trzeba uporu, talentu i chytrości, żeby dostać najlepszą porcję zupy:

„Szuchow... docisnął się do stołu, pogonił dwu zdechlaków, jakiegoś robociarza przeprosił po dobremu, opróżnił kawałek stołu, taki że go starczy na dwanaście misek, jeśli ciasno ustawiać, wtedy na nich jeszcze sześć można postawić jako drugą kondygnację i jeszcze dwie na wierzchu. Teraz trzeba odbierać miski od Pawła, jeszcze raz po nim przeliczać i pilnować, żeby nikt obcy nie ściągnął miski ze stołu, a także żeby nikt łokciem nie trącił, nie rozlał. Tymczasem naokoło wstają z ławki, siadają, jedzą. Trzeba ciągle uważać czy ze swoich jedzą, czy nie wyjadają z naszych".

„Szuchow zauważył, do której miski nalano zanim gęste nie opadało na dno kotła, a w których jest sama woda... I tak udało mu się je stawiać, że na rogu stołu, gdzie sam siądzie, będę dwie najgęstsze miski".

Wielkim sukcesom tego dnia łagrowego życia jest dla Szuchowa podwójna porcja na obiad (udało mu się wsunąć łapówkę kucharzowi) i podwójna na kolację — zarobek od łagiernika Cezara Markowicza, dla którego stał w ogonku po paczkę z domu. Obiad to nie tylko fizyczne, ale i psychicznie przeżycie:

„Zaczął jeść. Najpierw po prostu spił rzadkie. Kiedy ten gorąc rozlał się po całym ciele wszystkie wnętrzności Szuchowa aż zadrżały na spotkanie berlaju. Doobre! Oto jest ta krótka chwila, dla której żyje zek.

Teraz już nic Szuchowowi nie przeszkadza — ani, że wyrok duży, ani że dzień długi, ani to, że znowu nie będzie niedzieli. Myśli teraz: jakoś się przeżyje! Przeżyjemy wszystko, da Bóg, dożyjemy końca.. Na dnie miski trafił mu się jeden ziemniaczek, w porcji Cezara. Średni sobie ziemniaczek, zmarznięty, bez tego ani rusz, słodkawy, trochę głąbiasty... Szuchow zjadł kolację bez chleba. Dwie porcje i jeszcze chleb — to by było za dużo, za sytne, chleb zostanie na jutro. Brzuch to stary złodziej, nie pamięta co było wczoraj, jutro znowu się upomni".

Jakie jest pożywienie:

„Berlaj był dzień w dzień taki sam, zależy tylko jakie zielsko przygotują na zimę. W zaprzeszłym roku samą marchew zasolili i od września do czerwca był na okrągło berlaj marchwiany. A w tym roku — czarna kapusta. Najsytniej je łagrowiec w czerwcu kiedy kończy się wszelkie warzywo i

dają zamiast niego kaszę. Najgorzej w lipcu, pokrzywę do kotła krają... Najważniejsze, że kasza dzisiaj dobra, najlepsza kasza, owsianka. Owsianka bywa rzadko, przeważnie jest magara, dwa razy na dzień, albo zacierka z mąki. A w owsiance najsytniejszy wywar.

Ileż to owsa Szuchow zadawał koniom za młodu, a nigdy nie pomyślał, że z całej duszy będzie tęsknił do garstki takiego owsa".

Najbardziej wstrząsające strony opowiadania Sołżenicyna to sceny ze stołówki. W małym pomieszczeniu setki i setki więźniów jedzą obiad i kolację. Gromada obsiada wejście, dyżurni *biciem* utrzymują porządek: „Kołysze się kupa ludzi, dusi się — aby tylko zupy dostać. *Kazionnej* zupy".

XIX-ty wiek nie zna takiego masowego i ustawicznego głodu w więzieniach i katorgach. Opis stołówki Martwego Domu wygląda dziś zupełnie idyllicznie:

„Więźniowie w kożuszkach i dwubarwnych czapkach tłoczyli się przy chlebie, który krajał dla nich jeden z kucharzy... Po wszystkich kątach i przy stołach stanęli więźniowie w czapkach, w kożuszkach i przepasani, gotowi zaraz wyjść do pracy. Niektórzy mieli przed sobą drewniane miseczki z kwasem. Drobili do kwasu chleb i siorbali... Obiad jedzą nie razem lecz w miarę powrotu z robót; zresztą kuchnia nie zmieściłaby wszystkich. Skosztowałem kapuśniaku ale wskutek nie przyzwyczajenia nie mogłem go jeść i zagotowałem sobie herbaty... Pięcioosobowa gromadka zasiadła osobno przy dużym stole. Kucharz nalał im kapuśniaku do misek i postawił na stole całą miskę smażonej ryby. Święcili jakąś okazję i jedli własną strawę... Wnieśli pieczywo. Młody więzień niósł cały stos i sprzedawał innym więźnim".

Gorianczykow-Dostojewski pisze dalej:

„Tak więc jedzenie wydało mi się zupełnie możliwe... Nasz chleb miał jakiś szczególny smak i był z tego znany w całym mieście. Przypisywano to udanej konstrukcji pieców chlebowych. Szczi jednak było bardzo niepociągające. Gotowano je we wspólnym kotle, dodawano mało kaszy, specjalnie w roboczy dzień było cienkie i postne... Jeżeli więźniowie chwalili się swoim jedzeniem, mówili tylko o chlebie i błogosławili fakt, że chleb u nas wspólny i nie odmierza się go każdemu oddzielnie".

Więźniowie drażnili się wzajemnie: „Cożeś tak pogrubiał na katorżniczym chlebie!" I nie tylko to — więźniowie-inwalidzi mogli wychodzić do miasta i kupować katorżnikom mięso i wszystko to na co mieli ochotę, jeśli mieli pieniądze: „W ten sposób przynosili tytoń, herbatę, wołowinę, pieczywo... A zimą wołowina kosztowała u nas grosz za funt, w lecie trzy kopiejki".

Przed Bożym Narodzeniem:

„Wieczorem inwalidzi, którzy poszli na bazar za sprawunkami więźniów, przynieśli wszelkiego jadła: wołowinę, prosię i nawet gęś".

Lub imieniny:

„Solenizant, gdy tylko rano wstał, zapalał świecę przed ikoną i modlił się; potem się ubierał w co miał najlepszego i zamawiał dla siebie obiad.

Kupowano wołowinę i ryby, robiono syberyjskie pelmenie; imiennik najadał się jak świnia, prawie zawsze sam, rzadziej zapraszając towarzyszy na ucztę. Potem pojawiało się wino: solenizant upijał się na amen i obowiązkowo odwiedzał wszystkie baraki; zataczał się i potykał, chodziło bowiem o pokazanie wszystkim, że przecie pijany, że się „puszcza", w ten sposób chciał zdobyć powszechny szacunek".

Mimo że napoje alkoholowe były surowo zabronione, niektórzy więźniowie stale je przemycali do obozu, za co w razie złapania, groziły im kije. „...Na katordze można się było czasem upić..." pisze Dostojewski i zaraz dodaje, że to „upijanie się" to tylko funkcja *wolności* w człowieku: „Samo słowo „więzień" oznacza człowieka bez wolności; ale wydając pieniądze postępuje on według swojej woli".

Więc nie głód *czynił niewolników* z mieszkańców Martwego Domu. Z resztą, katorżnicy, jak już powiedzieliśmy, hodowali nawet zwierzęta domowe. Łagiernicy XX-go wieku zakładają się, kto wyliże cudzą miskę. Katorżnicy Martwego Domu karmią Gniadego — konia woziwody:

„I na pewno ktoś mu przyniesie chleba z solą. Gniady je i znów macha głową, jakby mówił: Poznaję cię, poznaję! I ja dobry konik i ty dobry człowiek! Ja też lubiłem Gniademu przynieść chleba".

Dostojewski opisuje katorżniczego psa: „Żył pies, spał na dworze, jadł kuchenne odpadki..." Sołżenicyn cytuje rozmowę między więźniami, byłym reżyserem filmowym Cezarym Markowiczem i kapitanem Bujnowskim o słynnym filmie Eisensteina „Pancernik Potiomkin" i o sekwencji, w której pokazano reakcję marynarza na robaczywe mięso. Bujnowski mówi w rozmarzeniu:

„Ot, myślę, gdyby teraz przynieśli nam to mięso do łagru zamiast naszych rybek, gdyby nawet nie obmyli, nie oczyścili z robactwa i rzucili w kocioł to byśmy to mięso..."

I jeszcze jedna różnica — kucharzy w Martwym Domu wybierają sami katorżnicy. W Spec-Łagrze są to obowiązki uprzywilejowane, do których wyznacza się z góry, a to de facto znaczy że za łapówkę.

Wyroki

Stopień braku wolności określa życzenia i marzenia więźniów. Niewolnik zawsze jest marzycielem, Dostojewski pisze w Martwym Domu: „Wszyscy tu śnili, to wprost rzucało się w oczy". Wszystkie sny i wszystkie marzenia katorżnika obracały się wokół wolności: „Celem nas wszystkich była wolność i wyjście z

katorgi" — pisze Fiodor Michajłowicz. Wolność jest jednak pojęciem względnym. Człowiek wygłodniały marzy o wyzwoleniu od głodu. Łagiernicy Spec-Łagru śnią tylko o jedzeniu i o spaniu. Dla Szuchowa — „legnąć w szpitalnym łóżku i — spać. I więcej życzeń nie ma". A o wyjściu z łagru Iwan Denisowicz pisze tak:

„Szuchow milcząc patrzył w sufit. Sam już nie wiedział czy chce wolności, czy nie chce. Z początku bardzo za nią tęsknił, liczył co wieczór ile dni z roku już przeszło, ile jeszcze zostało. A potem mu się sprzykrzyło. A potem zaczęło się wyjaśniać, że takich jak on nie puszczają do domu, że gnają na zesłanie. Gdzie będzie lepsze życie, tu czy tam, nie wiadomo. Dlatego tylko chciałby na wolność, żeby — do domu.
A do domu nie puszczą..."

Psychologia więźniów XIX i XX-go wieku różni się jednak zasadniczo, bo chociaż chłosta i żelazne kajdany były straszną karą — katorżnicy Martwego Domu wiedzieli, że po upływie wyroku wypuszczą ich na wolność. Poza tym swoim postępowaniem mogli tę wolność przybliżyć. W sowieckich łagrach więźniowie stawali się *przedmiotami,* od których w rzeczywistości nic nie może zależeć, ani wysokość wyroku, ani wyjście na wolność:

„To dawniej był taki okres szczęśliwy, że wszystkim jak leciało dawali po dziesięć. A od czterdziestego dziewiątego zaczął się inny okres — wszyskim po dwadzieścia pięć, nie bacząc na nic. Dziesięć można jeszcze wytrzymać, ale sprobuj-no przeżyć dwadzieścia pięć!... Kto dostał trzy lata ten odsiedział pięć. Prawo można wykręcać jak kota ogonem. Skończyła ci się dziesiątka, powiedzą to masz jeszcze jedną. Albo poślą na zesłanie"... „O tym starcu mówili Szuchowowi, że siedzi już nie wiadomo ile lat w łagrach i więzieniach i żadna amnestia go nie objęła, a jak mu się kończy jedne dziesięć lat, z miejsca mu dziesięć nowych dodają".

Różne są powody dla których katorżnicy znajdują się w Martwym Domu. Z miłości niejaki Bakłuszyn zabił Niemca, Szyszkow przebił nożem żonę, trójka dagestańskich Tatarów zakłuła ormiańskiego kupca. Sirotkin siedzi za zabicie rotmistrza, pewien młody szlachcic zabił ojca celem zagarnięcia spadku (co się później okazało nieprawdą i dało F. M. Dostojewskiemu temat do „Braci Karamazowych"). Byli tam zabójcy przypadkowi, zawodowi mordercy, bandyci i hersztowie band. Byli zwyczajni złodzieje i włóczędzy... „A przy tym każdy miał jakąś swoją historię, mętną i ciężką jak głowa po wczorajszym pijaństwie" — pisze Dostojewski. Był i dziesiątek „politycznych". Wyroki były rozmaite. Najczęściej od 8 do 12 lat, ale bywali zasądzeni i na 20 lat a potem na osiedlenie na Syberii. „Autor" wspomnień, Gorianczykow, był skazany za zabicie żony.

W Spec-Łagrze wszyscy byli skazani na 10 albo 25 lat. *Tertium non datur.* Powody wyroków były następujące: kapitan

Bujnowski (więzień Nr 331") trafił do łagru za to, że w czasie wojny był oficerem łącznikowym na brytyjskim okręcie wojennym przy pewnym angielskim admirale, który mu po zakończeniu wojny przysłał upominek. Aliosza, baptysta, trafił tu za religię a Iwan Denisowicz myśli o takich jak on: „Też nieszczęśliwi: modlili się do Boga, komu przeszkadzali? Wszystkim bez różnicy dadzą po dwadzieścia pięć — jedna miarka". I mówi mu:

„Chrystus kazał ci siedzieć, za Chrystusa usiadłeś. A ja — za co siedzę? Za to żeśmy się w czterdziestym pierwszym nie przygotowali do wojny, tak, za to? A co ja temu jestem winien?"

Iwan Denisowicz jak i wielu innych znalazł się w łagrze dlatego, że był niemieckim jeńcem, uciekł i wrócił do Czerwonej Armii:

„Z akt by wynikało, że Szuchow poszedł siedzieć za zdradę ojczyzny. Przyznał się, że tak, że poddał się do niewoli pragnąc zdradzić ojczyznę, że potem wrócił z niewoli, żeby wypełnić zadanie niemieckiego wywiadu. Jakie to miało być zadanie, tego już ani sam Szuchow nie potrafił wymyśleć, ani śledczy. Więc napisali po prostu tak: Zadanie".

Szuchow obliczał zwyczajnie: jak nie podpiszesz, czeka cię grób, jak podpiszesz — może jeszcze trochę pożyjesz. Podpisał.

„A było to tak. W lutym czterdziestego drugiego na północno zachodnim cała ich armia znalazła się w okrążeniu, żarcia z samolotów im nie rzucali, nie uświadczyłeś tych samolotów wcale. Doszło do tego, że strugali kopyta ochwaconych koni, moczyli te strużyny w wodzie, żeby namiękły i jedli. Nie było czym strzelać. Niemcy po malutku wyłapywali ich po lasach. Z jedną taką grupą Szuchow trafił do niewoli, pobył w niej parę dni w tych samych lasach, a potem uciekli w pięciu. Szli lasami, przekradali się mokradłami, jakimś cudem wyszli na swoich. Ale dwu fizylier położył z pepeszy na miejscu, trzeci umarł z ran, tylko dwaj doszli. Gdyby byli mądrzejsi to by powiedzieli, że błądzili po lasach i nic by im za to nie było. Ale się przyznali, że z niemieckiej niewoli. Z niewoli? Ach, taka wasza mać! Gdyby choć przyszło wszystkich pięciu to może by skonfrontowano zeznania, może by uwierzono w końcu, ale było ich tylko dwóch, nic nie poradzisz, zmówili się, bydlęta, znaczy wymyślili tę ucieczkę z niewoli".

Z tych samych przyczyn siedzi w łagrze Sieńka Kławszyn — bohater powstania w hitlerowskim obozie Buchenwald — który trzy razy uciekał z niemieckiej niewoli, a którego psychicznie dobił dopiero sowiecki łagier.

Jeden Estończyk siedzi w łagrze za to, że przed przyjściem Sowietów do Estonii rodzice zabrali go do Szwecji, mały był, a kiedy podrósł, wrócił do Estonii dobrowolnie, żeby się uczyć. I wszystko jedno — do łagru.

Brygadzista Tiurin, który siedzi już 19 lat, odsługiwał służbę wojskową w roku 1930-tym, jako dwudziestoletni młodzieniec. Jego rodzice w rodzinnej wsi zostali oskarżeni o kułactwo, więc Tiurin zerwał z nimi stosunki, żeby się to na nim nie zemściło. Ale pewnego dnia komisarz i komendant pułku, w którym służył Tiurin, jakoś się dowiedzieli o jego „kułackim pochodzeniu" i wyrzucono go z wojska bez munduru i bez dokumentów, to znaczy prosto do łagru. Wspominając tych swoich przełożonych Tiurin mówi: „...Między innymi, w trzydziestym ósmym na kotłaskim etapie spotkałem swego byłego dowódcę kompanii — i jemu dali dziesięć lat. Otóż od niego się dowiedziałem: i tamtego komendanta pułku i komisarza — obu rozstrzelano w trzydziestym siódmym... Proletariusze czy kułacy... Mieli sumienie czy nie... Przeżegnałem się i mówię: „Przecie jesteś, Boże na niebie. Długo cierpisz, ale jak uderzysz, to boli".

Pomiędzy dziesiątkiem osób, które poznajemy, tylko jeden jest rzeczywistym przestępcą — pewien Mołdawianin, prawdziwy szpieg.

O stosunku niewola-swoboda Dostojewski pisał: „Istnieją tacy, którzy rozmyślnie popełniają przestępstwo, tylko po to aby trafić na katorgę i w ten sposób uniknąć o wiele cięższej katorgi na wolności. Tam żył na ostatnim szczeblu poniżenia, nigdy się nie najadał do syta i pracował od rana do nocy dla swego pracodawcy. W katordze robota lepsza niż w domu, chleba dosyć... z porównywania ludzi wolnych i katorżników wynika, że różnica nie jest znów tak wielka..." Sowieccy łagiernicy nie mogli się pochwalić, że w łagrze im lepiej było niż na wolności. Chociaż czasem, jak Dostojewski, uważali, że nie ma istotnej różnicy między łagrem i życiem swobodnym. O tych na wolności mówili: „Myśmy już skazani, a oni jeszcze pod śledztwem".

Praca

Większość sowieckich krytyków podkreśla z zadowoleniem stosunek Iwana Denisowicza Szuchowa do pracy. Szuchow pracuje chętnie i dobrze wraz ze swoją brygadą. Od wypełnienia normy zależy wyżywienie, a więc nagie życie. Stosunek do pracy to jedno z głównych kryteriów wartości człowieka w społeczeństwie sowieckim. Ergo — *łagiernicy* którzy źle pracują są złymi ludźmi.

Nikt jednak z krytyków nie widzi, że praca, w tym wypadku murarka, nie jest dla Szuchowa tym samym co dla kapitana Bujnowskiego czy innego łagiernika. Szuchow i na wolności był murarzem, okresowo zajmował się tą pracą, znał się też na

ciesielstwie. Dla niego praca w obozie to dalszy ciąg tego co robił na wolności. Dla Bujnowskiego, ta praca nie była funkcją wolności, ale przeciwnie — była jednym kajdanem więcej i to najcięższym. Wydaje się, że najbardziej ludzką reakcją Bujnowskiego byłby sabotaż, bezkompromisowy sabotaż każdej budowy w łagrze. Dlatego, że pozytywny stosunek do tego rodzaju pracy oznaczałby pozytywny stosunek do niewolnictwa. Dostojewski w „Zapiskach z Martwego Domu", pisze, że ta sama praca może być niewolą i swobodą i że *bałwochwalstwo każdej pracy,* jest wyjątkowo szkodliwe:

„Wydawało mi się na przykład, że sama praca katorżnicza nie jest tak *ciężka,* ale po pewnym czasie zrozumiałem, że ciężar jej i męka leżą nie w jej trudności albo bezustanności, ale w tym, że jest ona *przymusowa,* obowiązkowa, pod groźbą chłosty. Wieśniak na wolności pracuje na pewno bez porównania więcej, czasem nawet w nocy, zwłaszcza latem; ale pracuje dla siebie, z rozsądnym celem i jest mu bez porównania lżej aniżeli katorżnikowi na robocie przymusowej i nie dającej żadnej korzyści... Jeżeli praca katorżnicza jest nieciekawa i nudzi katorżnika, to przecie praca sama w sobie jest rozumna: więzień robi cegły, kopie ziemię, tynkuje, buduje; w takiej pracy jest cel i sens. Czasem nawet katorżnik zainteresuje się nią, chce pracować fachowo, prędzej, lepiej. Ale gdyby mu, na przykład, kazali przelewać wodę z jednego wiadra w drugie a z drugiego znów w pierwsze, sypać piasek, przenosić kupę ziemi z miejsca na miejsce — myślę, że po pewnym czasie więzień powiesiłby się albo popełniłby tysiąc innych przestępstw, żeby raczej umrzeć, ale uniknąć takiego poniżenia, wstydu i męki. Tego rodzaju kara przemieniłaby się w torturę, w zemstę, byłaby bezmyślna, bo nie miałaby żadnego rozsądnego celu. A ponieważ jakaś część takiej męczarni, bezmyślności, poniżenia i wstydu nieuniknienie istnieje w każdej pracy przymusowej, więc katorżnicza praca męczy o wiele więcej od każdej innej roboty na wolności, dlatego tylko, że jest przymusowa.."

Z wyjątkiem czysto technicznej różnicy, jak np. organizacja brygad w Spec-Łagrze — katorżnicy Martwego Domu wykonywali podobne prace co łagiernicy: „więzień robi cegły, kopie ziemię, tynkuje, buduje..." — pisze Dostojewski. Ale o ile dla łagiernika kwestia wypełnienia normy jest kwestią istnienia, to katorżnicy Martwego Domu, którzy niezawsze pracowali „na normę", woleliby raczej, żeby im ją wyznaczano: „Interesowaliby się wtedy czymś, choć nie mieli z tego żadnej korzyści, ale widziałem, jak się wysilali, żeby zakończyć jak najprędzej i jak najlepiej; zadrażniono im dumę". Dostojewski podkreśla różnicę między pracą twórczą, to znaczy pracą swobodną, która *wyzwala* i robotą przymusową, która ludzi *niewoli* i niszczy moralnie. Katorżnicy, którzy pracują na normę i po jej wypełnieniu mogą wrócić do baraków i poświęcić się swojej *pracy wolnej* — robotę kończą prędko i z ochotą. Dostojewski mówi, że gdyby nie mieli własnych zajęć — robienie butów, szycie, robienie zabawek itd. — katorżnicy by powariowali. W Spec-Łagrze, nie ma ani mowy o

swoim własnym czasie, łagiernicy marzą jedynie o możliwości *nic-nie-robienia* i spania. Tylko *wyzwolenie od pracy otwiera możliwości pracy twórczej.* Katorżnicy Martwego Domu z niecierpliwością czekają tego żeby się zabrać do swojej *twórczości:* „Ale jak tylko zamknęli barak, każdy siadał spokojnie na swoim miejscu i zabierał się do jakiejś roboty. Barak nagle się rozświetlał. Każdy miał swoją świecę i lichtarz... Byli tacy co naprawiali buty, ktoś szył coś z odzieży..." — tu jest kontrast z łagiernikami sowieckimi już nie tylko z ich robotą przymusową, ale z jakąkolwiek *czynnością.* Wyraźnie to widać z rozmyślań Iwana Denisowicza o lekarzu, kierowniku szpitala obozowego, który

„...wymyślił sobie, żeby wszystkich chorych, którzy tylko mogą chodzić, wyganiać na robotę wokół szpitala: poprawiać płot, ścieżki, sypać i nosić ziemię, a zimą — wyrzucać śnieg na trawniki. Praca — powiada — to najlepsze lekarstwo. Od pracy konie zdychają. Trzeba to zrozumieć. Gdyby się sam namęczył przy murarce — ani by pisnął".

W czasie przeglądu lekarskiego w szpitaliku:

„Dziwne wydawało się Szuchowowi, że siedzi w czystym pokoju, w takiej ciszy pod błyszczącą lampą, i że przez całe pięć minut może *nic nie robić*".

Ora et labora, czyli mała dygresja o pracy

„Społeczeństwo nigdy nie będzie mogło się rozwinąć i musi zginąć, jeśli każdy nie będzie robił tego do czego jest stworzony".
(R. W. Emerson)

Tak więc — „Od pracy konie zdychają".

Marks poświęcił liczne strony swego dzieła zagadnieniu pracy w odosobnieniu, reifikacji i alienacji. Niestety zagadnienie pracy indywidualnej i na wolności (według nas lepsze byłyby terminy: praca i twórczość) — do dziś w marksistowskiej literaturze nie zostało zasadniczo rozpracowane, to znaczy jeśli idzie o stosunek: jednostka — praca. Nie mówi się tam w ogóle o „wyzwoleniu pracy" a tym mniej o „wyzwoleniu od pracy", mówi się natomiast o twórczości, która od każdej pracy różni się zasadniczo.

Twórczość nie znosi *żadnego przymusu,* ani zewnętrznego ani duchowego. Do pracy potrzebne jest wyrobienie tzw. „nawyków pracy", a do twórczości jest to zbędne, ponieważ człowiek jest twórcą *par excellence.* (Językiem Biblii: „Człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga".) Mówimy tu o *umożliwianiu* twórczości.

Dziecka nikt nie musi zapędzać do zabawy, zabawa jest

twórczością dziecka, — a jednocześnie zachęcamy dziecko do „powagi nauki", do „korzystnej pracy" itd. itd. Geniusze są zawsze dziecinni. I odwrotnie (cytując L. Tołstoja): — „Większość ludzi do 5-go roku życia to geniusze, 18-tolatki — to średniacy". Do pracy potrzebne jest wykształcenie roboczych nawyków, dyscypliny, ideologii itd. Do twórczości niezbędne jest zburzenie tego wszystkiego i wyzwolenie *spontaniczności*. (Marian Cipra: „Tylko zburzenie świata zastanego otwiera możliwość świata *nadchodzącego*").

Klasyczny przykład stosunku między pracą i twórczością znajdujemy w małej tragedii Puszkina „Mozart i Salieri". Dziecinny bałamut Mozart nie pracuje i wszystko mu się udaje, a Salieri na próżno poświęca się całkowicie *pracy* nad muzyką i w końcu dochodzi do wniosku, że prawdy nie ma nie tylko na ziemi, ale i w niebie, i *zabija* Mozarta.

Każda praca jest niewolą, a bałwochwalstwo pracy jest *bałwochwalstwem* niewoli. Praca jest dla człowieka złem koniecznym, ale fakt, że nie można tego zła uniknąć, nie dowodzi, że to zło jest — dobrem (bolączka większości pedagogów). Jeżeli człowiek ciągle jeszcze nie może z siebie zrzucić kajdanów pracy, nie znaczy to, że te kajdany trzeba gloryfikować. Zmuście Beethovena albo Mozarta, żeby się zajęli jakąś inną działalnością prócz muzycznej — zrobicie z nich nieszczęśliwych niewolników, — choćby ta ich działalność miała jak największe znaczenie *społeczne*. Spotykamy tu pozorny paradoks: im bardziej człowiek broni swej indywidualności, tym jest „wydajniejszy" w sensie ogólnoludzkim. Przeciętny człowiek wchodzi w jarzmo pracy bądź z konieczności, bądź dobrowolnie i z *solidarności* z innymi ludźmi (jak ów pewien nasz profesor, który dobrowolnie za swymi uczniami idzie na śmierć), a nie z tzw. „umiłowania pracy". Jest rzeczą zrozumiałą, że człowiek lubi tylko twórczość, a pracę jedynie znosi. Znamy wielu ludzi, którzy spędzają noc za nocą na budowaniu jakiegoś okrętu z zapałek albo na jakimś innym zajęciu nie przynoszącym korzyści, a w swoim warsztacie *pracują* tylko dla zysku materialnego. Marksa latami *uwalniał od pracy* Engels, który go wraz z rodziną utrzymywał, podczas kiedy Marks *tworzył* „Kapitał". Także Stendhal latami bezwstydnie wykręcał się od swoich obowiązków francuskiego konsula we Włoszech, aby pisać powieści, które współcześni uważali za słabe. (Co byśmy powiedzieli dziś o jugosłowiańskim pośle w którymś obcym kraju, który by wykręcał się od swej odpowiedzialnej pracy, ale pisał książki, o których nasi wybitni krytycy twierdziliby, że są słabe?)

O ile w odniesieniu do pracy ma pełne zastosowanie formuła — „co się musi — nie jest ciężkie", w zakresie twórczości

ważna jest inna — „Co się musi — jest niemożliwe". Stosunek pracy i twórczości jest analogiczny do stosunku prostytucji i miłości. Im lżej komuś przychodzi praca, tym mniej się nadaje do tworzenia. Paradoksalnie mówiąc — nie praca stworzyła człowieka, ale *nie-praca* (ściślej, nie-praca, która umożliwia twórczość). Pamiętamy słowa Alberta Camusa: „W starożytności byli ludzie wolni, ponieważ byli i niewolnicy". Praca jest reprodukcją środków do życia, twórczość jest reprodukcją samego życia. Praca jest środkiem do życia, twórczość — samym życiem. Praca usypia, twórczość budzi. Praca, która ze swej natury jest systemem ruchów psychofizycznych, jest „życiem" maszyny. Twórczość — to życie organizmu.

W encyklopedii Jugosłowiańskiego Instytutu Leksykograficznego pojęcie pracy jest tak zdefiniowane: „Praca — celowa i świadoma czynność ludzi, wykonywana celem uzyskania jakiejś korzyści, która by zadowoliła określone rodzaje potrzeb osobistych, wspólnych albo produkcyjnych. Praca jest głównym warunkiem istnienia i rozwoju społeczeństwa... „W odróżnieniu od tego celem twórczości nie jest „uzyskanie jakiejś korzyści... dla zaspokojenia potrzeb", ponieważ twórczość jest celem sama w sobie, podobnie jak samo życie, stąd w odróżnieniu do *pracy,* twórczość jest głównym warunkiem istnienia i rozwoju *jednostki!* Nieszczęściem jest, kiedy się identyfikuje pracę i twórczość, jak to robi *Wielka Encyklopedia Sowiecka* (tom 42/1956), w której twórczość *(tworczestwo)* zdefiniowano następująco: „czynność człowieka, stwarzająca nowe wartości materialne i duchowe, które mają znaczenie społeczne. Twórczość jest rezultatem pracy i wysiłku..." Widzimy jak głęboko zakorzeniło się w ZSSR fatalne niezrozumienie istotnej różnicy między pracą i twórczością i możemy zrozumieć absurdalny fakt, że niektórzy sowieccy krytycy twierdzą, że jednym z pozytywnych rysów sowieckich łagierników *komunistycznych* jest ich pozytywny stosunek do pracy w obozie, to znaczy do swego niewolnictwa. W tych punkcie sowieccy krytycy zbliżają się do ideologów zakonów katolickich, których reguła „Ora et labora" (módl się i pracuj) gwarantuje zbawienie duszy — a prawdopodobnie przywłaszczyliby ją chętnie i egipscy faraonowie (na użytek swych niewolników, oczywiście).

Z powyższego wynika, że wyzwolenie od eksploatacji socjalnej niekoniecznie oznacza jednocześnie wyzwolenie człowieka, a jedynie otwiera tę możliwość i jest pierwszym z licznych stopni na tej drodze. Socjalne oswobodzenie nie jest jednocześnie oswobodzeniem indywidualnym. Ze stanowiska pracownika nie ma żadnej różnicy w fakcie, że wytwórnia, w której *musi on pracować* dla zdobycia środków egzystencji, nie jest już własnością ka-

pitalisty, ale jest własnością tegoż robotnika i jego towarzyszy. Zawsze, póki człowiek jest *zmuszany* do pracy, każda zmiana społeczna jest w rzeczywistości przemianą standartowego obozu koncentracyjnego w obóz koncentracyjny z samorządem więźniów. Marks wiedział to i dlatego przewidział ostateczne wyzwolenie człowieka (jako *jednostki),* tylko że rolę tę przeznaczył społeczeństwu komunistycznemu na wysokim poziomie automatyzacji produkcji. Stąd szczególnie szkodliwe jest bałwochwalstwo pracy i klasy proletariackiej, które od dziesięcioleci rozwija się w ZSSR. Nie mówi się, że wszyscy ludzie muszą stać się proletariuszami (czyli niewolnikami), ale przeciwnie — mówi się, że wyzwolenie człowieka jest tylko wtedy możliwe, kiedy proletariat obali sam siebie jako klasę, czyli wyzwoli sam siebie. Obozy koncentracyjne, jak ten, w którym przebywał Iwan Denisowicz jako niewolnik, przedstawiają krańcowo materialistyczną *ideę pracy.* Wszyscy łagiernicy pracują i nie mają żadnej możliwości robienia czego innego, a jeżeli staniemy na stanowisku pewnych krytyków sowieckich, że praca jest sensem i celem ludzkiego życia na ziemi — to obozy *pracy* miałyby wiele na swe usprawiedliwienie. Czy przypadkiem nad bramami do hitlerowskich obozów koncentracyjnych nie było napisów: „Arbeit macht frei" („praca wyzwala")? Bałwochwalstwo pracy wcześniej czy później prowadzi do zakładania obozów pracy przymusowej.

Łagiernicy są 100-procentowymi istotami gromadnymi. Jak mrówki albo pszczoły, które jeżeli mają świadomość — jest to wyłącznie „świadomość gromadna". Bałwochwalstwo zawsze prowadzi do walki z każdą indywidualnością, ponieważ każda twórczość jest w swej istocie *indywidualna* (choćby nie wiadomo jak była korzystna społecznie, a to jest ów paradoks, o którym wspominaliśmy). Na szczęście człowiek nie jest wyłącznie „istotą społeczną", ale jest istotą społeczną również i *między innymi,* i nigdy się z tym nie pogodzi, żeby być tylko i wyłącznie „istotą gromadną", mrówką, łagiernikiem — i na tym fakcie załamią się wcześniej czy później wszystkie systemy totalitarne, które nie są niczym innym, jak tylko próbą przetworzenia społecznego *organizmu* w społeczny *mechanizm.* A różnica między organizmem i mechanizmem leży w tym, że w *organiźmie* każda część składowa żyje własnym życiem i własnym *życiem* umożliwia życie całego organizmu, podczas gdy w mechaniźmie każda część składowa jest martwa i swoim *nie-życiem* umożliwia *funkcjonowanie* maszyny. Tym się też tłumaczy pozorny paradoks stosunku „jednostka-społeczeństwo". Im mniej człowiek poddaje się mechanizmowi socjalnemu, tym więcej umożliwia istnienie socjalnego organizmu. Im więcej się poddaje mechanizmowi społecznemu

i staje się cząstką tegoż mechanizmu bez własnej indywidualności, tym prędzej doprowadza do *śmierci* społeczeństwa, jako organizmu żywego. Albo jeszcze dalej — najbardziej korzystną społecznie jest krańcowa, bezkompromisowa indywidualność! A warunkiem istnienia indywidualności jest — twórczość, Łagiernicza praca, ostatni stopień ludzkiego niewolnictwa, odbiera możność twórczości, a tym samym możność egzystencji indywiduum, przemienia ludzi w martwe, ale poruszające się cząstki mechanizmu, a przez to zabija organizm społeczny . W związku z tym — Związek Sowiecki jest rozbudowany przemysłowo nie *dzięki,* ale *wbrew* stalinizmowi (stalinizmowi, a nie — Stalinowi!), który swoim systemem łagrowym zahamował i okaleczył ogromne siły twórcze narodu rosyjskiego, *rozbudzone* rewolucją październikową. Rewolucja jest zawsze negacją pracy w imię twórczości. Do lat trzydziestych stalinizm nie objął jeszcze wszystkich sfer ludzkiego życia, — dzisiaj ZSSR byłby *nieporównanie* większym gigantem przemysłowym i kulturalnym. Uważamy za absurd wszystkie twierdzenia o tzw. „historycznej konieczności" stalinizmu.

Wytwórnie pracy

„Mówić człowiekowi XX-go wieku o wolności — to to samo, co mówić ślepemu o kolorach".
(Mikołaj Bierdiajew)

W IV-tym tomie encyklopedii Jugosłowiańskiego Instytutu Leksykograficznego, w ustępie o obozach koncentracyjnych czytamy: „O. k. — miejsca masowego odosobnienia ludności cywilnej, które organizacyjnie i pod względem sytuacji więźniów nie różniły się istotnie od zwyczajnych katorg. Zamykanie do obozu odbywa się z reguły bez postępowania sądowego, na podstawie decyzji władz wojskowych i policyjnych, które w tym zakresie rozporządzają „najszerszymi uprawnieniami". Odosobnienie często nie jest indywidualne, ale się rozciąga na całe kategorie ludności. Wprowadzanie obozów koncentracyjnych oznacza sprawowanie władzy poprzez masowe zastraszenie i terror".

Obozy koncentracyjne pojawiają się wraz z XX-tym stuleciem jako jedna z jego głównych cech charakterystycznych. Są one wynikiem procesów rozwijających się przez ostatnie pół wieku a zamierzających do zniszczenia indywidualności jednostki i przemieniania ludzkich istot w *roboty.* Pierwsze obozy koncentracyjne założyli Anglicy w czasie wojny burskiej (1889-1902). Potem obozy pojawiają się w Rosji Sowieckiej. Już w roku 1919 WICK *(Wsiechrossijskij Centralnyj Isspołnitielnyj Komitiet)*

wydaje dekret, tworzący obozy pracy przymusowej. Brzmi on następująco.

Dekret Centralnego Komitetu Wykonawczego o stworzeniu obozów pracy przymusowej[1].

1. Przy Oddziałach Zarządu Gubernialnych Komitetów Wykonawczych organizuje się obozy pracy przymusowej.

   Uwaga: 1. Początkową organizację i zarząd obozów pracy przymusowej powierza się gubernialnym Czeka, które przekażą je Oddziałom Zarządu według rozkazów centralnych.
   2. Obozy pracy przymusowej zakłada się za zezwoleniem NKWD.
2. Zamknięciu w obozach pracy przymusowej podlegają te osoby i kategorie osób, do których się odnoszą decyzje Wydziałów Rządu, Czeka, Sądów Rewolucyjnych, Sądów Ludowych i innych organów sowieckich, którym to prawo nadaje się dekretami i ukazami.
3. Wszystkich bez wyjątku więźniów w obozach kieruje się do pracy według poleceń instytucji sowieckich.
4. Uciekinierzy z obozu albo z pracy będą jak najsurowiej karani.
5. Jako władzę nad wszystkimi obozami pracy przymusowej na całym terytorium RSSR, obok NKWD i w porozumieniu z Centralnym Komitetem Wykonawczym ustanawia się Centralny Zarząd Obozów.
6. Komendantów obozów przymusowej pracy wybierają miejscowe Gubernialne Komitety Wykonawcze, a wybór potwierdza Centralny Zarząd Obozów.
7. Kredyty na organizowanie i utrzymanie obozów daje NKWD na rachunek Gubernialnych Komitetów Wykonawczych.
8. Lekarsko-sanitarny nadzór nad obozami poleca się miejscowym Oddziałom Ochrony Zdrowia *(Zdrawochranienia)*.
9. Przygotowanie szczegółowych przepisów i instrukcji poleca się NKWD i to w terminie dwu tygodni od ogłoszenia niniejszego zarządzenia.

Podpisano: Przewodniczący CKW
M. Kalinin

Sekretarz
L. Sieriebriakow

Na razie, do lat 1929-30, do epoki przymusowej kolektywizacji, obozy były stosunkowo nieliczne, a dopiero od owego czasu mnożą się jak liczby w postępie geometrycznym. Następnie powstają obozy i „grupy obozów" — Sołówki, Ust-Iżma, Kołyma, Magadan, Workuta i Narim (ostatnie cztery wspomina Aleksander Twardowski w swoim doskonałym poemacie satyrycznym „Tiorkin w Raju", 1963), a Centralny Zarząd Obozów otrzymuje nazwę — Gułag („Gławnoje Uprawlienie Łagierej").

Po Sowietach Hitler po dojściu do władzy zakłada obozy w Niemczech. Przed wybuchem II wojny światowej nazistowskie Niemcy posiadały 6 obozów koncentracyjnych. W czasie wojny ilość ich osiągnęła astronomiczną liczbę, a „najsławniejszymi" stały

1. Ogłoszono w numerze 81 — „Izwiestia Wsierossijskogo CIK Sowieta" z 15. IV. 1919 r., przedrukowano w „Sbornikie Dekretow 1919 goda", str. 80, Moskwa, 1920.

się tzw. „fabryki śmierci" — Buchenwald, Dachau, Oświęcim i Mauthausen. Nie ma potrzeby tu o nich pisać — znamy je dobrze.

O sowieckich obozach młody sowiecki krytyk, W. Lakszin, tak pisze: „System łagrów, przez które przeszedł Iwan Denisowicz, obliczony był na to, aby bez litości dusić i zabijać w człowieku każde odczuwanie prawdy i praworządności; poprzez całkowitą bezkarność samowoli, wykazał niemożliwość jakiejkolwiek rewolty. Administracja łagrów dbała o to, aby więźniowie ani na chwilę nie zapomnieli, że nie mają żadnych praw, że jedynym sędzią nad nimi jest samowola władzy. Przypominał im to harap lejtnanta Wołkowoja, który zamęczał ludzi w karcerach, przypominano im to, odbierając niedzielny odpoczynek i wypędzając do pracy o każdej porze"[2].

Niestety nie znamy nawet w przybliżeniu liczby więźniów obozów stalinowskich. Znamy jedynie wypowiedź N. Chruszczowa na tajnym posiedzeniu XX-go Zjazdu KPZS, na którym mówiło się o milionach niewinnych sowieckich obywateli, poddawanych surowym represjom[3]. Znana jest natomiast liczba więźniów w carskiej katordze. W 20-tym tomie Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej (2-gie wydanie, 1953), pod słowem „katorga" — znajdujemy dokładne dane o liczbie katorżników za cały okres panowania Romanowych. Na przestrzeni XIX-go stulecia liczba więźniów waha się między pięcioma i dziesięcioma tysiącami, a najwyższą cyfrę osiąga przed wybuchem pierwszej wojny światowej: 1908 — 16.000, 1910 — 28.000, 1912 — 31.000 więźniów we wszystkich katorgach Rosyjskiego Imperium. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że wzrost zaludnienia w ciągu jednego wieku na terytorium ZSSR wynosi około 30%, to wzrost liczby więźniów od 10.000% do 50.000% (a może i o wiele więcej) nie świadczy na korzyść wieku XX-go. Wykazaliśmy, że katorga, przez którą przeszedł Dostojewski, to po prostu niewinne sanatorium w porównaniu z łagrem Sołżenicyna. A przede Turgieniew uważał, że niektóre stronice „Zapisków z Martwego Domu" są dantejskim piekłem. Również Herzen pisał:

„Nie należy zapominać, że epoka ta pozostawiła nam pewną straszną książkę, swego rodzaju *carmen horrendum*, która zawsze będzie jaskrawo błyszczała nad wyjściem z mrocznego panowania Mikołaja, jak znany napis dantejski nad wejściem do piekła: jest to „Martwy Dom" Dostojewskiego, sam autor tej straszliwej książki prawdopodobnie sobie nie wyobrażał, że skreślając zakutą w łańcuchy ręką obrazy towarzyszy-katorżników, tworzył z opisu syberyjskiego więzienia freski à la Buonarroti"[4].

2. „Nowyj Mir" — 1/1964, str. 237.
3. Patrz: XX Sjezd Komunisticzeskoj Partii Sow. Sojuza, 14-15 fiewrala 1956 goda. Stienograficzeskij otczet", — Moskwa, 1956.
4. A. I. Herzen — „Pisma Zebrane", tom XVII, str. 258.

Stary, naiwny Herzen!

Przy tym wszystkim nie tylko Herzen albo Turgieniew są naiwni. Jest dosyć i współczesnych naiwnych. Np. w sowieckim czasopiśmie *„Ogoniok"* (Nr 13 z 22. III. 1964), w artykule „Ulica Salama Adila", autorka artykułu, I. Irosznikowa, wzdryga się nad potwornościami dzisiejszych więzień irackich; w najstraszniejszym z nich, w więzieniu „Nukrat as Salman", nudził się iracki rewolucjonista, dziś już nie żyjący Salam Adil. Żonie swojej „... mówił o więziennych dniach: o pasjonujących turniejach szachowych, kiedy na własnoręcznie wykonanych szachownicach grano figurami zrobionymi z więziennego chleba, i o wykładach, które odbywały się w celach..." Jeżeli pamiętamy straszliwą walkę, jaką dzień i noc toczy Iwan Denisowicz o zdobycie okruszyny chleba — potworności więzienia, w którym z chleba robi się szachowe figury, wydają się śmieszne.

Rozkwit obozów koncentracyjnych jest ściśle związany z rozkwitem etatyzmu (rosyjska *gosudarstwiennost)*. Jeżeli przypomnimy sobie, że Lenin w „Państwie i Rewolucji" pisał: „Państwo jest specjalną organizacją siły, organizacją gwałtu dla zduszenia jakiejś klasy... Wszystkie przebyte rewolucje udoskonalały jedynie maszynę państwową, a tę trzeba rozbić i złamać. Jest to główny i podstawowy wniosek nauki marksizmu o państwie... Stawiamy sobie za ostateczny cel zniszczenie państwa, to znaczy zniszczenie wszelkiego zorganizowanego i systematycznego gwałtu, każdego w ogóle gwałtu nad ludźmi... Póki istnieje państwo, nie ma wolności. Kiedy nastanie wolność, nie będzie państwa"[5] — staje się dla nas zupełnie jasne, że obozy koncentracyjne w żadnym wypadku nie są nierozerwanie związane ze społeczeństwem socjalistycznym ani z ideą socjalizmu i że ich istnienie jest żywą negacją socjalizmu. W naszym mniemaniu najbardziej pozytywnym wydarzeniem w rozwoju sowieckiego społeczeństwa w ciągu ostatnich dziesięcioleci — wydarzeniem równym zwycięstwu w II wojnie światowej — jest fakt, że dziś w Sowietach publicznie i otwarcie dyskutuje się i pisze o obozach koncentracyjnych. Niestety ciągle jeszcze istnieje tendencja do pomniejszania negatywnego znaczenia długoletniego istnienia obozów sowieckich, co w świadomości ludzi hamuje wyzwolenie ludzkości, a więc i możliwość niezbędnej i koniecznej rehabilitacji samej idei socjalizmu. W najnowszym wydaniu „Słownika Filozoficznego" (Moskwa, 1963) na stronie 222 czytamy, że „...choć kult jednostki za Stalina nie mógł zmienić natury socjalizmu, to przecie był poważnym hamulcem w rozwoju sowieckiego społeczeństwa". Trzeba na

5. Według „Pism" Lenina, tom 25, Moskwa, 1955. Strony 375, 378, 428, 440.

koniec powiedzieć otwarcie: albo kult Stalina *zasadniczo zmienił* naturę socjalizmu, albo — jeżeli się tego nie widzi — to i Adolf Hitler był również wybitnym socjalistą, szczególnie jeżeli wspomnimy jego słowa:

„Chcemy ludzi socjalizować... Czasy szczęścia osobistego minęły, będziemy odczuwali szczęście innych ludzi... Chcę narzucić światu wieczną rewolucję, która obejmie wszystkie dziedziny ludzkiego życia... Ponieważ partia jest nieprzekupnym sędzią... Człowiek zawsze musi dążyć do coraz większego doskonalenia się. Jeżeli w tym dążeniu nastąpi zahamowanie zejdzie się do stanu zezwierzęcenia... Ruch jest wszystkim. Trzeba zawsze być w ruchu, bo stagnacja jest złem... Przeciw historii chcę postawić zasadę obalenia historii... Dyscypliną jest to, co się podtrzymuje wspólnie, nie zaś pojedyncze punkty programu... Człowiek jest bogiem przyszłości... Potrzeba nam ludzi wolnych, którzy Boga czują w samych sobie... Ja odrzucam dogmat o odkupieniu człowieka przez mękę i śmierć Chrystusa i ustanawiam nowy dogmat o odkupieniu człowieka przez życie i akcję... I Stary i Nowy Testament są takim samym żydowskim oszukaństwem... My jesteśmy tymi, którzy odmłodzą świat"[6].
1939.

Zakończenie

„Każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje".
Goethe

„Psy lubią, jeżeli spokój i pokora mają wewnętrzne podobieństwo"
Dostojewski — *Zapiski z Martwego Domu.*

W związku z poprzednimi rozważaniami nasuwają się nam pytania:

1. Na czym w rzeczywistości polega postęp XX-go stulecia w porównaniu z XIX-tym?
   Czy nie należałoby samego pojęcia postępu rozpatrzyć na nowo?
2. Co się stało z lejtnantem Wołkowojem oraz z urzędnikami śledczymi, którzy tysiące i tysiące Iwanów Denisowiczów zesłali do zwyczajnych i specjalnych łagrów syberyjskich, co się stało z pozostałymi „esesmanami" rosyjskich obozów koncentracyjnych? Czy ich sądzono i gdzie? A jeżeli nie i jeżeli winni byli tylko Jeżow, Beria i Stalin — to jakim moralnym prawem sądzimy Eichmanna i innych katów hitlerowskich?
3. Kiedy się zacznie wznosić pomniki ofiarom syberyjskich katowni?

6. **Według książki Hermanna Rauschninga — „Hitler m'a dit" Paryż 1939.**

4. Czy wypisze się na tych pomnikach jakąś konkluzję będącą wyrokiem na tzw. „kult jednostki"?
5. Kiedy otrzymamy szczegółowe informacje, dokumentację, fotografie itd. itp., dotyczące wszystkich łagrów w historii pierwszego społeczeństwa socjalistycznego?
6. I jeszcze — czy takie pytania nie są czasem (w dalszym ciągu) nieprzyzwoite i czy nie byłoby bardziej godne polecenia zająć się językoznawstwem lub teorią logicznej analizy?

Na ostatnie pytanie od razu odpowiemy: nie, nie i nie! Właśnie wiara w stworzenie socjalizmu daje siłę do pełnego zrozumienia owych strasznych śladów wyrytych na ludzkich *duszach,* które pozostawiło długoletnie zamroczenie socjalizmem stalinowskim. I także dopóki przeanalizowany i wyciągnięty na światło dzienne kulminacyjnie zły uczynek, popełniany w ciągu ostatniej połowy wieku w imię *człowieczeństwa* — to najokropniejsze, najstraszniejsze następstwo „socjalizmu obozowego" — *strach* — a to samo przez się znaczy skłonność do nowej niewoli — nie zostanie usunięty.

Ciężko i boleśnie jest widzieć w tym „ludzkim, o gołębiej duszy, wielkim, bratnim, słowiańskim narodzie rosyjskim", „esesowców" i „gestapowców" którzy niczym nie różnią się od urzędników Himmlera i Kaltenbrunnera. Dopóki jednak nie zrozumiemy, że *faszyzm* jest objawem nie tylko socjalnym ale i psychicznym, i że nie był terytorialnie związany wyłącznie z krajami Osi, ale że pojawiał się wszędzie na kuli ziemskiej, we wszystkich systemach i we wszystkich narodach i w momentach zaniku wiary w nieprzemijającą i absolutną wartość ludzkiej istoty — póki tego nie zrozumiemy, możemy znaleźć się w położeniu bohatera powstania w Buchenwaldzie, Sieńki Kławszyna, którego w sowieckim obozie koncentracyjnym nie może złamać terror, ale złamie go upadek wiary, gdy zrozumie, że to zło, z którym walczył *w Niemczech,* jest tak samo obecne i w jego ojczyźnie. Z tej przyczyny i nam sowieckie łagry wydają się straszniejsze od niemieckich, bez porównania straszniejsze, chociaż pod niektórymi obiektywnymi aspektami może i mogły być „lepsze".

Odpowiedzi na powyżej postawione pytania wykażą, że nie ma wyboru między Hitlerem i Stalinem. Mimo wielu różnic, tak stalinizm jak i hitleryzm są objawami tego samego historyczno-socjalno-psychologicznego rzędu; można tak samo założyć, że społeczna historia Hiszpanii nie wiele by się zmieniła, gdyby zwycięstwo przypadło Republice a nie gen. Franco; podobnie jest wątpliwe czy w Niemczech reżym byłby o wiele demokratyczniejszy w wypadku zwycięstwa „niemieckiego października" a

nie NSDAP. Bez względu na to pod czyją flagą się rozwija, ciągle jeszcze na całym świecie trwa groźny proces przemiany człowieka w jakiś, wciąż nam nie znany, rodzaj bezmyślnych istot.

Udowodniliśmy, że niewola i ucisk, pod wpływem którego człowiek stara się zmienić samego siebie w martwą maszynę, są w XX-tym stuleciu nieporównanie większe niż w XIX-tym. Sam fakt jednak że dziś możemy o tym swobodnie dyskutować, dowodzi, że człowiek jest silniejszy od tego nacisku. A w związku z postępem i zagadnieniem samego pojęcia postępu, można założyć, że najważniejszy, najistotniejszy postęp ludzki leży właśnie w powiększaniu się reakcji przeciw temu naciskowi. Jeżeli zaś przyjmiemy ten punkt widzenia, to zacznie się zmieniać cała perspektywa historyczna, i wtedy zrozumiemy myśl Goethego, że — „każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje", albo innymi słowami — że nie można terroryzować kogoś, kto na to nie pozwala. Fizyczna śmierć może oznaczać wyzwolenie, ale godzenie się z niewolą — jest zawsze śmiercią.

Jeszcze wtedy, w roku 1921-ym Ilia Erenburg pisał w „Julio Jurenito"[7]:

„Ludzkość wcale teraz nie zdąża w stronę raju, ale w stronę najsurowszego i najczarniejszego czyśćca. Następuje odumarcie wolności. Nowe, niesłychane niewolnictwo prześcignie Asyrię i Egipt. Ale niewolnicze galery będą tylko wstępem, natomiast gwarancje wolności — nie jarmarcznymi figurami, nie zmyśleniami pismaków, ale wolnością twórczą, niezachwianą równowagą, ostateczną harmonią. Chcesz zapytać — dlaczego to odstępowanie do tyłu, albo w bok, te bezcelowe, szalone miesiące?... Wolność nie wykarmiona krwią, ale przyjęta jak jałmużna w podarunku, umrze. Ale zapamiętaj — teraz, kiedy tysiąc rąk chłoszcze, a miliony rozpustnie podstawiają plecy — przyjdzie dzień, kiedy bicie nie będzie nikomu potrzebne. Daleki dzień!"

Wiemy, że pierwsza część proroctwa Erenburga się spełniła. Wierzmy, że się spełni i druga część.

Rzeczywiście kraj nasz w ciągu NOB (Narodna Oslobodilacka Borba — Narodowa Walka Wyzwoleńcza — przyp. tłum.) i owego bohaterskiego roku 1948-go udowodnił, że nieograniczony nacisk wywołuje nieograniczoną siłę oporu, a jedynie ta *siła* oporu daje gwarancję, że wolności się nie straci, jak się traci jałmużnę.

A i najmniejsza niewola — czy mowa o łagrze Iwana Denisowicza czy o codziennym niewolnictwie „rodzinnym" — może być pozytywna tylko z jednego stanowiska — jeżeli zrodzi opór, który umacnia jeńca. Zawsze trzeba wiedzieć: nikt nikomu nie może dać wolności. Ani odebrać. Człowiek jest *par excellence*

7. „Przygody Julio Jurenity i jego uczniów".

istotą wolną. A jeżeli tego nie wie, — jest niewolnikiem.

Trudno jest przewidzieć czy ludzie zamienią się w roboty czy też po przejściu groźnego procesu tego wieku staną się bardziej wolni niż kiedykolwiek w historii: nie wiemy tego jeszcze, a nie istnieją żadne prawa, które by nam gwarantowały piękną przyszłość. Wszystko zależy od nas samych, od tego czy się zgodzimy być niewolnikami (a niebezpieczeństwo zawsze czyha), czy też ostateczna i straszna groźba zniszczenia *ducha* w człowieku —wyzwoli ogromną siłę oporu i złamie nacisk *bezduszności.* A ta walka, jak to ustami Kiryłowa prorokował Dostojewski w „Biesach" — zmieni człowieka nawet fizycznie. *„Ludzkie dusze oczekuje ostatnia, największa walka"* — powiedział genialny rosyjski myśliciel, Lew Szestow.

Mihajlo MIHAJLOW

(Tłumaczyli z jugosłowiańskiego *Tadeusz i Radmiła Lisiccy).*

(Cytaty z „Zapisków z Martwego Domu" Dostojewskiego w tłumaczeniu *Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego;* cytaty z „Jednego dnia Iwana Denisowicza" Sołżenicyna w tłumaczeniu *Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego).*

© Copyright by „Kultura".

. . . . . .

Powyższy esej jest rozdziałem książki M. Mihajlova, która ukaże się w końcu bieżącego roku w „Bibliotece Kultury", pt. „Tematy Rosyjskie" (tytuł prowizoryczny).

Książka będzie zawierać m. in. rozdziały:

Czego chcemy i dlaczego milczymy.
Dostojewski i socjalizm.
Modernizm rosyjski.
Moskwa latem 1964 (tekst integralny i uzupełniony przez autora).

Zapowiedzi wydawnicze

W 30 lat po ukazaniu się pierwszego tomu wierszy **Jerzego Pietrkiewicza,** Biblioteka **Kultury** wydaje reprezentatywny wybór jego poezji pt.:

POEMATY LONDYŃSKIE I WIERSZE PRZEDWOJENNE

który zawiera utwory z okresu 1935 — 1953.

W młodym pokoleniu przedwojennym poezja autora „Prowincji" osiągnęła wielką popularność; na emigracji **Pietrkiewicz** prowadził dalej pracę odkrywczą w budowie poematu aż do „Sielanki stołecznej" w 1952 r. Od 1953 r. pisze po angielsku i zdobył już sobie wybitną pozycję w powieści współczesnej. Ten sukces w nowym języku coraz bardziej zwraca uwagę na oryginalność jego twórczości poetyckiej. Wybór, który ogłaszamy, pozwala po raz pierwszy na ocenę polskiego dorobku Pietrkiewicza.

Tom który będzie liczył około 200 stron ukaże się w październiku.

◆

ARTUR KOESTLER

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

wzięte z dwóch tomów autobiografii autora, obrazujące jego współpracę z partią komunistyczną, pobyt w Związku Sowieckim, historię jego rozczarowań i powody jego ostatecznego zerwania z komunizmem.

Seria „Archiwum Rewolucji"

Wtrącenia do przekroczonego czasu...

„Wojna i Sezon", druga świetna książka M. K. Pawlikowskiego, jest niby dalszym ciągiem powieści „Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego". Kwestionowano powieściowość tamtej, wskazując, że zarówno z formy jak treści jest raczej pamiętnikiem; że autor niepotrzebnie wprowadził bohatera „Tadeusza", a powinien był pisać w pierwszej osobie itd. Może w większym stopniu te uwagi dałyby się odnieść do „Wojny i Sezonu", gdzie rzekomy bohater gra jeszcze mniejszą rolę. Ale czy „powieść", czy „pamiętnik", czy „gawęda", ważna jest sama książka. Pewien utalentowany krytyk rosyjski, Eichenwald, powiedział kiedyś trafnie: „Tam gdzie mamy przed sobą kwalifikację, traci znaczenie klasyfikacja".

Nowa książka obejmuje zdarzenia od początku pierwszej wojny światowej, przekracza ten wysoki próg dziejów, i prowadzi do wybuchu drugiej wojny światowej. Stąd tytuł: „Wojna i Sezon", między wojnami. Terenem czasu są przeważnie ziemie b. W. Ks. Litewskiego; oczami które patrzą na te czasy są oczy symbolicznego Tadeusza, rodem z rozgromionego dziś stanu szlacheckiego. — Przeczytałem ją jednym tchem, może z większym jeszcze zachłyśnięciem niż pierwszą książkę. Byłem miejscami oczarowany, miejscami rozdrażniony, olśniony, sceptyczny; i znów zachwycony,. i z kolei skłonny do niejednej złośliwej uwagi. Tak bywa gdy się czyta książkę oddającą pewną prawdę, czy to literacką czy historyczną. Gdy przerzucam książki wydawane dziś w Warszawie, załgane od stóp do głów, nie wzbudzają innej chęci poza zniewięciem i odłożeniem na bok. Książka Pawlikowskiego jest ponadto tym, co się nazywa przyczynkiem do historii.

Dla uniknięcia nieporozumień Redakcja wyjaśnia, że nie ze wszystkimi tezami autora się zgadza.

Jesteśmy w roku Pańskim...

Nieomal w samym progu książki Pawlikowski się potyka: Imperator rosyjski..., a dalej nie: „król polski", — jak pisze — lecz: „car polski", w. ks. finlandzki etc. etc. etc. Albowiem po zakończonym Kongresie Wiedeńskim, gdy 20 grudnia 1815 roku ogłoszona została konstytucja „Królestwa Polskiego" (Kongresowego) — zresztą najbardziej liberalna w ówczesnej Europie — okazało się, że tytuł Aleksandra I-go w tekście rosyjskim brzmi nie: „Korol polskij", lecz: „car polskij". Stąd też rosyjską nazwą Kongresówki było nie: „Korolestwo Polskoje", tylko: „Carstwo Polskoje". — Jeden z tych tępych błędów *prestige'*owo-psychologicznych strony przeciwnej, w które obfitują dzieje wszystkich stron.

Jesteśmy więc jeszcze w roku Pańskim 1914-tym. O roku ów! — mógłby wykrzyknąć dziś każdy mieszkaniec globu — gdybyż ciebie nie było! Ech...

„Droga biegła przez Kliczew, Oslę, Czeczewicze i Horodziec. — *Pisze M. K. Pawlikowski.* — W cieniu sosen rosochatych na mchu i wrzosach przysłuchiwano się głuchym, jakby podziemnym pomrukom dalekich armat. Ten odgłos nieprzyjemny przypominał, że jest wojna i że podróż przez bory prześliczne odbywa się nie w celach krajoznawczych, a dlatego że „wojenka" (co za pieszczotliwy eufemizm!) wypruwa ludzi z nagrzanych, pachnących myszką i suszonymi jabłkami kątów".

Zastanawiam się, czy dla omówienia książki Pawlikowskiego jest to okoliczność dodatnia że osobiście, aczkolwiek o kilka lat (w tym wieku mówiło się raczej: klas gimnazjalnych) młodszy, to wszakże patrzyłem na ten sam krajobraz, na tych samych ludzi i te same dzieje co „Tadeusz", względnie jego autor? Słowem byłem świadkiem naocznym opisywanych wypadków. A właśnie z wybuchem wojny 1914 ukuto dowcip: „Kłamie, jak naoczny świadek"... Dowcip, sądzę, powstał z wielkiej rozbieżności wrażeń pod wpływem niebywałego przedtem natłoku zdarzeń. Dziś, od czasu powstania moralności i interpretacji socjalistycznej, nikt sobie tym głowy nie zawraca i w zależności od potrzeb, na czarne powie białe i odwrotnie z większą łatwością niżby wonczas splunął. Ale przed pół wiekiem obowiązywały moralności XIX-wiecznego obiektywizmu. — „Jakże to, mówiono, z wyrzutem w głosie, widziałeś na własne oczy, kiedy ludzie mówią, że to nieprawda?!"

W odpowiedzi rodziły się zapalczywe polemiki o szczegóły i fakty. Zależnie od tego co i jak, kto widział, lub słyszał. Polemiki częściowo do dziś nie rozstrzygnięte. Tak więc na przykład osobiście widziałem i słyszałem, że w pasie zafronto-

wym, zaraz po wybuchu wojny, narastał dziki antysemityzm. Żyd traktowany był z reguły za potencjalnego „szpiega niemieckiego". Pawlikowski widział, że zapanował wtedy raczej filosemityzm. Ja bym w tym sporze powołał się dodatkowo na wystąpienia Guczkowa, albo jeszcze bardziej na wspomnienia głośnego adwokata, Żyda Gruzenberga, ogłoszone między wojnami w Paryżu. Co ten opisuje, cytując szczegóły z obrończych spraw żydowskich prowadzonych zaraz po wybuchu wojny!...

Nie układa się też w mojej pamięci to, co Pawlikowski pisze o rzekomych skutkach słynnego rozkazu w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, by cofające się wojska zostawiały za sobą „ziemię spaloną" i uprowadzały przymusowo ludność: „Dziesiątki tysięcy grobów przeważnie dziecięcych — czytamy u Pawlikowskiego — wyrosło na zboczach szlaków wygnańczych: tysiące wsi i dworów poszło z dymem..." Istotnie, rozkaz taki był wydany, i ponoć próbowano go gdzieś wykonywać. Doszły mnie też później słuchy, że poniektórym panom udawało się brać za spalone dobra grubsze odszkodowania... Pozostało mi jednak wrażenie wzrokowe (jako że zostałem po tej stronie ziemi, która „miała być spalona") że *somme toute*, rozkaz naczelnego wodza nie był wprowadzony w życie, a zniszczenia wynikały wskutek lokalnych działań wojennych. Nawiasem mówiąc, zastanawia mnie w tej chwili, czy legenda o skutkach tego rozkazu nie należała już do początków owej magii cyfr, która po drugiej wojnie światowej, zwłaszcza w dziedzinie cyfr tyczących tzw. „biologicznego wyniszczenia", osiągnie szczyty, a zarazem zaskoczy niespodzianką niezwykłego wzrostu ludności?...

Nie było tego zdarzenia z Mikołajem II w Wilnie.

Poza wspomnianym wyżej, trochę mieszczańskim, przywiązaniem do relacji solidnej (dopiero wyrywanej z ociężałości przez nowoczesną propagandę: „Niemieckie okrucieństwa w Belgii!..." — „Kozacka dzicz w Prusach i Galicji!..." itp) istniał jeszcze inny, a przeciwstawny tamtej typ relacji, zrodzony z panującej wówczas kawalersko-nonszalanckiej mody. Relacji anegdotycznej, przeznaczonej nie na dziejowy, a bardziej prywatny użytek.

Dla charakterystyki pozwolę tu sobie, w nawiasie, rozwinąć pewien szczegół choć historycznie bez znaczenia. Oto Pawlikowski, kreśląc współczesne sylwetki — (w danym wypadku młodość Witolda Rudominy, jednego z notorycznych „facecjonistów") — przytacza bez zastrzeżeń zasłyszane przez siebie zdarzenie, które streszczę poniżej w telegraficznym skrócie:

„W pierwszym roku wojny Mikołaj II odwiedził Wilno. Wzdłuż trasy ustawiony był kordon szkół średnich. Rudomin był uczniem 8-mej klasy ekskluzywnego wileńskiego gimnazjum Winogradowa, i stał obok swego przyjaciela Bebusia (De Rosset). Panował mróz siarczysty. Czekali długo. Bebuś miał w kieszeni flaszkę wódki, i na przemian biegali do bramy aby z niej łyknąć na rozgrzewkę. Jakiś Żyd z tyłu szczególnie naciskał na Bebusia, co go ogromnie drażniło. Wreszcie nadjechał oczekiwany cesarz. Bebuś cisnął czapką w śnieg, wyrwał się z szeregu i wrzasnął: „Ura, ura, ura!". Sam cesarz go zauważył, i z uprzejmym uśmiechem przyłożył palce do czapki. Gdy minął, Bebuś odwrócił się i trzasnął Żyda w twarz. Zrobiło się zamieszanie. Zjawił się rewirowy. A na to Bebuś: „A pan wie z kim pan mówi?! Należałem do osobistej ochrony cesarza. A to oto indywiduum, wskazał na Żyda, tak napierało, że ledwo mogłem utrzymać kordon". Te słowa wywarły wielkie wrażenie na rewirowym etc..."

Dlaczego przytaczam tę relację? Bo chodzi o rzecz znamienną, o oddanie pewnej prawdy, której ani jeden prawie szczegół nie odpowiada prawdzie. Wytłumaczę pozorny paradoks:

Złożyło się, że i ja byłem uczniem tegoż gimnazjum Winogradowa, acz w znacznie młodszej klasie. I ja tego dnia stałem w szpalerach szkolnych wzdłuż trasy na przywitanie cesarza. I ja opisywanego zdarzenia — nie widziałem... Choć przypominam dokładnie, że było mniej więcej odwrotnie: nie siarczysty mróz i śnieg, a ledwo podmarzłe błotko; nasze gimnazjum ustawiono na ulicy Wielkiej od gmachu b. ratusza wzdłuż skweru, czyli po środku placu; z wielu względów bieganie stamtąd do bramy na rozgrzewkę, było praktycznie niemożliwe; za nami stało „ciało pedagogiczne", i od nacisku tłumu przedzielali gorodowoje. Po drugiej stronie ulicy kordon tworzyło wojsko. Przy przejeździe cesarza, zlewające się w jeden ryk: „ura!" było tak potężne, że pojedynczy okrzyk Bebusia w żaden sposób nie mógłby się wyseparować; Mikołaj II nie mógł specjalnie przyłożyć palców do czapki, gdyż całą rękę miał przyłożoną do niej od początku i przez czas przejazdu nie odrywał jej ani na chwilę. Wreszcie siedział z prawej strony, podczas gdy my staliśmy z lewej. — Słowem opowiedziane zdarzenie, które autor zaczerpnął niewątpliwie z relacji Rudomina, jest zmyślone. Nazwałem je jednak „oddaniem pewnej prawdy", gdyż wiernie oddaje pewien styl ówczesnej rzeczywistości widzianej „oczami Tadeusza". Błąd Pawlikowskiego tkwi jedynie w braku zastrzeżenia. Całość jest charakterystyczna dla relacji z epizodów zarówno bez znaczenia, jak o pewnym czy większym znaczeniu. Nie miały być na użytek dydaktyczny. Musiały leżeć jak dobrze skrojona bekiesza.

Nie chodziło też o rozdzielenie prawdy od anegdoty, smutku od poczucia humoru, czynu od gestu nonszalancji. Anegdota przechodziła do legendy, jak ją opowiadano. Zresztą świetnie tę prawdę podchwytuje sam Pawlikowski, gdy pisze w innym miejscu:

„Za stołem rej wodził pan Ludwik Uniechowski. W przeciwieństwie do Tadeusza miał dar opowiadania i wszyscy słuchali go w skupieniu, choć właściwie nic nie widział... Na Tadeusza, naocznego świadka, nikt nie zwracał uwagi, siedział więc zawstydzony i wstyd zapijał burgundem. Przejść miało szereg lat, zanim się dowiedział, że dobre opowiadanie polega na tym *jak* się opowiada, a nie na tym *co* się opowiada".

To tak jak dziś. Z tą wszelako różnicą, że wówczas nie obowiązywało w tym stopniu zamówienie społeczne, polityczne, patriotyczne. Natomiast bardziej obowiązywało zamówienie towarzyskie. Mogło być nijakie, błahe, żadne, byle relacja dowcipna, a czym bardziej przesadna tym więcej do śmiechu. Jąkanie prawdy zbywano grymasem znudzenia, trochę podobnym do tego z jakim dzisiejsi komuniści zbywają wszelkie „obiektywizowanie"...

Oto klasyczna relacja tego typu na str. 93:

„Ulica Zacharzewska w Mińsku będąca szlakiem do dworca, była zapchana uciekającymi na złamanie karku bolszewikami. Tę panikę wyzyskał pan Szunejko, pozbawiony prawej ręki skutkiem nieszczęśliwego wypadku w młodości. Stanął na ulicy Zacharzewskiej i grożąc rewolwerem trzymanym w lewej ręce, z pustym rękawem prawej ręki wetkniętym w kieszeń bekieszy, żądał od zbiegów przybranych w skórzane kurtki komisarskie oddawania posiadanej gotówki. Żądał przy tym wyłącznie rubli carskich gardząc tzw. „kierenkami". Oddawali potulnie, bez cienia oporu, byle tylko prędzej wydostać się z Mińska. W ten sposób pan Szunejko miał zarobić coś około ćwierć miliona rubli — sumę wtedy jeszcze bardzo znaczną".

Pomijam już moment psychologiczny. Rozkładając tę relację na podstawowe elementy fizyczne, łatwo ustalimy że jest sprzeczna z logiką opisywanego momentu, manipulacyjnie niewykonalną. (Mógł odebrać jednemu-dwum. Bo co robił tłum uciekających, a zapychających ulicę bolszewików, w czasie gdy pierwsi zatrzymani sięgali po pieniądze aby je oddać? Szunejko chował rewolwer (gdzie?) aby mieć wolną rękę do wzięcia tych pieniędzy, schowania ich (gdzie?); następnie wydobycia i ponownego grożenia rewolwerem? Czy tłum bolszewików ustawiał się w kolejkę? Czy przygotowywał pieniądze zawczasu, boć chyba w zębach ich nie trzymał? To znowu byłoby sprzeczne z nastrojem „panicznej ucieczki". Itd. itd.) — Słowem czysta fantazja. Ale dopiero zaokrąglenie do przesadnej cyfry „ćwierć miliona rubli", tworzy z niej anegdotę o wartości legendy.

Mużyk i pan.

O roli szlachty-ziemian na tzw. kresach, pisano dużo gloryfikującego. Pisano dużo oczerniającego. Napisano dużo „rehabilitującego". Napisano też sporo pod smak i gust dzisiejszych poglądów. Sądzę, że w rzeczywistości środowisko tamto i jego rola, były mniej więcej takie, jak to wynika z lektury Pawlikowskiego.

W miarę dobrzy i źli, w miarę indywidualni, w miarę napuszeni sloganami. Zawsze gotowi do „siadania na koń w potrzebie ojczyzny", z wyraźną tendencją odroczenia siodłania na później. Przekonywujący jeden drugiego o konieczności „realnego patrzenia na rzeczy" i zerwania „raz wreszcie z trzaskaniem w karabelę po próżnicy". Słowem, z grubsza biorąc, podobni do innych ludzi. Poza tym zajęci głównie pomnażaniem doczesnych dóbr materialnych dla „utrzymania polskiego stanu posiadania na kresach". Takimi ich też zastał wybuch pierwszej wojny światowej. Podzielili się, jak inni, na „orientacje", koterie i stronnictwa. Wybuchali patriotycznym optymizmem, lub poddawali się pesymizmowi na przemian. Niektórzy pociągnęli w pole. Większość zadekowała się w „ziem-huzarach" i przeróżnych paramilitarnych byle tyłowych organizacjach rosyjskich, „dla zachowania tym razem biologicznego stanu polskiego". — Nie twierdzę, że właśnie tak chce ich przedstawić Pawlikowski. Twierdzę, że zgodnie z prawdą, tacy wynikają z lektury jego książki.

Ani to dobrze, ani źle. Pamiętam te niezliczone okruchy rozmów przy stole, z których pozostało wrażenie, że interes osobisty w jakiś opatrznościowy sposób pokrywa się z interesem publicznym. Co zresztą wcale nie dowodzi, że tak właśnie nie miało być. Chociaż, naturalnie, program streszczający się do: „Nie szukać guza", trudno zaliczyć do programów najbardziej oryginalnych. Nie chodzi jednak o charakterystykę społeczno-polityczną. Nie chodzi też o nią autorowi „Wojny i Sezonu". Najbardziej ciekawa, jak zawsze, jest strona czysto ludzka.

Kiedyś jeden z Tyszkiewiczów „bez ziemi" (zresztą też „Jan" mu było na imię), udając że pomaga mi przy zwożeniu drzewa z lasu, w nudnych biesiadach bolszewickich czasów, wyraził zdanie że: „Mentalność kułaka na 10 hektarach nie różni się w istocie od mentalności kułaka na 1000 hektarów"... Akurat na podstawie własnych obserwacji dochodziłem do identycznych konkluzji. Poczęstowałem go samosiejką, i daliśmy wypocząć koniowi. Ach, dawne czasy...

Teraz, czytając Pawlikowskiego, zamyśliłem się nad takimi-sobie znakami równania. Zwłaszcza czytając gawędy o słynnych kawalarzach, czy jak ich nazywano u nas, wielkich facecjonistach.

Sądzę, iż refleksje na ten temat wypełnić by mogły gruby tom filozoficznej rozprawy.

W „pamiętnikach Kwestarza" znajdziemy wzmiankę że (czy to nie Wołodkowicz?) kazał babom pańszczyźnianym włazić na drzewa i wołać: „ku-ku!", po czym strzelał do nich z jednorurki. Nie mam pod ręką, ale zdaje mi się, że „facecja" ta z miejsca poddana została przez kwestarza w wątpliwość, gdyż jak twierdził: „zwierzyny było dosyć w lesie". Zapewne rzecz zełgana cała. Niezliczone są facecje przypisywane Radziwiłłowi-Panie-Kochanku, z których nie wszystkie były autentyczne, ale były. Margrabina von Bayreuth, siostra Fryderyka Wielkiego, wyliczyła że elektor saski i król polski August II miał 350 dzieci, które urodziły mu zarówno dziewczęta wiejskie, jak damy pierwszych rodów, w tym niektóre z wielkich domów polskich. Można mu niewątpliwie tej królewskiej zabawy zazdrościć, ale stwierdzić wypada że wyczyny króla podlegałyby dziś karze z paragrafu kodeksu za „stosunek z osobami zależnymi". W istocie 90 chyba procent wszystkich „wielkich facecji" było, i było możliwe, tylko w stosunku do osób podwładnych. To znaczy, mówiąc brutalnie: bezkarnych. To znaczy, że może z 10-cioprocentowym wyjątkiem, wielcy panowie, jak inni ludzie, nie lubią szukać guza. To zrozumiałe.

To samo w przeniesieniu do innych wybryków, z politycznymi włącznie. Tak np. dobrze zorganizowana i silna młodzież akademicka wileńskiej endecji, z byle drobnej okazji lubiała bić szyby w synagogach żydowskich. Gdy jednak centralna siedziba ich stronnictwa, „Dziennik Wileński", padła sama ofiarą wyjątkowo brutalnej napaści ze strony pewnych bezkarności oficerów; gdy ci oficerowie legionowi pobili leadera Zwierzyńskiego, prof. Cywińskiego, ludzi starszych, poważnych, kobiety, pracowników — jakoś tłumy młodzieży endeckiej powstrzymały się od wybicia szyb w kasynie oficerskim... Niby to z dialektyki narodowej ale, jak sądzę, ze względów raczej namacalnych. Tym samym zapewne tłumaczy się, dlaczego w państwach totalitarnych, nie mających żadnego zrozumienia dla „facecji", nie zdarzają się one prawie, również w sektorze społeczno-politycznym, gdzie byłyby raczej na miejscu. Ilość nieśmiałych odruchów młodzieży uniwersyteckiej w Polsce Ludowej, w zestawieniu z ilością zaburzeń studenckich w Polsce niepodległej, jest tak zastraszająco uboga, że napawać powinna raczej wstydem, aniżeli fałszywą dumą i nadzieją na „ewolucję od wewnątrz".

Abstrahując jednak od momentów politycznych. Naukowo-psychologiczna analiza wykazałaby niewątpliwie, że czy to będą „samodurstwa" rosyjskich „dworian", czy „facecje" wielkich pa-

nów litewsko-polskich, czy „kawalerskie żarty" komilitonów korporacji, „kawały" młodzieżowe aż do wybryków dzisiejszych beatników angielsko-amerykańskich, Halbstarków niemieckich etc. etc. — wszystko, bez względu na późniejsze rozgałęzienia, ma niejako wspólną genezę: nadmiar próżnego czasu; nadmiar siły, we władzy, pieniądzach, czy też we własnych muskułach; nade wszystko wszelako: poczucie względnej bezkarności, niedużego ryzyka.

Od tych wtrąconych dygresji, nawracam do początkowego zestawnienia. Mówiło się u nas, na Białorusi: „Nie daj Boh swińji roh, da mużyku panstwa!" Niby w znaczeniu: Jak ten dojdzie do władzy, to dopiero pokaże swe chamskie oblicze!... Otóż poniektóre, przypomniane przez Pawlikowskiego anegdoty wielkopańskie, dziwnie jakoś pozbawione są tej mentalnej granicy przedzielającej „mużyka" od „pana". Zwłaszcza w rozdziale poświęconym ostatnim facecjom Bodzia Zalutyńskiego. Taki np. fragment:

„Stosunek Bodzia do Wolikowa (jego faktor) był patriarchalny. Gdy chodził z Wolikowem po ulicach Grodna, kazał mu trzymać się o ćwierć kroku z tyłu i od czasu do czasu, nie odwracając głowy, podsuwał mu pod nos kciuk ze słowami: „Possij dziedzicowi paluszek". — Wolikow nie gniewał się i ssał posłusznie. Zresztą Bodzio miał zwyczaj podawać chłopom petentom do pocałowania nie rękę, a tylko koniec „paluszka".

Boże, jakie to — między nami mówiąc — chamskie!... Czy nie tak właśnie wyobrażamy sobie typowego „mużyka", któremu gdy doszedł do „panstwa", brakuje fantazji dla bardziej oryginalnego zamanifestowania rozpierającej go władzy?

Naturalnie Pawlikowski słowem jednym nie pochwala tych facecji: a jednak w pewnym miejscu mówi jakby z lekkim odcieniem dumy narodowej:

„Melchior Wańkowicz w jednym ze swych wspomnień o Bodziu Zalutyńskim opowiada o kawale polegającym na tym, że śpiącemu chłopkowi odprzągł konia, przełożył hołoble przez płot, a konia zaprzągł z drugiej strony płotu. Moje zapiski nie odnotowały tego kawału. Nie przeczę, że mógł go zrobić naśladując zresztą jakiegoś tulskiego, czy orłowskiego Rosjanina „samodura" z pierwszej połowy XIX wieku. Nawet geniusz nie zawsze bywa oryginalny i dopuszcza się po cichu plagiatu".

Nie wiem jak innym czytelnikom tych rozdziałów, ale mnie osobiście — tak po cichu mówiąc — ten kawał, zakwalifikowany na „rosyjskiego samodura", wydaje się bodaj jeszcze najdowcipniejszy z rzędu przytoczonych przez autora kawałów rodzimych...

Pawlikowski słusznie pisze, iż niesłusznie „starym nawykiem myślenia", właśnie historyczną Litwę uważano za rezerwat dzi-

wactw i „feudalnych" obyczajów. Przytacza przy tym obyczaje panujące w dworze Olesznie, w sercu Mazowsza:

„Nad ranem szczuto gończymi hodowanego lisa, albo strzelano do domowych kaczek na stawie".

I to pan-z-panów?... Podrapałby się w głowę niejeden mużyk.

„Szczucie hodowanego lisa odbywało się na terenie czworoboku otoczonego z trzech stron budynkami. Czwartą stroną był płot, a za nim łan zboża. Lisa wypuszczono z klatki i poszczuto gończymi. Był na pół oswojony i nie bardzo chciał uciekać. Dopiero gdy go gończe zaczęły skubać, puścił się galopem i od razu odsadził od piesków na pół długości czworoboku. Tymczasem dwa charty stały wyprężone na smyczy, wpatrzone w umykającego lisa. Gdy lisa dzieliło od zbawczego łanu zaledwie 100 kroków, dopiero wtedy puszczono charty ze smyczy... dopadły lisa w chwili, gdy już-już miał się skryć w łanie pszenicy".

Zamyślając się nad tą obrzydliwą (bez szans dla umęczonej strony) zabawą, przyszło mi do głowy, jakby opis takiego „czworoboku" świetnie pasował do pewnego rodzaju tak dziś rozpowszechnionej literatury na temat mentalności i prywatnych zamiłowań jakiegoś, powiedzmy, SS-manna: Gdzieś za ogrodzeniem oświęcimskim, ma taki (naturalnie: *gemütlich* urządzony) ogródek, w którym hoduje specjalne ofiary (naturalnie: „karmi je i głaszcze przedtem"), w tym celu aby kręgosłup ich został na pewniaka zmiażdżony w momencie, „gdy już-już mają się skryć w zbawczym łanie pszenicy"... — No, nie?

Ech, — *wsie my lisz aktiory w tieatrie Gospoda Boga.*

W bezkresie pejzażu

Czasy były rozległe w przestrzeni, jak Prypeć rozlana w kwietniu. Zdawało się, że dzień i pejzaż zlewają się w jedno, stanowią całość. Głosy rozśpiewanych ptaków. Szum wody, szum puszczy. Cisza wieczorna; plusk ryby; trzask złamanej pod stopą gałązki w lesie; chłodne poranki wiosny; liliowe bzy na tle liliowych dymów drzewnych. Bywało latem wyjedziesz z lasu, przędza kurzu wije się spod koła ukosem na pole, a niebo aż drży od skowronków. I znów dalekie, puste drogi w grząskich koleinach jesieni. Zanim Wielkie Księstwo Litewskie skurczyło się do „Ziem Wschodnich" drugiej Rzeczypospolitej, przeżył na nich pierwszą młodość i przepolował rozmaicie Tadeusz Irteński, vel Michał Pawlikowski.

Po drugiej wojnie i te ziemie przepadły. Przepadły nie dla-

tego, że dla Rzeczypospolitej; przepadały zaaawszystkiem! Na miejscu wysuszonych rojstów pleni się grzyb kolektywnej doktryny, na który splunąć i to, zdaje się, byłoby za-nudno. Pozostała już tylko pamięć.

Pawlikowski opisuje tę młodość jaką była, ze szczerością świadczącą iż naprawdę zachował ją w pamięci. Cóż więc dziwnego, że niektóre wspomnienia lasów, polowań na mszarach i rzekach, odbicia tafli jeziornych, wypadają u niego jak zwierciadła piękna. Książka jego należeć będzie do najpiękniejszych wzorów prozy opisowej w literaturze polskiej.

Antypolakizm Żydów litewskich

Z oceny historycznej, o bezwzględnej wartości „Wojny i Sezonu" przesądza jej rys rzadki nawet u naszych historyków-naukowców: nie liczenia się z aktualnym gustem politycznym. Dotyka więc m. in. rzeczy zazwyczaj niedotykanych. Tak np. wstydliwie omijane, a ciekawe zjawisko antypolskości, „antypolakizmu" jak się wyraziłem Żydów litewskich, na całym terenie na wschód od Bugu, w Grodnie, Wilnie, Mińsku, Kownie, w Rydze itd. aż po rosyjską „linię osiedlenia żydowskiego". Pawlikowski zwraca uwagę, że tę upokarzającą „linię" wymyślono w Rosji, że pogromy organizowano w Rosji itd. — „Skąd więc ta ironia..." pyta, „że Żydzi szczególną urazę zachowali względem Polaków?" Szukając odpowiedzi na to pytanie, dochodzi do wniosku że tłumaczy się to chyba specyficzną właściwością polskiego antysemityzmu: „Inteligentny i wykształcony Rosjanin prawie nigdy nie bywał antysemitą", powiada. Natomiast Polacy mieli jakiś „antysemityzm mistyczny, jakąś mentalną linię osiedlenia"... — Wydaje mi się, że Pawlikowski utrafia tu w pewne, skrzętnie przemilczane sedno. Z tym, że ów „mistyczny antysemityzm" rozciągnąłbym również na — "filosemityzm" polski...

Moim zdaniem różnica pomiędzy Anglikami i Niemcami jest ta, że Hitler dopiero starał się wmówić w Niemców przekonanie, że są *Herrenvolkiem;* w Anglików wmawiać tego nie trzeba, bo oni z tym przekonaniem niejako już się rodzą. Ich stosunek do cudzoziemców jest jak do biednych kalek, których kalectwo polega na tym, że nie urodzili się Brytyjczykami. Ale jako ludzie dobrze wychowani wiedzą, że człowieka ułomnego nie należy szturchać ani kopać, lecz okazać mu na ulicy grzeczność. Hitler był oczywiście, człowiekiem najbardziej źle wychowanym, i cudzoziemców kopał, a Żydów truł. Otóż filosemita polski stara się być człowiekiem dobrze wychowanym, i okazuje względem Żydów taką grzeczność. Natomiast stosunek do Żydów bez przy-

mieszki anty-czy filosemityzmu, po prostu jak do równego sobie człowieka, czyli jedynie słuszny, normalny, objęty wzgardzonym u nas rosyjskim pojęciem *czełowiekoliubja* — jest u Polaków nader rzadki.

W dawnej Kongresówce panowały trochę inne stosunki. Asymilacja nie osiągnęła tam wprawdzie tego stopnia co w Niemczach, ale częściowo była daleko posuniętą. W. b. W. Ks. Litewskim, gdzie „mentalna linia żydowskiego osiedlenia" przebiegała nie naruszona w tradycjach polskich, musiała też budzić, rzecz zrozumiała, spotęgowaną mentalną reakcję Żydów. Nikt ich nie rusyfikował; oni sami chcieli i rusyfikowali się na naszych ziemiach. Mówienie prawdy o tej regule, było u nas rzeczą niepopularną, a już tym bardziej dziś! Popularne było operowanie wyjątkami, od Jankiela Mickiewiczowskiego począwszy. Naturalnie wyjątków, jak zawsze w życiu, było dużo. Sam pamiętam jak we wstępnej klasie tegoż gimnazjum Winogradowa, przy zapisie na lekcje języka polskiego powstał nieśmiało z ostatniej ławki Żyd, Ryndziuński, któremu papa polecił uczyć się dobrze po polsku; i jak panna Gosiewska, nauczycielka, zatroskana, obiecała przedłożyć jego prośbę dyrektorowi; i jak nic z tego nie wyszło, bo nauka polskiego dozwolona była wyłącznie „dla katolików". Owszem, pamiętam jak w 13-tym ułanów był Żyd-ułan... Z podobnych, rzadkich wyjątków tkano następnie legendy.

Prawda była inna. Prawda była taka, że u nas Żydzi woleli po pierwszej wojnie Litwinów, Łotyszów, wszystkich byle nie Polaków. A w czasie pierwszej wojny woleli nade wszystko Niemców. Niemcy wilhelmińskie traktowali jak ziemię obiecaną. Jedną z największych spontanicznych manifestacji jaką oglądałem w życiu, to był olbrzymi, głowa przy głowie zbity, czarny tłum Żydów wileńskich jesienią 1915, wyległy na powitanie patrolu huzarów niemieckich; konno-zbrojnie wjeżdżali do miasta, ze znakiem trupiej główki na czakach obciągniętych ochronnym pokrowcem. —

„I skąd wszyscy Żydzi raptem wiedzą — zastanawiałem się — że się krzyczy: „hoch!", a nie: „hura!"?...

Legenda o złych Niemcach.

Tak powinien w istocie brzmieć tytuł rozdziału X, a nie jak go zatytułował autor: „Legenda o *dobrych* Niemcach". Albowiem w tym rozdziale Pawlikowski uderza w obowiązujący dziś dogmat historyczny, że każde Niemcy były źródłem wszelkiego „zła". Od zawsze, w każdej okoliczności dziejowej. Tak np. przeczytamy u historyka-uczonego prof. Haleckiego, że „nigdy

właściwie nie należały do kultury zachodniej"... Albo dowiemy się z krajowego „Życia Literackiego", że przedwczesny zgon Marii Dąbrowskiej w wieku lat 76,, a dwadzieścia lat po wojnie, nastąpił właściwie wskutek wstrząsów doznanych przez nią podczas okupacji niemieckiej... W tym nudnawym regulaminie narodowym, w którym pewien prałat polski usprawiedliwia mord i gwałcenie kobiet niemieckich, a historia zaprzęgnięta jest wozem przed konia i Odra z Nysą stały się ważniejsze od tysiącletniej wolności; w tym bezidealnym zachłyśnięciu nacjonalizmem (gdy słuszne rodzić się może podejrzenie, że podobnie jak Polacy nie są antykomuniści a są tylko anty-Rosjanie, nie są antyhitlerowcy a są tylko anty-Niemcy), — rozdział książki Pawlikowskiego poświęcony okupacji niemieckiej 1918 roku, wygląda jak zamach na współczesną Jasną Górę.

Może dla złagodzenia tego wrażenia, zaczyna dyplomatycznie tymi słowy:

„Niemcy w końcu lutego 1918 r.... zajęli wschodnią część Wielkiego Księstwa Litewskiego aż po Dniepr.

Gdy w sześć lat później Tadeusz Irteński osiadł w Wilnie, zdarzało się, że rozmowa z którymś z rdzennych wilnian schodziła na temat okupacji niemieckiej. Tadeusz ogromnie się dziwił... W ustach wilnianina, który przeżył trzyletnią okupację Ober-Ostu (1915-18) Niemiec był owym legendarnym złodziejem dzwonów, samowarów i klamek mosiężnych, brutalem i wstrętnym Hunem, głodzicielem matek i dzieci, niemal że napastnikiem panienek Bogu poświęconych, Hunem, który ponadto — jak głosiła lokalna legenda wileńska — zamknął w szczelnej szopie około tysiąca chorych na choroby weneryczne prostytutek i wytruł je gazem. Słowem — Hun. W ustach Tadeusza tenże Niemiec był przede wszystkim wyzwolicielem z bolszewizmu, a po wtóre — typem najidealniejszego okupanta jakiego mogła stworzyć najidealniejsza konwencja haska".

Obawiam się że pamięć mogła zawieść Tadeusza Irteńskiego, i może mu ten „rdzenny wilnianin" opowiadał nie w sześć, a w dwadzieścia sześć lat po pierwszej okupacji?... Wtedy by się zgadzało z prawdą obowiązującą. Bo jeżeli chodzi o prawdę obiektywną, to jako rdzenny wilnianin przypominam sobie, że było tak:

Dzwony z Wilna wywieźli Rosjanie... Chore weneryczne prostytutki trzymane były w szpitalu dla wenerycznych przy ul. Sierockiej (później Subocz), i z okien przekrzykiwały się one z przechodniami w mniej lub więcej niedystyngowany sposób. O ich truciu istotnie puścił ktoś pogłoskę, której nikt nie brał poważnie... Na rekwirowanie przez Niemców klamek i samowarów, na głód i nieznaną przed wojną biedę, klęli oczywiście wszyscy. Sytuacja jednak wytworzyła się taka: doły, *prostonarodie,* czyli pospólstwo, w 90 procentach odnoszące się wtedy z obojętnością, sceptycyzmem, a bywało szyderstwem do

polskich, litewskich, czy białoruskich haseł patriotycznych — czekało na powrót „naszych", czyli Rosjan, jak na zbawienie! Natomiast sfery górne, polityczne, patriotyczno-polska inteligencja (z niedużym wyjątkiem od reguły), oraz nacjonalistyczni działacze litewscy, białoruscy i — jak wspomniałem już — masa żydowska, były zdecydowanie proniemieckie. Nikt też z Polaków nie przezywał Niemców „brutalnym Hunem". (Pierwsze szkoły i gimnazja polskie!), bo z małymi wyjątkami do takiej nazwy nie dawali powodu. Przeciwnie, co lepsze domy w mieście i dwory polskie na terenie „Ober-Ostu", identycznie jak to dostrzegł Pawlikowski później w Mińszczyźnie, prześcigały się raczej w towarzyskich, przyjaznych stosunkach z Niemcami. Na Niemców panowała moda, i podejmowano ich w tych salonach i salonikach jako przedstawicieli zachodniej kultury („Do której i my, Polacy, należymy!"). Tak trwało do wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji.

Od tej chwili nastroje proniemieckie jeszcze się bardziej pogłębiły. — Wprawdzie zaczęła się budzić silna polska opozycja przeciwko niemieckim planom tworzenia oderwanej od Polski Litwy, i doprowadziła nawet do trochę krwawej demonstracji na Placu Katedralnym, ale działo się to już pod koniec okupacji, i było w gruncie akcją raczej antylitewską niż antyniemiecką, jeżeli chodzi o jej oblicze polityczne. Zmienił się też front proletariatu żydowskiego. Wszystko natomiast co się obawiało nawały bolszewickiej, tym razem łącznie ze znaczną częścią „dołów", — dla których „bolszewik", jeszcze ze słyszenia, już stawał się słowem rugatielnym, — uważało okupację niemiecką za bastion chroniący przed tym bolszewickim zalewem.

I tak było w istocie. Niemcy tworzyli wówczas ten bastion przed „zarazą bolszewicką" — której bakcyl sami zresztą przewieźli w „zaplombowanym wagonie". Nie mogą zmienić tego faktu ani ówczesne, ani późniejsze komentarze polityczne. Pawlikowski czyni błąd, pisząc:

„Krążyły plotki i padały projekty — naiwne, śmieszne, ale znamienne. W klubie obywatelskim mówiono, że mocarstwa Ententy postawiły Niemcom warunek dalszej okupacji... dla obrony tych obszarów przed bolszewikami".

Pogłoski te nie były ani „śmieszne", ani „naiwne". Podyktowane Niemcom w dniu 11 listopada 1918 roku przez mocarstwa Ententy warunki zawieszenia broni, zawierały istotnie paragraf 12-ty, który nakazywał Niemcom natychmiastowe wycofanie wojsk z Austrii, Węgier, Bułgarii i Turcji, ale jednocześnie utrzymanie frontu w Rosji tak długo, dopóki Ententa utrzymanie jego tam będzie uważała — „za pożądane ze względu

na wewnętrzną sytuację tych terenów". W ten sposób kordon regularnych wojsk niemieckich miał osłaniać przed rewolucją bolszewicką, na linii od Narwy do Ukrainy w dalszym ciągu, tym razem w dyspozycji mocarstw Ententy (Marsz. Focha).

Nie stało się jednak zadość paragrafowi 12-mu. Na dwa dni wcześniej wybuchła w Niemczech rewolucja i wkrótce zaczęła przerzucać się na wojska polowe. Kordon wschodni pękł.

„Rozbrajanie Niemców", jako dziś slogan symbolizujący dzień odzyskania niepodległości w Kongresówce, nie da się przenieść na ziemie b. W. Księstwa Litewskiego. Raczej odwrotnie: Ziemie te zagarnięte zostały przez bolszewików w 1918/19, nietyle w bezpośrednim skutku rewolucji 7 listopada 1917 roku w Rosji, co w bezpośrednim skutku rewolucji 9 listopada 1918 roku w Niemczech.

Od szabli do pałki

Zdaję sobie w pełni sprawę, że ani książka Pawlikowskiego, ani tym bardziej moje jej omówienie, do popularnej formy omawiania dziejów ojczystych nie należy. Wydaje mi się jednak, że powiedzenie czasem rzeczy, których nikt inny nie mówi, może być z niejaką korzyścią dla konfrontacji historycznej.

Oficjalna historia pomija stanowisko biernej masy, zajmując się politycznie aktywnym szczytem, zarówno w odniesieniu do pałacowych, narodowych, społecznych jak rewolucyjnych przeobrażeń. Sądzę, że czynić inaczej byłoby nawet trudno. Z drugiej strony zbyt często zapominamy o tym, że na przykład akt taki jak odzyskanie niepodległości w roku 1918, był aktem *par excellence* politycznym. W rozgrywce z innymi aktualnymi potencjami politycznymi. Jeżeli chodzi o obszar b. W. Księstwa Litewskiego, istniały wówczas na jego terenie następujące potencje polityczne: pobite na froncie zachodnim cesarstwo niemieckie, narodowo-państwowe aspiracje polskie, litewskie, białoruskie, oraz rosnąca w siłę rewolucja bolszewicka. Gdyby jednak istniała teoretycznie możliwość przeprowadzenia jakiegoś idealnego referendum wśród mas ludności, i zapytania każdego na ucho czego najbardziej by pragnął, przypuszczalnie 85% odpowiedziałoby: „Powrotu carskiej Rosji"...

Ja wiem, to straszna dziś herezja, takie wyznanie. Ale cóż począć z XIX-wiecznym „pospólstwem", świeżo przemianowanym na XX-wieczne „masy"?!... *Homo-politicus* rozumuje kategoriami zbiorowymi; *homo-lupus* kategoriami osobistymi. A zmiany które nastawały nie przynosiły korzyści osobistych, i nie podobały się „ludziom".

Wrześniowej nocy 1915 roku potężne wybuchy wysadzanych mostów wstrząsnęły miastem. Cesarsko-rosyjska armia opuszczała Wilno. Nikt z mieszkańców zerwanych ze snu, nie domyślał się jeszcze, że to na zawsze. O godzinie 5-tej nad ranem zbiegałem w dół ulicą Monasterską (Piwną), by zobaczyć co się dzieje w śródmieściu. Poprzedniego dnia mówiono o tym, że w porozumieniu z ustępującymi władzami uformował się jakiś Komitet Obywatelski, organizując milicję cywilną która ma objąć posterunki ewakuowanej policji. Ten ranek wbił mi się głęboko w pamięć wzrokową:

Patriotyczny sklepikarz z sąsiedztwa, z opaską milicjanta na palcie, szedł przede mną w szarudze świtu, dźwigając naręcze po raz pierwszy widzialnych pałek. Na trotuarze zagadnął go jegomość z rudą brodą:

— A do czego, pan Franciszek, te świeżo strugane pałki niesiesz?

Tamten przymknął figlarnie jedno oko:

— Ruskich wypędzać...

Znajomek podrapał w zadumaniu rudą brodę, i odpowiedział niepewnie:

— Hmmmmm...

Obywatelska milicja miała być uzbrojona na razie tylko w ręczne pałki.

Skąd mogłem wówczas wiedzieć, że patrzę na odległy jeszcze, ale próg nowego „Sezonu" dziejowego. Miała w nim zniknąć szabla, symbol starych monarchii, u boku policjanta, a zastąpić ją pałka, symbol ludowładztwa. Szabla przedmiot arystokratyczny, nie wolno jej było dobywać bez rozkazu, a tym mniej wymachiwać nad głową, gdyż można nią zranić a nawet zabić poddanego monarchii; pałka przedmiot demokratyczny, idealnie nadaje się do tłuczenia po głowie i karku z byle okazji, bez większej szkody dla obywatela republiki.

W nastałym później sezonie nie była to najważniejsza zmiana z wielu, które nie godziły się jakoś ze staromodnym gustem. Podatki były wyższe, zarobki skąpsze; towary zdawały się mniej dobre, obyczaje mniej solidne; przestrzeń skurczona, biurokracja rozszerzona. Naturalnie, czasy się przeistaczają, przekraczają latami, zmieniają nie tylko poglądy, narody, ale i tkanki człowieka. I najurodziwsze, najroześmiańsze dziewczę, o najpowabniejszych nogach, przeistoczy się w siedemdziesięcioletnią wiedźmę, ze skręconymi ischiasem łydkami. Ludzie wszędzie będą się czuli i dobrze i źle. Nie chodzi o to, by mówić o czym wszyscy wiedzą. Chodzi o to, że Demokracja przez duże „D", to rozszerzenie tylko praw zbiorowych, co wcale nie musi pokrywać się z rozszerzeniem praw osobistych, a często-gęsto bardziej je nawet

krępuje. Już przy wyjściu, bywa, z domu na ulicę, to jakąś manifestacją, to obchodem, to pochodem, to innym świętem nakazanej z góry woli zbiorowej. I żeby załatwić prywatną sprawę, wypada kołować Bóg wie jakimi zaułkami.

Pawlikowski np. słusznie pochwala wojewodę Jaszczołta za to, że: „Po pierwsze zniósł idiotyczny obowiązek pracy społecznej: od urzędników wymagał tylko rzetelnego wykonywania obowiązków służbowych".

Ale nie zabiegajmy naprzód. Na razie wszystko chwalono co było „przedwojenne". Od „przedwojennych kolegów" do „przedwojennego palta", do „przedwojennych smarów" do osi chłopskich furmanek. Nie da się zaprzeczyć, że jakość przedmiotów spłowiała, i nawet: „wino, kobiety, karty", zeszło na: „wódka, dziewczynki, karty".

Dawna stolica Wielkiego Księstwa, która już na nowej mapie zaczęła wyglądać jak w worku, obdarowana została w zamian za utracone obszary, masą frazesów bez pokrycia, i dużym szczęściem że jest „miłym miastem Piłsudskiego"...

Dekompozycja

Pawlikowski przechodząc do „sezonu", nie szczędzi ostrej krytyki polityce polskiej na ziemiach wschodnich. Ma niewątpliwie rację, prawie we wszystkim co wytyka. Nasuwa się jednak pytanie, co ta ułomna administracja pod ułomnymi hasłami, mogłaby właściwie zrobić dużo lepszego czy innego w zaistniałej sytuacji? Byliśmy wtłoczeni pomiędzy rosnące z każdym dniem kompleksy nacjonalizmów z jednej strony, i zarazę infiltracji komunistycznej z drugiej. Naginano więc jak umiano, prawdziwą rzeczywistość do sztucznych optymizmów. A nierozpoznanie stanu realnego — może w trochę mniejszym stopniu niż dziś — kazano uważać za „realną politykę". To więc nie błąd wojewodów typu Bociańskiego, ani nawet rządu warszawskiego, to skutek rozdrapania wielkich wartości na małe fikcje. Pawlikowski mówi o „Konaniu starego Wilna" w granicach Polski. To prawda. Ale jeżeli już o starym Wilnie mowa, to zważmy, że Republika Litewska (dla której „Wilno" było hasłem w rodzaju dzisiaj polskiego: Odry i Nysy) — gdy go „odzyskała" jesienią 1939, zaprezentowała taką wiązankę polityczną, wobec której „wiązanki administracyjne" pp. Bociańskich zdały się jeszcze pieśnią Wajdeloty. Wystarczy przypomnieć, że władze litewskie uznały wszystkich mieszkańców Wilna urodzonych chociażby w Oszmianie, Solecznikach czy Raduniu, tzn. już w odległości 20-30 km. na wschód od miasta, za „obcokrajowców" we własnej stolicy (!)...

Postawiły poza tym na wyłączny nacjonalizm, i bezwzględną „koegzystencję" ze Związkiem Sowieckim.

Wprawdzie za podstawę do omówienia błędów rzeczywistości polskiej przekroczonego okresu, powinny raczej służyć niedawno wydane wspomnienia Wincentego Witosa, a nie Tadeusza Irteńskiego; skoro już jednak jesteśmy przy patrzeniu na rzeczy „ jego oczyma", niech wolno mi będzie wtrącić przekonanie, że sedno błędu nie tkwiło chyba w dziwnych lub śmiesznych nominacjach personalnych, na co autor zdaje się kłaść szczególny nacisk, lecz w samej genezie tych nominacji. To znaczy w zastąpieniu obiektywnej kwalifikacji interesu państwowego, subiektywnym stopniem kultu dla osoby Piłsudskiego. Wincenty Witos wspomina jak w Brześciu bito jednego z aresztowanych, „pytając się za każdym razem, na czyjej ziemi leży, a gdy odpowiadał, że na polskiej, bito go dotąd, aż powiedział że leży na ziemi marszałka Piłsudskiego". To, naturalnie strzęp ponurego fragmentu. Ale ten nowy sprawdzian wartości nie był pozbawiony swoistej logiki. Bo skoro Piłsudski był „geniuszem" przerastającym wszystko i wszystkich, interes państwowy siłą rzeczy musiał sprowadzać się do stania przed nim na baczność i odbierania rozkazu. Tak też nas pouczali niektórzy kierownicy nawy państwowej. Z podkomendnych więc ślepego kultu rekrutowali się, konsekwentnie, administratorzy państwa. Czy to Sławoj-Składkowski w Warszawie, Kostek-Biernacki w Brześciu, czy Bociański w Wilnie.

Dlatego trudno mi się zgodzić z Pawlikowskim, że „dekompozycja" zaczęła się dopiero po śmierci Piłsudskiego, z początkiem „Ozonu". Jej klasycznym początkiem był właśnie BBWR. Blok zaślepionych apologetów, plus istotnie „bezpartyjna" zbieranina podskakierów do rządowej władzy, a w wielu wypadkach po prostu do państwowego żłobu. — Pawlikowski pisze o „gangsterstwie partii rządzącej". Bardzo słusznie tak pisze. Tylko moim zdaniem nie bierze pod uwagę że nie lepiej, a tym gorzej było gdy to gangsterstwo, bezpośrednio lub pośrednio, wspierały duże skądinąd nazwiska, nawet czas pewien ludzie tacy jak wspominany przez niego „święty wileński" prof. Marian Zdziechowski — że na tym najszlachetniejszym przykładzie poprzestanę — zamiast wspierać polityczną i duchową opozycję.

Bardzo też dowolnie, jeżeli chodzi o teren wileński, wytycza sobie Pawlikowski linie podziału pomiędzy wzorami mądrości i tępymi urzędasami. Cytowane przez niego przykłady niezawsze są trafne. Niektóre osoby szczególnie przez autora wyróżnione pochlebnie, należały w istocie do tej samej branży politycznej, tyle że do różnych, a czasem zwalczających się wzajemnie koterii. Z dzisiejszej perspektywy wzbudzają, przyznam szczerze,

więcej zrozumienia pierwszobrygadziści z roku 1914, którzy później chcieli zostać za to dyrektorami banków czy intratnych synekur, niż karmazynowi właściciele banków i włości ziemskich, którzy z koniunkturalnym opóźnieniem doskakiwali w pląsach do rzekomo „realnej polityki". Podobnie jak dziś, całymi snopami doskakują do prokomunistycznego PAX-u, w imię tych samych haseł.

Byłem wtedy drobnym, bez znaczenia, dziennikarzem zawodowym. Ale w dniach ogólnego tumultu 1926 roku, gdy jeszcze majowe strzały na ulicach Warszawy wspierane były nie tylko przez PPS ale i komunistów — dostąpiłem zaszczytu rozmawiania z głównym bodaj leaderem „żubrów wileńskich". Miał bardzo skupiony wyraz twarzy i powiedział z tym głębokim przekonaniem w głosie, jaki miewają autentyczni mężowie stanu:

— Trudno, proszę pana. Nie możemy iść przeciw. Owszem, liczymy się nie tylko z tym że Piłsudski może być różowy, niech będzie nawet „czerwony". Ależ po jego stronie jest siła!...

Dziś naturalnie, siła jest po stronie Gomułki. Nie wchodząc w ocenę tej politycznej szkoły, wtrącę jedynie, iż nie wydaje mi się ona zbyt oryginalną. Jeszcze przed „sezonem", w zaraniu wojny 1914, do bardziej rozpowszechnionych kawałów należał ten, wyszydzający „żydowską szkołę polityczną".

„Chwała Bogu, nasi zwyciężają!" — „A kto to, nasi? — „Co znaczy, kto!? Ci co zwyciężają".

Ale dajmy spokój złośliwym znakom równania. Książka Pawlikowskiego jest cenna i piękna. Co może jedynie różni mnie z autorem, to przy jednakiej chyba nostalgii do tamtego krajobrazu, niezawsze jednaka tęsknota do tamtych ludzi.

Józef MACKIEWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Fragment z dziennika

Maj 1965

Gdym Berlin opuścił, w maju zeszłego roku, osiadłem w Royaumont, o 30 klm. od Paryża. Opactwo z trzynastego wieku, gdzie święty Ludwik sługiwał mnichom, skąd podobno jakiś czas rządzono Francją, gotyk potężny, czworoboczny, czteropiętrowy, mury, krużganki, łuki, rozety, kolumny, w parku spokojnym z wodą kanałów i stawów zmurszałą, zieloną.

Gmach w połowie pusty — refektarze „echowe", sale o czcigodnych nagrobkach, łacińskich napisach — w połowie zaś zamieszkały, albowiem cele mnichów na pierwszym piętrze, łącznie z celą, w której święty Ludwik jakoby mieszkał, przysposobiono dla zjeżdżających z Paryża intelektualistów, artystów. Ja ciągle byłem chory. Niby to rekonwalescencja po berlińskim szpitalu, ale jakoś niezbyt mi się polepszało, czułem, że sekret trujący wciąż we mnie się gnieździ, kwękałem, przechadzałem się słabowicie pod kasztanami, dochodziłem ospale do drogi, do mostku, siadałem na kamieniu, patrzyłem na ścielący się jedwab słodkiej Francji — gaje, łąki, wzgórza, którymi szły linie wysokiego napięcia, osadzone na wieżach stalowych, przejrzystych, rytmicznych. Patrzyłem na to osowiały, z duszą niechętną, jak morda psia odwracająca się od pełnej miski, i powolutku kierowałem swe kroki z powrotem ku domowi, wkraczałem w grubość murów, w gotyckość sklepień.

Rano goląc się z ręcznikiem na szyi, widziałem z okna snujące się po parku osoby: profesor dźwigający sobie leżak w ustronne miejsce, dwie subtelne damy z parasolkami, malarz zagląda do kanału, student w trawie obłożony książkami. Co kilka dni wdzierały się w ten spokój gromady obcojęzyczne, na przykład sześćdziesięciu biologów, czterdziestu etnologów, siedemnastu parapsychologów (widziałem to z okna), gdyż Royaumont jest ważnym ośrodkiem naukowo-kulturalnym, miejscem kongresów międzynarodowych, także odczytów, koncertów, seminariów.

Z początku myślałem, że wcale mi tu źle nie będzie, wolałem to niż nudę zwykłego hotelu — a nie mogąc w Paryżu mieszkać (bo Paryż stał się samochodową apokalipsą, wyjącą, ryczącą, pędzącą, śmierdzącą) zadowolony byłem, że tu oto będę miał kombinację rozkosznej zieleni z Café Flore i z Sorboną, ba, z Japonią nawet, z Australią.

A kiedy, pierwszego dnia, wszedłem do mniejszej sali jadalnej, przeznaczonej dla stałych bywalców i członków *cercle'u* zostałem powitany wesołymi okrzykami — bo, jak się okazało, Allan Kosko przebywał tutaj niedawno pracując nad przekładem francuskim mojego „Dziennika" i rozmaite problemy językowe bywały przy tej okazji dyskutowane. Z wielu więc stron usłyszałem: — Ależ Kosko zadręczał nas pana dziennikiem!

Prezydował naszym posiłkom Monsieur André d'Hormon, nader dystyngowany starzec, „radca dyplomatyczny i doradca polityczny" w swoim czasie w Pekinie, przy rządzie chińskim, który czterdzieści osiem lat spędził w Chinach (i był, jak głosiła plotka, kochankiem cesarzowej). Jednakże Chiny spłynęły po nim bez śladu, wyglądał jakby nigdy się nie ruszał z *Quartier Latin,* znawca serów, zajadacz sałat, wielbiciel Anatola France'a, Zoli, Renana, był Monsieur d'Hormon mocno przygłuchy, co mu nie przeszkadzało z *cordialité* iście francuską zawiadywać konwersacją. — Kto jest ten pan? — zapytywał dyskretnie swojego sąsiada przy stole, gdy pojawił się ktoś nowy. — To redaktor X, profesor Z, poeta Y! — krzyczał mu w ucho sąsiad. — A, pan jest literat. Polak, proszę, proszę, czy mógłby mi pan powiedzieć, którego ze współczesnych autorów francuskich najbardziej pan ceni? — Sartre'a! — krzyknąłem. — Kogo? Sartre'a? Sartre, *ce n'est rien du tout, mon ami!* A czy lubi pan Racine'a? — Och, nie! — zawołałem.

— Co? Nie? Ależ niech pan posłucha:

...Quoi! Pour noyer les Grecs et leur mille vaisseaux
Mer, tu n'ouvriras pas des abîmes nouveaux?

— Takie sobie! — wrzasnąłem. — Co? Przepraszam? Co powiedział ten monsieur? Takie sobie? Ależ, *excusez moi, mon cher ami,* pan jednak przesadza etc.

◆

Nie tylko z panem d'Hormon tak mi się rozmawiało — głucho i przekornie. Pamiętam, zagadnęła mnie wyintelektualizowana dama, czy podzielam poglądy Simone de Beauvoir na swoistą problematykę współczesnej kobiety. Odpowiedziałem, że przychylam się bardziej do zdania ciesarza Wilhelma „K.K.K.". czyli „Kinder, Kueche, Kirche", czyli dzieci, kuchnia, kościół. Co, co, konsternacja, zapytano, czy ja na serio, odpowiedziałem, że na serio, ale...

Ale zabawa taka w tym miejscu? I w ogóle... bawić się śmietanką artystyczno-socjologiczno-psychologiczną Paryża, podaną w gotyckiej sosjerce z XIII-go wieku? I w ogóle... bawić się... ja, chory?

— Uwielbiam pana, pan ma dar robienia z ludzi idiotów! — wyznawał mi gorąco jeden ze zbuntowanych studentów Royaumont Jacques Clauvel.

— Royaumont dobrze mi robi na nerwy — zwierzyłem się po paru dniach panu Crespelle, zarządzającemu. — Royaumont dobrze panu robi na nerwy, bo pan psuje nerwy innym — odpowiedział sentencjonalnie.

Moje środki ostrożności... Na wszelki wypadek, wolę się bawić, niż...

◆

Że ja w Royaumont stanę się *enfant terrible* i swawolnym Dyziem — och, tak, i tym bardziej im bardziej Royaumont było okazałe, majestatyczne, kartezjańskie, rasynowskie, wolteriańkie — im bardziej było etnologiczne, historiozoficzne, logistyczne, cybernetyczne — im bardziej było z rozetami, łabędziami i św. Ludwikiem. Ale tańczyłem zakuty w żelazo, och co za ucisk gniotący, ciężar stupudowy! Powaga choroby, ten zupełny brak żartu właściwy ciemnym zakamarkom cierpiącego organizmu, łączył się zresztą (jakby za moimi plecami) z pewnymi nie najprzyjemniejszymi właściwościami miejsca, w którym przebywałem. Ten gmach średniowieczny nie należał o drugiej, trzeciej, nad ranem do miejsc najdogodniejszych.... kiedy stan nieświetny mojego żołądka wypędzał mnie z łóżka w nocy, nie czułem się zbyt pewnie w długim korytarzu, o majaczącym w głębi jakimś refleksie światła, gdy w śnie powszechnym napierała grubość murów i odzywała się pustka przebywająca tam dalej, w salach niezamieszkałych, jej samotność, jej ciężar, gniecenie wszechstronne pustki wypełnionej czasem zmarłym, wykończonym, przeminiętym. W tym zamarciu dochodził jedynie skądś szept żarliwy starego pana d'Hormon, który nie mogąc spać godzinami całymi recytował w swoim pokoju wiersze Mallarmé'ego, Rimbauda, Rasyna, jakby pacierze odmawiał... Co by było, gdybym idąc tak tym korytarzem natknął się naraz na jakąś Anomalię, nie, nie na ducha, stracha, to byłoby zbyt prostoduszne, ale na Anomalię, wszak musiałem się liczyć poważnie z tym, że wielowiekowe nawarstwienia tylu żyć, zduszonych tyloma śmierciami, mogły wytworzyć jakiś ferment, coś co by mnie rzeczywiście zaskoczyło, gdybym na to coś wpadł w ciemnym korytarzu. Człowiek przecież ciągle spodziewa się czegoś takiego... i jest na to przygotowany... Ja zresztą sam byłem chorobą, czyli anomalią, czyli czymś

pokrewnym śmierci i bardziej może niż ducha, bałem się tego, że się zanadto nie boję...

◆

Po rocznym zanurzeniu w Germanii przyglądałem się Francuzom z ciekawością.

Gdym, zaraz po przybyciu z Berlina, tydzień w willi pod Paryżem spędził, kuśtykałem, jak mogłem, resztkami sił do furtki na ulicę żeby ich *znowu* zobaczyć. Sprawdzić, jak wyglądają po Niemcach.

Europejczycy, wyrzuceni na brzeg Południowej Ameryki, jak smętne rozbitki, muszle i wodorosty, byli osłabieni... tu są w swoich narodach, jak owoce na drzewie, w pełni soku.

◆

Zastanawiałem się, o ile moje pierwsze wrażenia z Paryża — kiedy ujrzałem go przed rokiem po raz pierwszy po latach Ameryki — o ile te wrażenia zawarte w dwóch rozdziałach mojego dziennika, Paryżowi poświęconych, mogły być pośpieszne, pomylone... Paryżanie, którym się zdarzyło przeczytać ten tekst ogłoszony w *Les Lettres Nouvelles* kręcili nosem. Taki list, na przykład, od jednego literata francuskiego: *„Pan nienawidzi Paryża, to pańskie prawo. Ale w tych rozdziałach próżno by szukać świeżości i szczerości, której tyle na innych stronach pańskiego dziennika, pan tutaj posługuje się schematami dość zużytymi i zdawkowymi, pan nie chce wejść w to miasto, z irytacją zwraca się pan przeciw... I widać wyraźniej, niż gdziekolwiek indziej, jak bardzo pan przyrządza rzeczywistość, żeby ją przystosować do swojej subiektywnej wizji"*.

Zgoda, ja rzeczywistość przyrządzam, gdzieżby tam ten dziennik był raportem, albo protokułem... mój opis świata jest na prawach poematu, ma wyrażać świat poprzez moją pasję, i moją pasję poprzez świat. Jakąż pasję wsadziłem w mój opis Paryża?

Francuzi z Royaumont — wiedziałem — też się w tym nie połapią. Ta elita, skłonna mimo wszystko uznać, że „człowiek, to brzmi dumnie!" musiała też przyjąć, że „młodość, to brzmi naiwnie!"

Wywyższanie się ponad słówko, nasiąknięte żenującymi nostalgiami... wiem, znam... ileż razy potrząsałem nim dla hecy przed dumnym nosem dojrzałości! Paryż? Nie tyle Paryż atakowałem w tych moich notatkach, ile Europę — ile Paryż, jako maksymalny wyraz estetyki europejskiej. Gdyż, Europo, Paryżu, w was piękność staje się cywilizowana, czyli zorganizowana, co więcej ulega podziałowi funkcji: jedni są żeby piękno fabrykować,

drudzy żeby konsumować. Piękno człowieka, ludzkości, rozpada się wam coraz bardziej na pisanie poematów i recytowanie poematów; malowanie obrazów i oglądanie obrazów; fabrykowanie szminek i nakładanie szminek; tańczenie w balecie i oglądanie baletu.

Ten proces polega na wypośrodkowaniu z siebie piękności, żeby ona stała się czymś zewnętrznym, obiektywnym... żeby przestała boleć... i hańbić... Mnie, w moim charakterze poety, zachciewa się przywrócić piękności gatunku ludzkiego jej sens dziki, pierwotny, zawstydzający, nieubłagany... jej sens *osobisty*....

Patrz, tam gdzie kończy się dziecko, a dorosły jeszcze na dobre się nie zaczął, tam, od czternastu do dwudziestu czterech lat wieku, dane jest kwitnienie człowiekowi. Jedyny to czas pełnej piękności w człowieku. Istnieje w ludzkości rezerwat nieśmiertelny urody i wdzięku, ale — niestety, niestety! — związany z młodością. Och, nie wystarczy podziwiać piękność abstrakcyjnych obrazów — ta nie jest drastyczna — trzeba jej doznać poprzez to, czym się było, czym się nie jest, poprzez tę niższość młodości...

Zepchnąć cywilizowaną, zorganizowaną piękność paryską w tę przepaść... w młodość...

To jest, mniej więcej, punkt wypadowy mojej satyry na Paryż.

Pochyl się nad rzeką czasu przepływającego, Narcyzie, i próbuj złowić migocącą w wodzie uchodzącej nieubłaganie czarującą twarz...

◆

Polacy nieraz zaglądali do mnie z Paryża.

Kot Jeleński. Allan Kostko pojawił się którejś soboty i obaj pochylaliśmy się nad moim Żurnalem 53-56, który właśnie się ukazał w jego pieczołowitym przekładzie.

Lavelli, reżyser „Ślubu", przywiózł mi ładną, maleńką, Krystynę Zachwatowicz; jej zawdzięczam dekoracje, które wielkie miały powodzenie.

Także Jadwiga Kukułczanka, tłumaczka „Ślubu", która, zaniepokojona brzmieniem początkowych sylab swego nazwiska w języku Gallów, wymyśliła sobie przedziwny pseudonim Koukou Chanska.

Ksiądz Sadzik bywał obecny, jako lektura. Czytałem z ciekawością jego „Esthétique de Heidegger" przeplatając St. Simonem.

Pod kasztanami.

Liście kasztanów.

Polska. Argentyna.

Dwa tygrysy mityczne mojej historii, dwie fale przewalające

się po mnie i pustoszące przeraźliwym niebytem — bo przecież tego już nie ma, to było.

Czy wchodzę już w końcowy okres, kiedy to żyje się wprawdzie, ale żyje tym, co umarło? Utwory napisane, rzeczy dokonane, czynią mnie wciąż żywym dla tych odwiedzających — gdy w teraźniejszości słaniam się, umieram. To co jest, jest martwe, martwe, martwe, jakby skamieniałe.

◆

Czy czytali państwo odpowiedź Peyrefitte'a, nie, w Normandii wpływy celtyckie... co, pani jest czymś w rodzaju kosmoselenitki, oh, la, la, dwadzieścia sześć trupów ostatniej niedzieli, powiedział jej, że fijołki, *mais quelle corvée cet encombrement...* Konwersacja! W soboty i niedziele przenosimy się na posiłki do większej sali gotyckiej. Pośród oblicz w drzewie rzeźbionych na ścianach, ascetycznych, ekstatycznych, pośród infuł i krzyżów, my, przy wielkich stołach, ze czterdzieści osób, *hors d'oeuvres, potage, entrée, rôti, salade, fromages, dessert, café.* Konwersacja.

Niepohamowana. Nieubłagana. Ożywiona. Zgorszenie, zatem, spoglądających na to ze ścian świętych i bolesnych oblicz? Nie, bo frywolność francuska jest heroiczna. A twarze zajadające przy stole, błogo uśmiechnięte, rozpaplane, nie różnią się znów tak bardzo od tych na ścianie, i tutaj oczy są wyblakłe, policzki pergaminowe, a przystawki i pieczenie giną w ustach słabouzębionych, to rozgadane grono jest w dużym procencie już jedną nogą w grobie. Mimo to, pod przewodem głuchego, jak pień, pana d'Hormon, konwersacja ani na chwilę nie ucicha. Zdawałoby się: mówią aby zagadać tożsamość swoją z bólem i zgrozą ścian...

Te konwersacje zlewały się w męczące brzęczenie pod sklepieniem, akustyka była fatalna, odpowiadano na chybił trafił, byle odpowiedzieć, głuchotę mieli na ustach i w oczach, mówiono od Sasa, mówiono do lasa, ale mówiono, mówiono... jedli a konwersacja ich pożerała...

Mówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu.

Myśl o Anomalii, ta nocna, z wędrowek po korytarzu, przemieniała mi się powoli w ideę Wampira Wysysającego... Wampirem była konwersacja „ożywiona" i coraz „żywsza" w miarę umierania tych nosów, oczu i ust.

◆

Ja przekorny, ja upiorny, ja rozbawiony, ja umęczony, ja żyjący, ja umierający.

Myślałem o tym, że Europa mi się wymyka. Gnębiło mnie, że nie potrafiłem aż dotąd zdobyć się na nic bardziej własnego i odkrywczego wobec Europy, do której zawitałem po ćwierćwiecznej nieobecności, ja, przybysz, Argentyńczyk, Polak powracający... Wstydziłem się myśleć o krajach, ujrzanych ponownie, sposobem już ustalonym, obgadanym, zbanalizowanym — że to technika, nauka, wzrost stopy życiowej, motoryzacja, socjalizacja, swoboda obyczajów... Czy na nic lepszego się nie zdobędę? Jakiż ze mnie Kolumb?

Wydawało mi się prawie śmieszne, że ta rzecz olbrzymia w dziejach, Europa, zamiast olśnić mnie nowością po latach pampy, latach niewidzenia, zapada mi się w stek ogólników, już zużytych.

— Najgorsze — myślałem — że mnie prawda o niej wcale nie interesuje. Ja chcę ją sobie odświeżyć — siebie nią odświeżyć. To wszystko po to, żeby czas stał się odmładzający — zamiast żeby mnie i ją postarzał! Po to chcę wymyślić myśl jeszcze niepomyślaną — ona nie prawdzie ma służyć, a mnie! Egoizm. Artysta, czyli podporządkowanie prawdy swojemu życiu, posługiwanie się prawdą w celach osobistych.

◆

Kamienny ogrom Royaumont, wyrastający z kartezjańskich trawników i alej.

Louvry paryskie rozryczane samochodami... a znów tutaj ten gotyk pobożny nadziany boleśnie intelektualistami-ateistami i najechany przez gromady scjentyficzne etnologów, etymologów, socjologów, których zwoziły aeroplany z pięciu części świata... pełno notesów, aparatów, okularów, tweedów, dyskusji, łamanej francuszczyzny, łamanej angielszczyzny. Pokryta samochodami i naukowcami, jak liszajem, Francja cierpi i usiłuje jeszcze się bronić! Konwersacja! Konwersacja jest jak wielki żołądek, usiłujący to strawić. Jak długo? Jak długo jeszcze *to* będzie tematem naszej konwersacji. Mówiąc wiemy, że mówienie nasze stanowi temat socjologicznych rozpraw po *tamtej* stronie...

W klatce schodowej wisi wielka makata z siedemnastego stulecia. Wspinając się z biedą po schodach na moje pierwsze piętro (które właściwie było drugim), przystawałem w połowie żeby zaczerpnąć oddechu... i, nie mając nic innego do roboty, wpatrywałem się w makatę. Ja, ikonoklasta, byłem jedyną osobą w Royaumont, która się czemuś tutaj przyglądała (co prawda nie z własnej woli). Wypaliłem im to przy śniadaniu. — Jak to? — zapytałem. — Pełno tutaj dzieł sztuki, a nie zdarzyło mi się przyłapać nikogo na kontemplacji, z wyjątkiem wycieczek dzie-

cięcych, oprowadzanych w niedziele i święta. A więc wystarcza wam, że to wisi na ścianach? Rzeczywiście, wystarczało. Obrazy, posągi i inne cuda są po to jedynie żeby wiedziano, że są... wie się, że są, i nie zwraca się na nie więcej uwagi, niż na kaloryfery i wentylatory.

Protestowali. Zażądałem, żeby mi powiedzieli natychmiast, z pamięci, jaką scenę wyobraża wielki, rzucający się w oczy i sto razy widziany, gobelin w sąsiedniej sali. Nie wiedzieli. Zapytałem czy mogą wymienić inne dzieła sztuki, znajdujące się w tej sali. Udało im się na czterdzieści procent.

Pytałem bibliotekarza, pana Gueri, idealną postać klerka, na czarno, w białym kołnierzyku i z krawatem, czy byłby w stanie powiedzieć, jaki procent tomów jego biblioteki wielotysięcznej jest w obrocie, a jaki spoczywa w wieczystym spokoju, *requiescat in pace?* Spojrzał na mnie nieufnie i udzielił wymijającej odpowiedzi. Zapytałem, czy rząd przygotowuje już jakieś środki na nadejście nieuniknionej chwili zupełnego przepełnienia — gdy biblioteki poczną rozsadzać miasta, gdy trzeba będzie oddawać im już nie tylko pojedyncze domy, ale całe dzielnice, gdy nagromadzenie książek i dzieł sztuki wywali się na pola i lasy z miast wypełnionych po brzegi?

— Nie zapominajmy — dodałem — że równocześnie z ilością, przechodzącą w jakość, jakość przechodzi jednak w ilość...

Syn Valerego, ambasador Iraku, minister z Tailandu.

Damy z ostatnią powieścią Robbe-Grilleta, „La Jalousie", w rękach. Przechodzą. Każda mówi: — Tego podobno nie można doczytać do końca... Ja doczytam! Powiedzałam sobie, że doczytam!

Profesor Lucien Goldmann. Barczysty, z klatką piersiową wojowniczą, napierający, coś jak wóz ciężarowy albo nawet okręt o trzydziestu tysiącach ton. Był na premierze „Ślubu" w teatrze Récamier, brał udział w dyskusjach, tłumaczył ludziom na prawo i lewo w czym sekret cały, aż wreszcie wystąpił z artykułem w *France Observateur* pod tytułem „Krytyka nic nie zrozumiała", w którym dał własną interpretację sztuki. Zaczynało się to obiecująco. „Ślub", zdaniem jego, jest ściśle związany z kataklizmami historycznymi naszych czasów, jest to „kronika historii, która oszalała", akcja „Ślubu" jest groteskową parodią zdarzeń prawdziwych. Ale po tym? Z Pijaka zrobił Goldmann lud zbuntowany, z narzeczonej Henryka — naród, z Króla — państwo, ze mnie „polskiego szlachcica", który w tych symbolach zawarł dramat dziejowy. Nieśmiało próbowałem protestować, zgoda, nie przeczę, „Ślub" jest szaloną wersją szalonej historii, w sennym, czy pijanym, stawaniu się tej akcji odzwierciadla się fantastyczność procesu historycznego, ale żeby Mania była narodem, a Ojciec

państwem...?? Na nic! Goldmann, profesor, krytyk, marksista, barczysty, zawyrokował, że ja nie wiem, a on wie lepiej! Wściekły imperializm marksizmu! Im ta doktryna służy do najeżdżania ludzi! Goldmann, zbrojny marksizmem, był podmiotem — ja, pozbawiony marksizmu, byłem przedmiotem — dyskusji przysłuchiwało się kilka osób, wcale nie zdziwionych tym, że Goldmann mnie interpretuje, a nie ja jego.

Och, och, och, Goldmann, głośny profesor Sorbony *en vogue* powiedział, że jestem wielki, och, och, och, a Petèr, historyk, także marksista „otwarty" wyznał, że jestem dla niego obok Faulknera, czy też zaraz po Faulknerze, najznakomitszy. Och, och, och, ale Petèr mnie nienawidzi, zanadto gram mu na nerwach, i powiedział mi to: *vous êtes detestable!* Jakie są ostatnie biuletyny z frontu? Tak, z frontu, albowiem walka częściowo uznanej wielkości mojej z tymi Francuzami nie może ustać ani na chwilę. Mógłbym wprawdzie — tak by się zdawało — być na stopie wojennej z tymi, co nic o mnie nie wiedzą, lub wiedzą źle, a rozkrochmalać się na boczku z wielbicielami. Ale — i mówię to poważnie — jakże bym wyglądał, gdyby wróg zdybał mnie w momencie takiej słabości z wielbicielem? Nie, wciąż jeszcze muszę być trudny! Trudny! I przede wszystkim taki, jaki byłem w Argentynie, och, och, gdybym choć na cal się zmienił pod wpływem Paryża, byłaby to klęska, nie, taki jak byłem z Florem, czy z Eislerem w Rexie, taki być muszę i teraz, och, och, na kopule Inwalidów, na wieżach Notre Dame odcisnąć się Florem i Eislerem z Argentyny!

Florem, albo i Polską staroszlachecką! Dlatego dołożyłem starań by powiedziać dwum komunistom „i, panie święty, dawniej cham był chamem,a pan panem, i było lepiej". To im powiedziałem pod kasztanami. Ci dwaj — profesorowie filozofii, przybyli na Kongres nietzscheański — nadzwyczaj się tym uradowali i przez chwilę wszyscy trzej byliśmy szczęśliwi.

Wyczuwam jednak, że polityka krąży wokół mnie... najgorsza z dzikich małp paryskiej dżungli. O zmroku czuję jak zacieśniają się pewne obieże, wyciągają po mnie pewne macki... Grozi mi przede wszystkim „polski arystokrata" czy też „polski szlachcic" i w dodatku „emigrant", z czego już nietrudno przewekslować na „antysemitę", a nawet na „faszystę", z faszysty zaś tylko krok do „hitlerowca". Jakoż krytyk niemiecki, Żyd, Hans Mayer, który poświęcił mi rozdział swojej książki *Ansichten* darząc rozmaitymi komplementami, oświadczył ni stąd ni zowąd na posiedzeniu *jury* Formentoru, że — wie na pewno — jestem antysemistą i że w książce, którą obecnie piszę, pełno antyżydowskich wycieczek. Kto mu udzielił tej życzliwej informacji? Tym dziwniejsze to wystąpienie, że przecież Mayer omawiał mój „Dzien-

nik" w swojej książce i chyba nie mógł ujść jego uwadze dłuższy passus Żydom poświęcony, określający mój do nich jak najbardziej przychylny stosunek (w kawiarniach warszawskich zwano mnie żydowskim królem). Bronić się? Protestować? Och, och, zezwólmy by sparzenie mej osoby z nomenklaturą już zanadto wyświechtaną spłodziło cudactwa, które same się pożrą. Gorzej, że gazety francuskie z okazji mego przybycia do Paryża podkreślały mój hrabski wygląd i arystokratyczne maniery, a prasa włoska pisała *gentiluomo polacco.* Protestować? Och, och, och, cóż bym zdziałał protestami? Wprawdzie, wiem, kompromituje mnie to w oczach awangardy, studenterii, lewicy, jakbym nieomal był autorem „Quo Vadis"; a przecież lewica nie zaś prawica, stanowi naturalny teren mej ekspansji. Niestety, powtarza się stara historia z czasów gdy to prawica widziała we mnie „bolszewika", a dla lewicy byłem nieznośnym anachronizmem. Ale upatruję w tym poniekąd moją misję dziejową: och, och, och, wejść w Paryż z niewinną nonszalancją, jako konserwatysta-burzyciel, hreczkosiej-awangardzista, lewicowiec prawicowy, prawicowiec lewicowy, sarmata argentyński, arystokratyczny plebejusz, artysta antyartystyczny, dojrzalec niedojrzały, anarchista zdyscyplinowany, sztucznie szczery, szczerze sztuczny. To wam dobrze zrobi... i mnie!

Choroba.
Kamień.
Noc i wampir.
Z Charairami pod kasztanem.
Śmierć.

Dyskusja z panem d'Hormon przy stole, filozoficzna. Najwspanialsza bezwzględnie ze wszystkich dysput moich! Ja mówiłem „w pańskim Renanie tkwi, ukryty, Bergson", na co staruszek, nie dosłyszawszy jednego słowa, odpowiadał „gdyż monadę trzeba ująć w tej perspektywie, niech pan mi wierzy, dokładnie to przemyślałem, i zresztą Demokryt..." Ja (brutalnie): — Nie ufam Teokrytowi! On (ujmująco, z największą grzecznością): — Co? Heraklit? Owszem, owszem, do pewnego stopnia podzielam pańskie uczucia, cher Monsieur, ale horyzonty heraklitowskie... Przysłuchiwano się z nabożeństwem w głębokim milczeniu, stół cały zawisał u naszych ust, aż w końcu starzec klepnął mnie po ramieniu: *Nous sommes du même étage* (jesteśmy z tego samego piętra).

Hector, Jean, Raoul, Dominique. Lat 14, 15, 16. Zmieniają talerze, obnoszą półmiski, szparcy, roztańczeni — czy balet ten po to, żeby nas obsłużyć, czy też my objadamy się i roztaczamy nasze dostojeństwa po to jedynie, żeby oni mogli tańczyć? Nad

wieczorem wypadają z kuchen i kredensów na park, na boiska i plac tenisowy, wskakują na motocykle i wtedy św. Ludwik, wieża, gotyckie fasady, kongresy, zjazdy, artyści, uczeni, wszystko to pada plackiem przed tymi dziećmi, jak przed obcojęzycznym najeźdźcą.

Witold GOMBROWICZ

BIBLIOTEKA "KULTURY"

TOM CXIII — BORYS LEWICKYJ

TERROR I REWOLUCJA

Autor pokazuje w tej pracy historyczną rolę terroru w poszczególnych fazach rozwojowych sowieckiego systemu.

Str. 288 **Cena egz. 15 F. (22/6; $ 3,25)**

◆

TOM CXIV — STANISŁAW VINCENZ

PO STRONIE PAMIĘCI

Wybór essejów

***Po stronie pamięci* oznacza walkę z zapomnieniem i ze śmiercią jako równoległymi czynnikami niszczenia ludzkości.**

Str. 256 **Cena 13,50 F (20/; $ 3,00)**

◆

TOM CXV — DANUTA MOSTWIN

OLIVIA

W swej nowej powieści autorka — opierając się na swym doświadczeniu jako *social worker* — opisuje charakterystyczny wypadek kryzysu w życiu rodzinnym i młodzieży amerykańskiej.

Str. 288 **Cena egz. 15 F. (22/6; $ 3,25)**

WIERSZE Z WŁOCH

AKWEDUKT

Akwedukt się nie zatrzyma
Nie poda wam szklanki wody,
Biegnie tak od tysięcy lat,
Wielbłądzie stopy obite,
Skóra odpada jak tynk,
Słońce dźga karawanę,
Kaktusom wyrywa czerwone języki
Z maków wysysa opium,
Żarnowce młóci na żółty proch
I tylko my spaleni jak żużle
Stoimy przy drodze i do wielbłądów
Wyciągamy rękę ze szklanką wody,
Która już się ogrzała
I powoli wysycha.

FIERA DELLA FRAGOLA

Ogromna, czarna łza,
Zimna, mokra źrenica
Ze środka ziemi.
Widać przez nią otwarty mózg
Jak się wysila
Ze środka ziemi.
I nie wie nikt
Co myśli spętany wulkan
Ze środka ziemi:

Może wszystko rozsadzi,
Może się wszystko zawali,
Może źrenicą wystrzeli
Ogień ze środka ziemi.

Ale dzisiaj jest fiera.
Wszyscy na wielki targ
Śpieszą się wespą rozklekotaną,
Bo tymczasem jest jeszcze tak,
Że smagli mieszkańcy tej ziemi
Biegną do swoich straganów
Sprzedawać poziomki
W Albano
I Nemi.

HANNIBAL ANTE PORTAS

Zaczaił się nad jeziorem trazymeńskim,
Na linii Florencja — Rzym,
Przejeżdżasz tamtędy:
Słonie ukryte jak czołgi,
Afrykańska dywizja pancerna,
Nowa, nieznana wojna,
Z której zostały tylko
Szkolne legendy.

Słonie prowadził przez Alpy,
Uderzył jak przedtem nikt,
Czołgi zadeptały rycerzy.
Teraz tam kąpią się dzieci,
Żagiel połyska daleko,
Tyle błękitu,
Kto w tamto wierzy?

Stoimy przybici do miejsca,
Toczy się jakaś rozmowa
Ale ja słyszę, słyszę — coś krzyczy
Do uszu dzieciom:
Druga wojna punicka,
Druga wojna światowa,
A co z trzecią?

Biegnijmy, krzyczmy, niech myślą
Że nagleśmy poszaleli:

Może nas jeszcze usłyszą,
Może się jeszcze ocalą
I uratują z kąpieli.

ROZMOWA Z ZAWIADOWCĄ STACJI

Ojcze, mój zawiadowco,
Weź czerwoną czapkę,
Wyjdź na peron,
Przepuść ten pociąg
Do końca drogi
Bo pełznie powoli:
Tyle podróżnych
A nikt nie wie dokąd,
Nie ma przystanku,
Nikt nie wysiada,
Co to za kolej.

Tyle sekretów w szarych wieżach
A wszystko ucieka w przestrzeni,
Tyle świata przebiegłem i czekam
Kiedy się ze mną odmieni.

Trzeba by wysiąść , wyjść na drogę
Pod kamieniami wysokimi,
Mój zawiadowco, ja nie mogę
Porozumieć się z nimi.

Czas by dojechać do końca
Zanim się serce zlęknie,
Ojcze mój, przepuść ten pociąg,
Świat mi ucieknie.

— Widocznie jeszcze nie ma wyroku,
Zostaw to innym sądom,
Przypatrz się jeszcze
Nieprzemierzonym
Morzom i lądom,
Dobru i złu
Na niebie i w piekle:
Nie ma przystanku,
Będzie przystanek,
Wszyscy wysiądą,
Nikt nie ucieknie.

ITALIENISCHE REISE

Ich kenne das Land
Wo die Zitronen bluehen,
Co jeszcze powiedzieć
Gdy wszystko już powiedziane:
Ten sam czerwony księżyc
Upadł do środka Colosseum
Przez rozwaloną ścianę.

Leży wielka złota cysterna,
Całą przeszłość odbarwia,
Cały wystygły ten cyrk
Nakrywa ogonem pawia.

Rozbita bania z poezją,
Nie płoszy jej żaden jęk ani krzyk,
Jakże tu może być spokojnie,
Eine kleine Nachtmusik.

Ale mówiono nam straszne rzeczy:
Nie zatamujesz krwi kiedy broczy,
Najmądrzejszy cezar Augustus
Własnoręcznie wyrywał ludziom oczy.

A więc co nas tu łączy, jaki most
Nad przepaściami, urodą i zbrodnią,
Czy jest jakaś krucha kładka?

— Długi, zawiły życiorys,
Który nam pisze ludzka Noc,
Zrozpaczona, wspólna matka.

Wszystko już powiedziała,
Więcej nie można.
Poza tym mikroskopijne westchnienie
Jak ta nic nieznacząca notatka.

Kazimierz WIERZYŃSKI

TEN RUCH MORZA JEST WSZĘDZIE OBECNY

Wacławowi Iwaniukowi

1

Ten ruch morza jest wszędzie obecny. Słyszy je
rozpaczający głupiec i rozumny głupiec.
Tylko dziecko w akwarium mariny dostrzega
siebie w braterskim związku alg i wodnej fauny.

Ten ruch podskórny wody biegnącej na oślep
jest chyba w zmowie z ziemią. Nikt z nas spoza tego
tajemniczego kręgu nie zna ruchu form,
mozołu traw, korzeni, kurzej łapki kwiatu.

Ten niespokojny przypływ morza to jest mowa
przypominająca we śnie bieg zdyszanych koni,
to one tylko wiedzą — one, sny — jak myśli
nieokiełznany żywioł oceanu myśli.

2

Wszystko czym żyję w myśli jest kunsztownie
wyryte. Pióro ptaka opadając
spiralną linią jest takim nietrwałym
zapisem myśli. Jeśli na gorąco
nie podołam jej zamknąć w dłoni jakżeż
myśl nie jest więcej niż dawką trucizny?

Nie wiele miejsca zabiera na stole
kubek gliniany lub cień kubka
rzucony w poprzek papierów. Cóż więcej
wie o przedmiocie myśl nie dzieląc z nim
miejsca i w jakie wchodzi związki płaska
tarcza aluzji udająca rzecz?

A jednak głębiej wnika w umysł opis
kubka niż gest dłoni sięgającej w materię.

3

jako dzieci baliśmy się krzyku sów
dużo później lęk motoryzacji

owładnął miejscem w umyśle
opuszczonym przez sowie kohorty

odtąd pielęgnujemy zwyczaj
chodzenia do kina
aby wyzbyć się pustych dziur
w ścianie pamięci

patrząc na obraz ruchomy
przechowujemy w kącikach oczu
mały płomyk dzieciństwa
marzenie ruchu

stoimy w miejscu
tylko nasz język robi postępy
pędząc po autostradach słów
ku niewiadomym celom

ale najgłębiej w nas mieszka
pozór — fetysz dzieciństwa
czarny ruchomy las
świecący sowimi oczyma

II

1

Mówimy: — schodźmy teraz po schodach przyrody
do piwnicy gatunków, stańmy oko w oko
z samą czystą naturą, poznajmy jej prawa,
może zdołamy poznać tajemnicę wnętrza.

Wszak — twierdzą inni — człowiek nie jest tak bezwolny
jak wąż którego ruchy są przekazem tylko
instynktu. Co nas stwarza nie jest wcale
sprawą przypadku ani ruchem prymitywu.

Ale radość uległa zagładzie szukania
i już nas nie ubawi zając słupkujący
na dachu łąki w mleczach kwitnących na żółto.
Jest to smutna pociecha że umiemy nazwać
zająca.

2

Nas epoka zepchnęła z miejsc na których stała

budowla naszych przodków, gdzie oni i ja
rysowaliśmy wzory domu myląc się
w zawikłanych strukturach planu. Oto wszystko.

Uszkodzony gzyms wieży zwisa teraz grożąc
zerwaniem sukni nieba. Patetyczny model
dla bractwa religijnych którym trwoga służy
za klęcznik. Dla nas jest to tylko fakt w naturze.

Nowe też wzory sztuki poczynają działać
w wyobraźni. Im to raczej przypisana przyszłość
wizji za którą kroczy architekt i zecer
a mieszczaństwo podąża pragnąc świeżych podniet.

3

W zmęczonych zmarszczkach niedobrze do twarzy.
Sam wiesz że dzisiaj młodzież nas śledzi
uważna. Woli jej poddać trzeba
rygory kunsztu i myśl o młodości.

Rzeczy nie zmienisz. Stół pozostanie
stołem, a pięta musi podbijać
kurz rytmu, pieśni. Nie wypada też
gorszyć się nową rytmiczną miarą.

Nie myśl że jeśli włosy strach zjeżył,
ręka nie zdoła przywrócić porządku
fryzurze śmierci. Pamiętasz krzywe
brwi plamy w szkolnym rozlane kajecie?

W historii włosa ukryte związki
i pokrewieństwo sztyletu i szpady.
Od linii włosa biegnie po czole
zmarszczka. Legenda rodzi się później.

Tu nam wypadło dzielić na czworo
włos, życie, litość. Brak nam syntezy.
Ona uchyli swojej zasłony
choć może będzie za późno.

Jan LESZCZA

BIAŁA FLAGA

Widzę
jak zmienia
brąz włosów na srebro
a uśmiech
wiąże
ust węzłem
do wewnątrz.

Wczoraj
jej cień omijałam
wzrok wznosząc w niebo
słuch zarzucając na śpiew ptaka
węch gubiąc w kwiatach
w drodze do przystani
wyciągniętych ramion
biorąc je za brzeg stały.

Dziś
na ścianach pustych
ciała mego
śmiech swój rozwiesza
widząc
białą flagę
w ciemności
nade mną

OUT OF BOUNDS

Nie pomogą
nawozy sztuczne
drzewom
wkopanym koroną
w grunt obcy
korzeniom
zaczepionym o wiatr

korona straci świeżość zieleni
a wiatr wysuszy korzenie do kości

i takie upiory
stać będą jeden przy drugim
w ogrodzie kwiatów
o zagubionym zapachu
ściszonych głosów
trzasku szkieletu
alei cmentarnej
z napisem
w obcym im języku
out of bounds
odwiedzającym
out of bounds
dla tubylców.

Krystyna BEDNARCZYKOWA

Nowość

Beniamin Józef Jenne

ASPAZJA, ON I JA

W tym prozatorskim debiucie niezwykłym w formie i treści jest śmiała i obrazoburcza próba dialogu młodości z epoką.

do nabycia tylko w

Oficynie Poetów i Malarzy
146 Bridge Arch Sutton Walk,
Londyn S. E.I

Polityczne neurozy

Tezą niniejszego artykułu jest pogląd, że wykazujemy neurotyczny stosunek zarówno do Wschodu jak i do Zachodu. Szeroko wśród Polaków rozpowszechniona nienawiść do Rosji jako symbolu Wschodu — uniemożliwia nam zrozumienie Zachodu. Jedną z zasadniczych cech człowieka Zachodu jest brak nienawiści do Wschodu. Naszych pisarzy i polityków gardzących Rosją i Wschodem — cechuje nieodmiennie całkowite niezrozumienie psychiki i polityki Zachodu. Nie może być inaczej ponieważ nienawiść do Wschodu jest cechą... wschodnią — obcą Amerykaninowi, Anglikowi czy Francuzowi.

Zacznijmy od mitu, który za Mieczysławem Jastrunem — nazwijmy „mitem śródziemnomorskim". Może właściwiej byłoby mówić o micie kultury Zachodu, który wyrósł z Grecji, z Rzymu i z chrześcijaństwa.

W Polsce zarówno wyznawcy humanistycznego mitu śródziemnomorskiego — jak i jego wrogowie i grabarze wykazują ćwierćwiekowe opóźnienie historyczne. Spengler, Keyserling, Witkiewicz — cytowani są jako współcześni znawcy przedmiotu. Krytycy marksistowscy idą jeszcze dalej i w każdym studium czy rozprawie powołują się na Feuerbacha — mimo, że ów mędrzec umarł przeszło 90 lat temu.

W Polsce ludzi znających Zachód jest coraz mniej. Starsze pokolenie zatrzymało w pamięci obraz Zachodu sprzed ćwierćstulecia. Wypady za granicę na miesiąc czy dwa — przy braku książek i prasy zachodniej nie mogą przełamać postępującego wyobcowania. W okresie ubiegłych trzech dekad Zachód uległ olbrzymim przeobrażeniom. Mit śródziemnomorski wprawdzie nie upadł — choć grzebie go żywcem Piotr Kuncewicz na łamach „wiktoriańskiej" warszawskiej „Twórczości" — lecz uległ radykalnemu przewartościowaniu. W owym przewartościowaniu

Polacy krajowi nie brali udziału i w znakomitej większości nie byli nawet świadkami tego procesu. Tu leży przyczyna, że w „Twórczości" ukazują się eseje, które stanowiłyby ozdobę „Wiadomości Literackich" sprzed r. 1939.

Intelektualiści polscy w wielu wypadkach przejęli marksistowską krytykę kultury burżuazyjnej. Daleko łatwiej jest z pozycji marksistowskich czy semi-marksistowskich krytykować Zachód niż zaakceptować u siebie w kraju „państwowy socjalizm" z jego biurokratyczną klasą rządzącą. Spotkałem wielu inteligentów krajowych, którzy kulturalnie nie należą do nikąd. Stany Zjednoczone krytykują tak jakby byli marksistami — stosunki w Polsce krytykują tak jakby byli antykomunistami. Kultury anglosaskiej nie rozumieją — kultury rosyjskiej nienawidzą.

Stosunki w Polsce nie mogą być porównywane z intelektualną sytuacją w Związku Sowieckim. Rosja — podobnie jak Stany Zjednoczone jest nie tylko krajem lecz i kontynentem — odrębną całością, zamkniętą w swych granicach. Polska natomiast jest obszarem „tranzytowym" i dzięki swej pozycji geopolitycznej, geoideologicznej i geokulturalnej — miałaby wszystkie dane by stać się jednym z najciekawszych krajów w Europie. Mogłaby być wyjątkowym krajem ludzi rozumiejących Wschód i Zachód — krajem jeśli nie wielkich syntetyków — to wyrozumiałych pośredników i negocjatorów. W rzeczywistości jednak w Polsce procent ludzi znających i rozumiejących Zachód maleje. Nie oznacza to jednak niestety, że rosną kadry intymnych znawców Wschodu. Po prostu rośnie armia ludzi, którzy nie rozumieją ani Wschodu ani Zachodu. Na emigracji mamy również legion ludzi, którzy Zachodu nie rozumieją a Wschodu nienawidzą.

Są to sprawy istotne — dotyczą bowiem ogólnych ram, bez których nie może powstać żadna koncepcja polityczna.

Polacy mają na ogół irracjonalny, a tym samym fałszywy stosunek do obu super-mocarstw, które wywierają dominujący wpływ na losy Europy i świata.

Nawet najbardziej pro-amerykańscy emigranci i część Polaków w Kraju — przy każdej okazji wygłaszają oklepane frazesy, że... Zachód sprzedał nas w Jałcie. Faktem jest, że w okresie międzywojennym Ameryka nie interesowała się Europą Wschodnią i przejście tego obszaru pod panowanie sowieckie — w ocenie Waszyngtonu było epizodem pozbawionym większego znaczenia. Jak słusznie zauważył Andrzej Korboński („U.S. Policy in East Europe") Amerykanie zaczęli się interesować Europą wschodnią dopiero wówczas, gdy już nie leżało w ich mocy zmienić układu faktów dokonanych.

Stany Zjednoczone „odkryły" Europę wschodnią nie na skutek pro-polskich sentymentów lecz dzięki zaborczej polityce sowieckiej. Polityka *containment* miała na celu zatrzymanie pochodu sowieckiego i w tej perspektywie w Europie spełniła swe zadanie.

Obserwując reakcję Polaków od wielu lat doszedłem do wniosku, że ogólnie biorąc nasz stosunek do Stanów Zjednoczonych

jest w równej mierze neurotyczny jak nasz stosunek do Rosji.

Polacy wychowani są od pokoleń w schemacie geopolitycznym rosyjsko-niemieckim. Nasz kraj leży pomiędzy Rosją a Niemcami — w konsekwencji wszelkie porozumienie pomiędzy tymi potężnymi sąsiadami wróży dla nas katastrofę. Powyższy schemat przenieśliśmy obecnie żywcem na stosunki rosyjsko-amerykańskie. Ów „transfer" stanowi jedno ze źródeł irracjonalizmu w naszym podejściu do polityki Waszyngtonu.

Niemal wszyscy Polacy na emigracji i bardzo znaczny procent Polaków w Kraju — uważają Stany Zjednoczone za naszego naturalnego sojusznika. Amerykanie są przeciwnikami komunizmu i w pewnych określonych wypadkach gotowi są przeciwstawić się zbrojnie agresji komunistycznej. W określonych wypadkach i w określonych punktach globu — Amerykanie występują jako sojusznicy miejscowych anty-komunistów zdecydowanych podjąć walkę z agresją czy infiltracją komunistyczną. Byłoby jednak katastrofalnym błędem z powyższego stanu rzeczy wysnuwać wniosek, że antykomunizm jest dostateczną kwalifikacją na sojusznika Stanów Zjednoczonych. Ten błąd popełnia wielu Polaków i tu leży drugie źródło naszego irracjonalizmu w stosunku do Ameryki.

W Polsce w proporcji do cyfry ludności jest pięcio — a może dziesięciokrotnie więcej przekonanych antykomunistów niż w Wietnamie. Jednak Warszawa nie ma żadnej szansy stania się drugim Sajgonem. Stany Zjednoczone nie oferują nam sojuszu ani nie gwarantują naszych granic. Możemy liczyć na życzliwość i pomoc amerykańską lecz nie na sojusz i nie na gwarancję granic. W naszym konkretnym wypadku antykomunizm nie zapewnia awansu na sojusznika Stanów Zjednoczonych i analizując sytuację Polski nie należy nigdy o tym zapominać.

Trzecim źródłem naszego irracjonalizmu w odniesieniu do Ameryki jest widmo polityki *liberation*. Polska prasa emigracyjna notuje z nieukrywanym entuzjazmem każde pogorszenie w stosunkach amerykańsko-sowieckich. Pogrobowcy polityki „wyzwolenia" wyobrażają sobie naiwnie, że formy polityki współistnienia są *de facto* „staczaniem się po równi pochyłej" — natomiast każde zaostrzenie konfliktu pomiędzy Wschodem a Zachodem może przynieść wskrzeszenie polityki *liberation*.

Szanse nawrotu do polityki „wyzwolenia" są równe zeru — natomiast wydatne i długotrwałe pogorszenie w stosunkach pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem — byłoby wodą na młyny stalinowców i dogmatyków.

Wietnam dostarczył ilustracji w tej sprawie. W pierwszych dniach lipca br., Filip Ben informował w „Le Monde" o apelach przywódców komunistycznych Polski i Czechosłowacji skierowanych do Moskwy — domagających się akcji odwetowych za bombardowania amerykańskie. Władcom satelickim chodziło z jednej strony o upadek prestiżu ich protektorki Moskwy, z drugiej strony w aferze wietnamskiej dojrzeli szanse zaostrzenia

konfliktu amerykańsko-sowieckiego. Każde zaostrzenie konfliktu stwarza możliwość umocnienia „żelaznej kurtyny" i dostarcza argumentu w walce z „liberałami" i „rewizjonistami".

Nie tylko w tym wypadku lecz i na wielu innych polach tzw. „Niezłomni" wspomagają *de facto* stalinowców i dogmatyków, którzy w zaostrzeniu konfliktu widzą jedyną gwarancję swojego trwania przy władzy i przy żłobie.

Dla polityków emigracyjnych demonem i „antychrystem" XX wieku jest Moskwa. Lecz Amerykanie nie podzielają tego poglądu. W. „Foreign Affairs" ukazał się znamienny artykuł Williama C. Foster'a dyrektora amerykańskiej Komisji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia (U.S.Arm Control and Disarmament Agency). Autor zajmuje wybitne stanowisko w administracji Johnsona i należy przypuszczać, że cytowany artykuł w „Foreign Affairs" ukazał się za zgodą prezydenta.

Zasadniczą tezą artykułu Fostera jest stwierdzenie, że potencjał nuklearny Rosji Sowieckiej stanowi dziś mniejsze niebezpieczeństwo niż ryzyko rozpowszechniania się broni atomowych wśród innych narodów. Sowiety przestały być niebezpieczczeństwem Nr 1. Niebezpieczeństwem Nr 1. stała się groźba rozszerzenia się „zarazy atomowej" na inne kraje spoza klubu nuklearnego.

Zdaniem Fostera również czynnik czasu w powyższych zagrożeniach odgrywa różną rolę. Konflikt z Sowietami posiada charakter długofalowy i okres dwóch czy trzech lat pozbawiony jest większego znaczenia. Natomiast jeżeli Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki nie powstrzymają procesu rozpowszechniania się broni atomowych w najbliższych miesiącach — na wszystko może być za późno. W konsekwencji, układ z Sowietami, dotyczący kontroli zbrojeń atomowych, jest w opinii Fostera najpilniejszym zadaniem polityki amerykańskiej, nawet, gdyby niósł z sobą ryzyko erozji obecnych sojuszów.

Do krajów o zaawansowanej technologii nuklearnej Foster zalicza: Szwecję, Izrael, Indie i Japonię. Zachodnie Niemcy, Zjednoczona Republika Arabska i Pakistan mogłyby osiągnąć „poziom nuklearny" przy pewnej pomocy z zewnątrz.

Dopóki trwa wojna w Wietnamie układ z Sowietami nie ma wielkich szans powodzenia. Lecz nie ulega wątpliwości, że interesy Sowietów w odniesieniu do problemu rozpowszechniania się broni atomowych są całkowicie zbieżne z interesami amerykańskimi.

Polakom bardzo trudno przychodzi pojąć, że Rosja i Stany Zjednoczone dzięki „nasyceniu" ich potencjałów atomowych — mimo konfliktowości ideologii — posiadają wspólną politykę bezpieczeństwa. Nieobliczalne wręcz możliwości niszczycielskie jakimi dysponują zarówno Waszyngton jak i Moskwa — stanowią źródło swoistej „wspólnoty interesów" sowiecko-amerykańskich.

Naczelnym celem polityki amerykańskiej jest pokój, przez co należy rozumieć międzynarodowy system zorganizowanego bez-

pieczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich przyszłych negocjacjach w tej sprawie — Rosjanie jako warunek kardynalny wysuną atomową neutralizację Niemiec.

◆

Do roku 1939 Polacy uważali swój kraj za najbardziej na wschód wysunięte państwo zachodnio-europejskie. Uważaliśmy się za naród i państwo zachodnie. Szukaliśmy sojuszników i gwarantów na Zachodzie.

Dziś, po 25-ciu latach, znaczny procent Polaków uważa, że zdradzeni przez Zachód znajdujemy się czasowo we wschodnim „domu niewoli". Obalenie „żelaznej kurtyny", wolność, demokracja, niepodległość — to wszystko kojarzy się w umysłach Polaków z powrotem na Zachód.

W moim przekonaniu na Zachód nigdy nie wrócimy. Zjednoczenie Europy — jakąkolwiek przybierze formę — nie wyrazi się renesansem „egzotycznych" sojuszów.

Na emigracji znakomita większość Polaków widzi zbawienie świata i Polski w rozbiciu Związku Sowieckiego. Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Związek Sowiecki rozpada się na kilkanaście małych państw skłóconych i wojujących wzajemnie ze sobą. Wojna domowa niszczy przemysł i rolnictwo i w konsekwencji zapanowuje głód, rozprężenie i chaos.

W polityce, w przeciwieństwie do fizyki, nie istnieje pojęcie próżni. Gdyby potencjał sił reprezentowany przez Związek Sowiecki ulotnił się w powietrze — w bardzo niedługim czasie od Wschodu weszliby Chińczycy a od Zachodu Niemcy.

Potęga w sensie politycznym jest pojęciem relatywnym. Potęgę Sowietów mierzy się potęgą Ameryki a potęgę Niemiec potęgą Związku Sowieckiego. Gdyby potencjał sił Związku Sowieckiego pewnego dnia „wyparował" — status mocarstwowy Niemiec wzrósłby o sto procent. Niemcy nie miałyby rywala na całym europejskim wschodzie aż po Ural. Wówczas wróciliśmy na Zachód lecz za niemiecką „przepustką" i bez Ziem Odzyskanych.

Rosji możemy nienawidzić lecz Rosja jest nam potrzebna. W naszym interesie leży europeizacja Rosji i przebudowa Związku Sowieckiego w nowoczesny *commonwealth*. Lecz degradacja Rosji do statusu państwa słabszego od Niemiec bezwzględnie nie leży w polskim interesie.

Ameryka nie zaproponuje nam sojuszu ani nie zagwarantuje nam naszych granic. Może nam jednak ogromnie pomóc pod warunkiem, że stosunki amerykańsko-rosyjskie ulegną w przyszłości znacznej poprawie.

Pogrobowcy polityki „wyzwolenia" nie rozumieją, że Amerykanie mogą pertraktować z Rosją z pozycji siły lecz nie siłą. Mówiąc po prostu Amerykanie nie mogą Europy wschodniej wyzwolić, lecz przy sprzyjających warunkach mogą nas częściowo „wykupić".

Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat Amerykanie zainwes-

towali w gospodarkę południowego Wietnamu dwa biliony dolarów. Europa wschodnia nie jest równie ważnym przedpolem — graniczy bowiem z Rosją a nie z Chinami. Należy jednak przypuszczać, że Stany Zjednoczone pomogłyby narodom wschodnio-europejskim stanąć na własnych nogach, oczywiście przy sprzyjających warunkach.

Co należy rozumieć przez „sprzyjające warunki"?

Należy przez to rozumieć ewolucję w dwu kierunkach. Po pierwsze wydatną poprawę w stosunkach amerykańsko-rosyjskich na terenie Europy, a po drugie wygaśnięcie 19-wiecznej mentalności w krajach wschodnio-europejskich, a w Polsce w szczególności.

Niezależność państwowo-polityczna w dwudziestym wieku to nie są deklaracje i gwarancje, ale przede wszystkim technologia. Wszyscy zdają sobie sprawę z faktu, że postęp technologiczny zależy od badań i doświadczeń naukowych. Doświadczenia naukowe w pewnych dziedzinach fizyki kosztują dziś dziesiątki milionów dolarów. Budowa „Mózgów elektronowych", prototypów nowoczesnych samolotów, zespołów zautomatyzowanych fabryk — przekracza finansowe możliwości państw znacznie większych niż Polska.

Pełna cybernetyzacja i zautomatyzowanie przemysłów w najbliższych dwudziestu latach spowoduje, że przepaść technologiczna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Rosją z jednej strony — a Europą zarówno zachodnią jak wschodnią z drugiej strony, wzrośnie do nienotowanych dotąd rozmiarów.

Sir Edward Beddington-Behrens — przewodniczący Brytyjskiej Rady Ruchu Europejskiego — w przemówieniu wygłoszonym niedawno w Londynie — wyraził pogląd, że jeżeli kraje zachodnio-europejskie nie zjednoczą swych potencjałów i możliwości w dziedzinie technologicznej — Europa zachodnia na przestrzeni 10-ciu lat stanie się obszarem o zapóźnionym rozwoju gospodarczym w porównaniu z Stanami Zjednoczonymi i Rosją.

Jeżeli tego rodzaju głosy padają o Europie zachodniej to cóż można powiedzieć o Europie wschodniej?

Narody wschodnio-europejskie, jeżeli pragną wydobyć się z satelictwa, tzn. z jednostronnej polityczno-gospodarczej zależności od Rosji, winny stopniowo łączyć swe przemysły, fundować wspólne instytuty badawcze i zespolić swe wysiłki na polu elektroniki, automatyzacji, energii atomowej dla celów pokojowych itd.

W Stanach Zjednoczonych ostatnia lokomotywa parowa zniknęła ze sceny w roku 1960. W Anglii sto lokomotyw tygodniowo idzie na złom. W roku 1968 ostatnia lokomotywa w Wielkiej Brytanii wyląduje w muzeum. Wiek pary dobiegł kresu. Dni epoki węgla i ropy naftowej są policzone. Epoka energii atomowej rodzi się na naszych oczach. Europa zachodnia i Europa wschodnia mają przed sobą krótki okres czasu, który winien być wykorzystany do zorganizowania potężnych wielo-narodowych kombinatów przemysłowych, porównywalnych w swych po-

tencjałach z analogicznymi przemysłami w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim. Wydaje się nonsensem, że kraje zachodnio-europejskie konkurują z sobą w budowie komputorów — zamiast zespolić swoje potencjały technologiczne, które w porównaniu z potencjałami technologicznymi Ameryki czy Sowietów są bardzo ograniczone.

Wojskowo Europa rozpada się na dwie strefy wpływów — amerykańską i sowiecką. Niemiecki „cud gospodarczy" znajduje się w polu obstrzału sowieckich pocisków atomowych średniego zasięgu, których wyrzutnie znajdują się w południowej Rosji. Niemcy wraz z Europą zachodnią chroni amerykański „parasol atomowy". To jednak nie jest koniec lecz początek rewolucji technologicznej. W najbliższych dekadach Amerykanie i Rosjanie będą mieli orbitalne pociski atomowe, stacje kosmiczne a może bazy na księżycu. Równocześnie będą mieli zautomatyzowany i scybernetyzowany przemysł i do całkowitej hegemonii wojskowej dodadzą całkowitą hegemonię gospodarczą. Polacy natomiast będą nadal nicowali Dmowskiego i omawiali przyczyny upadku Powstania Warszawskiego, zaś Anglicy i Francuzi będą organizowali konkurencyjne rocznicowe obchody bitwy pod Waterloo.

Niezależnym jest się zawsze w proporcji do sił, którymi się dysponuje. Indywidualnie żadnego z państw europejskich nie stać dziś na opłacenie swej niezależności. Suwerenność w sensie dziewiętnastowiecznym w kontekście europejskim stała się mrzonką. Niezależność stała się pojęciem kolektywnym. Pewien stopień niezależności wobec Rosji (czy Ameryki) osiągnąć może tylko określone ugrupowanie państw — a nie indywidualne państwo, czy nawet mocarstwo.

Niezależność jest wprost proporcjonalna do stopnia rozwoju technologiczno-przemysłowego. Rewolucję technologiczną w nowoczesnym tych słów znaczeniu Polacy mogą realizować tylko zespołowo w pierwszej linii z Czechosłowakami.

Główną przeszkodą na drodze do wykrystalizowania się współczesnej polskiej doktryny politycznej są konserwatyści, tzn. stalinowcy w Kraju a „niezłomni" na emigracji. Tak jedni jak i drudzy wszystkie swoje nadzieje wiążą z zaostrzeniem się konfliktu pomiędzy Rosją a Ameryką.

Ugodowość, bezplanowość, *appeasement* ze strony Ameryki z całą pewnością nie leżą w polskim interesie. Lecz wojna czy wydatne zaostrzenie konfliktu również nie leży w naszym interesie.

Jest dziś jasne i oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że zasadniczym warunkiem prawdziwej „odwilży" w krajach Europy wschodniej — jest odprężenie w stosunkach rosyjsko-amerykańskich.

Ameryka nie będzie nas „wyzwalać" ani nie zaoferuje nam sojuszu lecz gotowa jest nam pomóc. Pomóc na większą skalę możliwa jest tylko w ramach polityki odprężenia, której konsekwencją byłaby de-stalinizacja ustrojów państw satelickich.

Stalinowcy w stosunku do Zachodu prowadzą identyczną politykę jaką rząd przedwrześniowy prowadził w stosunku do Wschodu. W obu wypadkach zbliżenie zagrażało stabilizacji rządów i niosło „niebezpieczeństwo" reform. Rząd przedwrześniowy odcinał się od Wschodu „żelazną kurtyną" — rząd Gomułki odcina się od Zachodu również „żelazną kurtyną". Obie powyższe polityki są błędne — ilustrują jednak typową dla Polaków jednostronność w szukaniu rozwiązań. Polacy uważają, że istotą prozachodniości jest nienawiść do Wschodu — a istotą pro-wschodniości nienawiść do Zachodu. Zależnie od układu międzynarodowego, wyznawcy jednej orientacji starają się narzucić swój punkt widzenia wyznawcom drugiej orientacji. W rezultacie tak dla stalinowców w Polsce jak dla „niezłomnych" emigrantów zagranicą — jest nie do pojęcia, że odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą idzie po linii naszych interesów. Tego typu rozwiązanie jest bowiem sprzeczne z tradycyjnym schematem: albo Wschód — albo Zachód.

Musimy zerwać z ową zasadą sprzeczności ponieważ owa rzekoma sprzeczność stanowi istotę polskości. Jako naród należymy równocześnie do Wschodu i do Zachodu. W porównaniu z Rosjanami jesteśmy narodem zachodnim — w porównaniu z Francuzami jesteśmy narodem wschodnim. Różnimy się zarówno od Rosjan jak i od Niemców czy Francuzów tym, że nie można nas bez reszty pomieścić w jednej z szuflad: wschodniej lub zachodniej. Nikt nie zrobi z nas typowo wschodniego narodu i nikt z nas nie zrobi typowo zachodniego narodu.

Nie możemy dzielić Polaków na wschodnich i zachodnich, ponieważ Wschód i Zachód spotykają się w każdym z nas. Po 20 latach pobytu w Londynie jakże często jestem świadom mojej wschodniości. Natomiast w Moskwie z całą pewnością czułbym się zawsze człowiekiem Zachodu.

To co powinno nas wzbogacać i czynić z nas wyjątkowy naród w Europie, w praktyce wyraża się w dwóch sprzecznych dyktaturach: kardynał Wyszyński i kościół reprezentują Zachód — Gomułka i partia reprezentują Wschód.

Nasz stosunek do Rosji jest neurotyczny i nasz stosunek do Niemiec jest neurotyczny. Żywa pamięć łagrów i obozów zagłady musi nabrać historycznego patosu czasu dokonanego i zapomnianego, by owe linie podziału zaczęły się ścierać i stapiać w nową całość.

Jeszcze przed końcem bieżącego stulecia pojęcia „Wschód" i „Zachód" w geograficznej Europie utracą swój emocjonalny ładunek. Za 30 czy 40 lat Rosja będzie podobniejsza do Ameryki niż Kanada. Poza Rosją nikt na całym globie nie ma możliwości powtórzenia amerykańskiej *success story*. Marksizm — Leninizm podobnie jak chrześcijaństwo — może oznaczać krucjaty, inkwizycję i stosy — albo na pół agnostyczny *welfare state*. Lecz zmaterializowana i na pół agnostyczna współczesna Anglia jako organizacja państwowa jest na pewno bardziej chrześcijańska niż arcy-katolicka średniowieczna Hiszpania. Podobnie, na pół

agnostyczna ideologicznie Rosja będzie niewspółmiernie bliższa ideałowi socjalizmu, niż współczesna Rosja dogmatyków i politruków.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

CAT-MACKIEWICZ I INNI

Wobec różnych plotek i pogłosek, które narosły lawiną wokół sprawy Cata-Mackiewicza — jestem upoważniony do stwierdzenia, że Redakcja „Kultury" padła ofiarą prowokacji UB. Artykuł pt. „Adwokatura po roku" („Kultura" Nr 213/214) nie został ani napisany ani wysłany przez Cata-Mackiewicza. To jest fakt stwierdzony ponad wszelką wątpliwość. Stwierdzamy powtórnie, że Cat-Mackiewicz ani nie jest ani nie był związany żadną umową z Redakcją „Kultury".

Jakie wnioski należy wysunąć ze sprawy Cata? Przede wszystkim należy podkreślić, że nie byłoby żadnej „sprawy Mackiewicza" — gdyby Catów-Mackiewiczów było w Polsce 15-tu lub 20-tu. Można wytoczyć sprawę i szykanować jednego czy dwóch odważnych pisarzy, trudno sobie jednak wyobrazić proces wytoczony 20-tu pisarzom. Można wykluczyć ze Związku Literatów trzech pisarzy lecz nie dwudziestu. Wobec grupy kilkunastu pisarzy partia byłaby zupełnie bezsilna — nie mogłaby bowiem ryzykować międzynarodowego skandalu wywołanego masowymi aresztowaniami w środowisku literackim.

Funkcjonowanie demokracji nawet w ustroju demokratycznym zależy bezpośrednio od procentu ludzi z cywilną odwagą. W ustroju totalnym ludzie odważni są jedyną nadzieją i ostoją wolności.

Cat-Mackiewicz stanowi specjalnie trudny orzech do zgryzienia dla partyjnej „praworządności", ponieważ z niego — pogromcy Bergu — nie byłoby łatwo zrobić agenta amerykańskiego wywiadu.

Patrząc na Cata, więźnia Berezy, wzywanego do Prokuratury Generalnej PRL — chciałoby się pod adresem młodych pisarzy krajowych krzyknąć pełnym głosem:

„Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
może ostatni..."

Może ostatni kolorowy, niesforny, sarmacki pisarz w którego twórczości jak w pryzmacie przełamuje się tęcza tradycji pierwszej i drugiej Rzeczpospolitej. Cat jest wspaniałym anachronizmem a równocześnie dał nam

praktyczną lekcję współczesności. Lekcję trudną i przez młodych zapomnianą. Pisarz z prawdziwego zdarzenia w Polsce musi zawsze walczyć.

◆

Od lat piszemy na tych łamach, że należałoby opracować alternatywny program polityczno-gospodarczy dla Polski współczesnej. Opracowanie musiałoby oczywiście być książką zbiorową. Na emigracji książka taka nie powstała i obawiam się nie powstanie — ponieważ programem naszych polityków jest likwidacja komunizmu a nie jego ewolucja i reforma.

Nareszcie dowiadujemy się, że książka zawierająca program „reformy reform" powstała w kraju. Współautorami byli młodzi ludzie, przeważnie absolwenci i doktoranci wyższych uczelni. Kierownictwo i nadzór nad całością sprawowało dwóch młodych, wybitnych aktywistów partyjnych Modzelewski i Kuroń. Dla celów bezpieczeństwa maszynopis sporządzono tylko w niewielkiej ilości egzemplarzy.

Gdyby jeden z maszynopisów „rozparcelowano" i w kilkunastu kopertach wysłano zagranicę — książka zostałaby wydrukowana i z całą pewnością dotarłaby do kraju.

Dlaczego tego nie zrobiono? Odpowiedź jest prosta. Program młodych aktywistów wydany np. przez paryską „Kulturę" — przestałby być „programem aktywistów" choćby wydawca nie zmienił w tekście jednego wiersza. W oczach komunistów program przez nich samych opracowany — stałby się antykomunistyczną bibułą gdyby pod książką jako wydawca figurowała jedna z instytucji emigracyjnych.

Autorzy cytowanego programu domagali się zniesienia „leninowsko-stalinowskiej dyscypliny" w partii i całkowitego zerwania z „dogmatycznym centralizmem", ponieważ wyłącza on istnienie obok siebie różnorodnych poglądów.

To wszystko jest niezmiernie słuszne. Lecz tylko ci mają prawo innym doradzać zerwanie z dogmatyzmem, którzy sami są wolni od dogmatyzmu. Nie dość jest głosić potrzebę różnorodności poglądów — lecz trzeba samemu postępować według tych wskazań. Wysyłając tekst swojej książki zagranicę Modzelewski i jego towarzysze byliby czynem zamanifestowali zerwanie z dogmatyzmem i zadokumentowali swą wiarę w możliwość istnienia różnorodnych poglądów. Tym bardziej, że autorzy programu mogli sobie zawarować, że ich książka ukaże się zagranicą bez jakichkolwiek zmian i bez jakichkolwiek komentarzy.

Modzelewski czy Kuroń nie stoczyliby się oczywiście na pozycję Cata-Mackiewicza, który swe artykuły drukował w „Kulturze". Nie śmieliby bowiem poddać w wątpliwość partyjnego dogmatu, który głosi, że polska emigracja polityczna na Zachodzie składa się wyłącznie z reakcjonistów i z faszystów. W rezultacie maszynopisy książki powędrowały do archiwów UB, a Modzelewski i Kuroń powędrowali za kraty. Czy nie byłoby lepiej by przynajmniej książka „wybrała wolność"?

Karol Modzelewski przed dwoma laty spędził dłuższy okres czasu we Włoszech. Intelektualny poziom kierownictwa włoskiej partii komunistycznej, swoboda dyskusji i demokratyzm współczesnych Włoch wywarły na nim wielkie wrażenie. Po powrocie do Warszawy utworzył luźną grupę dyskusyjną w środowisku uniwersyteckim.

Partia odnosiła się z najwyższą nieufnością do „nowinkarskich" poczynań Modzelewskiego i Kuronia. Posypały się nagany, kary dyscyplinarne itd. Gomułka od początku żądał jak najsurowszego ukarania młodych „proroków" jak ich określił.

Góra partyjna z Gomułką na czele jest niezdolna ani do ewolucji ani do odnowy. Oczywiście uwięzienie Modzelewskiego i Kuronia sprawy nie rozwiązuje. Ewolucji i postępu nie można zamknąć w więzieniu.

WIETNAM DLA DOROSŁYCH

Amerykanie przy każdej okazji podkreślają, że pragną przywrócić narodowi wietnamskiemu prawo do samostanowienia o swoim losie. Wydaje się, że małe i średnie narody mają prawo do samostanowienia i wolności pod warunkiem, że realizacja tych postulatów nie stoi w jawnej sprzeczności z globalnymi interesami jednego z super-mocarstw.

Amerykanom trudno jest uwierzyć, że w pewnych wypadkach rząd o większości komunistycznej może powstać w drodze wyborów — zwłaszcza jeżeli komuniści wysuwają hasło zjednoczenia kraju. Niełatwo wyjaśnić w Waszyngtonie, że zjednoczenie kraju w danej sytuacji może być ważniejsze niż demokratyzacja. Wszyscy Polacy pragną wolności i demokracji lecz nie za cenę podziału kraju. Jeżeli ceną za demokrację miałaby być utrata Ziem Zachodnich — znakomita większość Polaków woli jeszcze jakiś czas tolerować ustrój komunistyczny niż płacić ziemią za wolność.

Adlai Stevenson na kilka godzin przed śmiercią udzielił wywiadu korespondentowi BBC. W wywiadzie tym zaznaczył, że linia podziału w Europie jest szanowana zarówno przez Zachód jak i przez Rosję. „Musimy zorganizować coś podobnego w Azji" — zakończył Stevenson ostatni swój wywiad w życiu.

16 lipca br. minęło 20 lat od chwili zdetonowania pierwszej bomby atomowej. „Newsweek" przeprowadził ankietę wśród najwybitniejszych uczonych i polityków, którzy brali udział w tym widowisku. Większość wyraziła pogląd, że bomba uratowała nie tylko pokój lecz Zachodnią Europę. Podkreślam ten szczegół, by wykazać, że często to — co dzielonym narodom wydaje się klęską — Amerykanie oceniają jako sukces. Rosjanie mogli zagarnąć całą Europę a zagarnęli tylko połowę. Dzięki bombie atomowej mamy „linię podziału" którą obie strony respektują (również dzięki bombie atomowej).

Amerykanie są w pełni uprawnieni do szukania linii podziału nie tylko w Europie lecz i w Azji, gdyż inaczej nie można utrwalić światowej równowagi sił.

W prasie, w radio i w telewizji i na uniwersytetach amerykańskich odbyło się dziesiątki dyskusji w sprawie Wietnamu. Napisano setki artykułów, całkowicie sprzecznych.

Można bronić serii poglądów, które w oderwaniu od ogólnego tła są prawdziwe. Można przyjąć pogląd, że wojna wietnamska jest wojną domową, że rząd w Sajgonie ani nie jest reprezentowany ani nie jest popularny, można wreszcie powiedzieć za prof. Hansem Morgenthau'em, że rząd w Sajgonie trzyma się dzięki Amerykanom i Amerykanie zawierając z nim pakty i umowy — układają się *do facto* sami ze sobą.

Trudno również zaprzeczyć logiki W. Lippmannowi, który pisze, że przekracza siły i możliwości Stanów Zjednoczonych sięgać ramieniem zbrojnym poprzez Pacyfik, decydować o formach rządu kraju azjatyckiego i gwarantować mu równocześnie niezależność od potężnego chińskiego sąsiada.

To wszystko jest prawda lecz zagadnienie wietnamskie polega na tym, że ma niewiele wspólnego z Wietnamem.

Weźmy przykład z naszej własnej historii. Anglicy zawarli z nami sojusz i wypowiedzieli wojnę Hitlerowi dlatego i tylko dlatego, że Trzecia Rzesza opanowała kontynent europejski i stanowiła śmiertelne zagrożenie dla Wielkiej Brytanii. Może to zabrzmi cynicznie, lecz nikt nie idzie na wojnę, by bronić cudzej wolności czy cudzych granic. Narody wyruszają na wojnę zawsze w obronie swoich własnych interesów, które mogą być źle lub dobrze skalkulowane.

Spór pomiędzy Sowietami a Chinami dotyczy między innymi strategii rewolucyjnej. Mao-Tse głosi, że nękające kampanie partyzanckie, wspomagane z zewnątrz, redukują technologiczną potęgę nowoczesnych armii (jak amerykańska) do wymiarów papierowego tygrysa. Tam gdzie nie ma autostrad, wielkich miast przemysłowych, sieci kolejowej, lotnisk — lecz przeciwnie na olbrzymich przestrzeniach rozprzestrzenia się dżungla — partyzant góruje nad regularnym żołnierzem. W Wietnamie mjr. Hubal-Dobrzański broniłby się przeciw całej zmotoryzowanej potędze Hitlera nie 14 miesięcy lecz 14 lat. Amerykańscy rzeczoznawcy oceniają, że w walce z partyzantami armia regularna musi dysponować dziesięciokrotną przewagą.

Chińska doktryna zakłada, że wojna partyzancka stanowi główny i niezwalczony instrument rewolucji komunistycznej.

Jak wiemy podstawą *status quo* w Indochinach był układ zawarty w roku 1954, który dzielił Wietnam na dwa państwa. Wiet-Kong („Narodowy Komitet Wyzwolenia Wietnamu") podjął jednak kroki wojenne celem zjednoczenia południowego i północnego Wietnamu pod rządami komunistycznymi. Z legalnego punktu widzenia nie może być mowy o agresji amerykańskiej ponieważ Wiet-Kong pierwszy zaatakował bazy amerykańskie w południowym Wietnamie.

To jest szczegół ważny, ponieważ pro-moskiewscy komuniści, bronią w Europie *status quo*. Gomułka w swym przemówieniu wrocławskim oświadczył, że „uznanie zaistniałego w Europie *status quo* stało się nieodzownym warunkiem pokoju i bezpieczeństwa".

Okazuje się, że obrona *status quo* w Europie jest cnotą, natomiast obrona *status quo* w Azji jest zbrodnią i agresją. W Azji obowiązuje bowiem nie moskiewska doktryna koegzystencji lecz chińska doktryna wojen partyzanckich.

Na ogół powszechnie uważa się na Zachodzie, że w światowym ruchu komunistycznym Moskwa dysponuje znakomitą większością. W rzeczywistości jednak Moskwa dysponuje znaczną większością tylko z europejskim ruchu komunistycznym. Obóz prosowiecki liczy ok. 19.026.000 członków — obóz prochiński 19.923.000 członków. W skali światowej obóz pro-chiński wykazuje pewną liczebną przewagę. Opieram się w tym wypadku na amerykańskich danych cyfrowych, które — należy podkreślić — pokrywają się nieomal całkowicie z oficjalnymi statystykami sowieckimi.

Nie tracąc z oczu powyższych cyfr należy stwierdzić, że Wietnam jest dzisiaj polem doświadczalnym jednej z dwóch zasadniczych doktryn stra-

tegii komunistycznej. Zwolennikami pełnego zwycięstwa komunizmu są oczywiście zarówno Rosjanie jak i Chińczycy. Rosjanie odrzucają jednak doktrynę chińską argumentując, że partyzantka rewolucyjna i tzw. „małe wojny" doprowadzić w końcu muszą do otwartej „wielkiej wojny" ze Stanami Zjednoczonymi. Kontrargument chiński streszcza się w przyrównaniu Ameryki do papierowego tygrysa. Stratedzy w Pekinie sądzą, że wszędzie tam, gdzie zwycięstwo nie może być osiągnięte przewagą technologiczną, Amerykanie — pragnąc uniknąć znacznych strat w ludziach — po pewnym czasie opuszczą plac boju.

O słuszności czy błędności danej doktryny rewolucyjnej czy trategicznej decydują nie dyskusje i polemiki międzypartyjne tylko praktyka.

Gdyby Amerykanie skapitulowali w Wietnamie potwierdziliby tym samym słuszność doktryny chińskiej. I w tym sensie utrata Wietnamu pociągnęłaby za sobą poważne konsekwencje nie tylko w Azji, w Afryce i w Ameryce łacińskiej lecz również w Europie.

Przyjezdni z kraju w prywatnych rozmowach wyrażali obawę, że przedłużająca się wojna w Wietnamie doprowadzi do groźnego pogorszenia stosunków pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem — co wyrazi się usztywnieniem „żelaznej kurtyny" i dalszym wzmocnieniem antyliberalnych tendencji w partii i w rządzie.

Całkowita klęska Amerykanów w Wietnamie nie leży w interesie Moskwy ponieważ oznaczałaby zwycięstwo chińskiej doktryny ideologiczno-rewolucyjnej. Klęska w Wietnamie pociągnęłaby za sobą upadek prestiżu Stanów Zjednoczonych i... Moskwy.

Rosja i Stany Zjednoczone są krajami wysoko uprzemysłowionymi i dysponują łącznie światowym potencjałem atomowym. Rosjanie w przeciwieństwie do Chińczyków zdają sobie znakomicie sprawę z faktu, że Ameryka nie jest papierowym tygrysem. Sowiety nie mogą przyjąć chińskiej doktryny rewolucyjno-strategicznej, ponieważ nie mogą pozwolić sobie na wojnę z Ameryką i na utratę 300 milionów ludzi. Natomiast Chińczycy z antyamerykanizmu uczynili kamień węgielny swojej doktryny rewolucyjnej. Antyamerykanizm chiński służy dwum celom: do kompromitowania komunistów sowieckich, którzy nie mogą być równie antyamerykańscy jak Chińczycy — oraz do mobilizowania ludów kolorowych przeciwko największej kapitalistycznej potędze białej rasy.

Propozycja chińska pod adresem Moskwy — odarta z frazeologii i ideologicznej liturgii — sprowadza się do stwierdzenia, że Chiny wraz ze Związkiem Sowieckim byłyby w możności pobić Stany Zjednoczone. Po takiej operacji Związek Sowiecki byłby radioaktywnym rumowiskiem, natomiast Chiny — choćby straciły 300 milionów ludzi byłyby nadal najliczniejszym narodem świata. Wojna unicestwiłaby dwu głównych rywali Pekinu, tzn. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Dwa największe i najpotężniejsze narody rasy białej — Amerykanie i Rosjanie — zostałyby zrujnowane bezpowrotnie. Nie można się dziwić, że Rosjanie nie są zachwyceni tego rodzaju strategią i ideologią.

W sumie należy stwierdzić, że Wietnam jest problemem amerykańsko-chińskim, amerykańsko-sowieckim, sowiecko-chińskim a dopiero w ostatniej kolejności jest również zagadnieniem nieszczęsnego narodu wietnamskiego, nękanego wojną niemal od lat dwudziestu.

Na przykładzie Wietnamu można przeanalizować jeden z typowych fe-

nomenów dwudziestego wieku. Z jednej strony w społecznej opinii świata umacnia się przekonanie, że małe i średnie narody — choć bez broni nuklearnych — mają przecież prawo do samostanowienia o swym losie. Z drugiej strony nigdy dotąd w dziejach wielkie mocarstwa nie były tak potężne jak dziś i nigdy dotąd system międzynarodowy i utrzymanie pokoju nie zależały w takim stopniu jak dziś od równowagi sił światowych super-mocarstw.

Z jednej strony obserwujemy wysiłki atomowych mocarstw zmierzające do utrwalenia pokoju — z drugiej strony jesteśmy świadkami wyzwoleńczych ruchów i wojen.

Jak pogodzić owe dwie sprzeczne tendencje?

Sprzeczne tendencje pogodzić można tylko w drodze kompromisu. Trudność polega na tym, że kompromis nigdy nie odpowiada ani tym którzy dysponują niezłomną siłą, ani tym którzy dysponują niezłomną dogmatyczną wiarą. Do kompromisu skłonni są tylko racjonaliści, którzy niestety wszędzie są w mniejszości.

Musi się uznać zarówno prawo do samostanowienia małych i średnich narodów jak i światową odpowiedzialność nuklearnych super-mocarstw.

Zasada samostanowienia musi oznaczać prawo wyboru ustroju. Jeżeli większość narodu wietnamskiego wypowie się za komunizmem, Waszyngton winien się z tym pogodzić. Samostanowienie jest dzisiaj fikcją, ponieważ wielkie mocarstwa interweniują zbrojnie ilekroć małe lub średnie państwo w odnośnej strefie wpływów decyduje się na ustrój o odmiennym znaku ideologicznym. Wydaje się rzeczą wręcz absurdalną by w sporze stulecia demokracja kontra komunizm — nikt nie miał niczego do powiedzenia poza Rosjanami i Amerykanami. Niemniej absurdalną jest zasada, dziś obowiązująca, że przynależność do danej strefy wpływów — czyli położenie geograficzne danego kraju — przesądza arbitralnie o jego ustroju. W Sajgonie nie może być komunistów a w Budapeszcie nie może być demokratycznych socjalistów. Węgrzy z uwagi na geografię muszą pogodzić się z faktem, że w ich kraju nie będzie nigdy palm kokosowych i pól ryżowych. Rolnictwo jest zawsze i wszędzie determinowane położeniem i warunkami geograficznymi. Lecz ustrój społeczny winien zależeć nie od geografii i klimatu lecz od swobodnie wyrażonej woli mieszkańców danego kraju.

Dopóki powyższe bezsporne prawdy nie zostaną uznane tak przez Amerykanów jak i przez Rosjan — Waszyngton i Moskwa nigdy nie uporają się ze swymi strefami wpływów. Uznanie nie tylko w teorii lecz i w praktyce zasady samostanowienia leży w bezpośrednim interesie super-mocarstw. W przeciwnym wypadku zabezpieczenie pokoju światowego i zorganizowanie trwałego systemu międzynarodowego pozostaną „pobożnymi życzeniami".

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że utrzymanie pokoju zależy w pierwszej linii od Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego — ponieważ oba te mocarstwa dysponują łącznie 98% światowego potencjału nuklearnego. Nie ma odpowiedzialności bez uprawnień. Jest oczywiste i logiczne, że uprawnienia obu super-mocarstw muszą być większe niż państw małych i średnich.

Jak pogodzić prawo do samostanowienia małych i średnich narodów z bezspornymi uprawnieniami super-mocarstw?

Trzeba znaleźć formułę, która łączyłaby prawo do ustroju z politycznym lojalizmem strefy wpływów.

W moim przekonaniu jedynym praktycznym rozwiązaniem tego problemu jest neutralizm. Amerykanie, których wkład w życiu ludzkim i w materiale jest dziś olbrzymi — nie zgodzą się, ani nie mają powodu godzić się na zjednoczony komunistyczny Wietnam pro-chiński. Stany Zjednoczone są dziś dokładnie dwukrotnie bogatsze niż w okresie wojny koreańskiej i dwukrotnie łatwiej mogą ponieść koszta tej skali operacji. Jeżeli zechcą narzucić Wietnamowi koreańskie rozwiązanie nie braknie im sił, by je utrzymać w mocy.

Amerykanie mają prawo przeciwstawić się wpływom chińskim w Azji. Wietnamczycy mają prawo do ustroju zgodnego z wolą większości narodu wietnamskiego. We wszystkich wypadkach gdy mały lub średni naród wybiera ustrój różny od ideologii hegemona danej strefy wpływów — winna być stosowana forma neutralności.

Prawo do samostanowienia musi obejmować również prawo do komunizmu jeżeli taka jest wola większości danego narodu. Tylko akceptując ten pogląd Amerykanie będą mogli domagać się przyznania prawa do ustroju demokratycznego narodom, które wchodzą w sferę wpływów sowieckich. Państwo w orbicie rosyjskiej wybierające ustrój demokratyczny podlegałoby również zasadzie neutralności.

Rosjanie mają prawo domagać się od Polaków, by nie włączali się w system antyrosyjski — nie mają natomiast prawa decydować o ustroju społeczno-gospodarczym państwa polskiego.

Tylko idąc po tych liniach byłoby rzeczą możliwą pogodzić kardynalne prawo do samostanowienia małych i średnich narodów z światową odpowiedzialnością super-mocarstw.

Inicjatywa w tej sprawie winna wyjść od Amerykanów. Waszyngton powinien zgodzić się na zjednoczony Wietnam komunistyczny — jeżeli komunizm odpowiadałby woli większości narodu wietnamskiego — pod warunkiem całkowitej neutralizacji kraju. Tak Amerykanie jak i Rosjanie są dostatecznie potężni by w każdym poszczególnym wypadku zabezpieczyć ścisłą kontrolę statusu neutralnego.

NAKAZ ŁĄCZNOŚCI

W artykule pt. „Polityczne Neurozy", który drukujemy w bieżącym numerze „Kultury" — wysunąłem propozycję, by Polacy i Czechosłowacy tworzyli wspólne instytuty naukowe i zespolili swe wysiłki w tych dziedzinach współczesnej technologii, które z jednej strony decydują o postępie a z drugiej strony przekraczają indywidualne zasoby i możliwości średnich i małych narodów.

Za 20 czy 30 lat, gdy rewolucja cybernetyczna zostanie w pełni zrealizowana w Stanach Zjednoczonych, w Rosji i częściowo w zachodniej Europie — państwa nie scybernetyzowane staną się ubogimi krewnymi na zapadłej prowincji. Łatwo przewidzieć z jakimi radami pod naszym adresem wystąpią wówczas „bogaci krewni". Zaproponują nam kupno na dogodnych warunkach urządzeń, instalacji i aparatury przemysłowej sprzed epoki cybernetycznej. Ekonomiści krajów bogatych i zaawansowanych wytłumaczą nam również, że leży w naszym własnym interesie odciążyć kraje cybernetyczne z maszyn i urządzeń z którymi nie wiedzą co robić. Gdyby tak się

stało — a stać się może niezmiernie łatwo — z prowicjonalizmu i niskiej stopy życiowej nie wydobędziemy się przez stulecia.

Idea federacji czy związku polsko-czechosłowacko-węgierskiego nigdy w dziejach nie była taką koniecznością i naglącą potrzebą jak obecnie. Jeżeli się nie połączymy, żadne z naszych państw nie będzie zdolne zmodernizować swojego przemysłu i przepaść pomiędzy naszymi krajami a Rosją i Ameryką pogłębiać się będzie z każdym rokiem.

Bogaci bogacą się niepomiernie szybciej niż ubodzy, i wskutek tego w proporcji ubodzy stają się *de facto* coraz biedniejsi. Lecz to nie jest jeszcze cała *story*. Biedni, by się wzbogacić, muszą eksportować. Nie ma innej drogi przed nimi. Już dziś eksport z biednych krajów stanowi problem, a za lat 30 przestanie być nawet problemem. Konkurencję z zautomatyzowanymi i z scybernatyzowanymi przemysłami wytrzymają tylko kraje o najwyższym poziomie technologicznym. Związek polsko-czechosłowacko-węgierski miałby szansę stać się jednostką gospodarczą, której pewne dziedziny produkcji osiągnąć mogłyby z czasem bardzo wysoki poziom.

Powyższe refleksje nasunęła mi lektura „The Central European Federalist". Redaktorami tego wydawnictwa są: V. Brzorad, Béla Kirâly i Adam Rudzki.

„Federalist" od 12 lat propaguje ideę federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej skupiając na swych łamach wybitnych publicystów i naukowców środkowo-wschodnio europejskich.

Choć może nie dostrzegany przez szerszą publiczność emigracyjną i na pewno nie w pełni doceniany, „Federalist" służy dobrze niezmiernie istotnej sprawie.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

PRZED WYBORAMI

Dziewiętnastego września rb. Niemcy — Republika Związkowa — wybiera piąty powojenny Bundestag. Dokonując przeglądu ubiegłego czterolecia parlamentalnego, należy stwierdzić, że kulminacyjnym jego punktem było ustąpienie Konrada Adenauera i objęcie kanclerstwa przez profesora Erharda, zaś najistotniejszą przemianą polityczną, jaka zaszła w tym okresie, jest wzajemne upodobnienie się programów partyjnych dwuch wielkich ugrupowań: Chrześcijańskiej Demokracji (CDU i CSU) i Socjalistów (SPD).

Wzajemne zbliżenie zasad programowych sprawiło, że pod koniec obecnej legislatury koalicja rządząca — Chadencja z Wolnymi Demokratami (FDP) — więcej miała kłopotów z przeciwnościami wewnętrznymi niż z opozycją socjalistów, i że po wyborach projekt ewentualnego utworzenia rządu socjalistyczno-chadeckiego stał się pomysłem wykonalnym.

Na ten temat trafnie zauważył „Der Spiegel" że, gdy w 1961 roku

Adenauer miał składać w Bundestagu przysięgę kanclerską, socjaliści gremialnie opuścili salę: brakowało lewicy, lecz opozycja była. Obecnie, gdy przewodniczący Bundestagu zamykał ostatnią przed wakacjami sesję — lewica była na sali, lecz opozycji brakowało.

Znamienną przemianą jest także powolny lecz stały wzrost popularności SPD. W przede dniu wyborów mówi się, że uzyskanie przez socjalistów absolutnej większości jest mało prawdopodobne, ale możliwe. Nie słychać natomiast wypowiedzi rokujących osiągnięcie większości przez Chadecję. Uchodzi jednak za rzecz pewną, że oba wielkie ugrupowania łącznie zdobędą co najmniej 85% mandatów. O resztę będą walczyć Wolni Demokraci (FDP) i dwa efemeryczne zapewne nowotwory: NPD — Nationaldemokratische Partei Deutschlands, i CVP — Christliche Volkspartei.

NPD powstało pod koniec ubiegłego roku i ma stanowić skrajnie nacjonalistyczną prawicę. CVP utworzono w Kolonii dopiero pod koniec lipca rb. Założyciele CVP określają swą pozycję jako „na lewo od CDU", proklamują likwidację doktryny Hallsteina i mają dążyć do ułożenia *wirklich soziale Nachbarschaft* na Wschodzie, czyli do „rzeczywiście socjalnego sąsiedztwa". Co to ma oznaczać — nie dociekałem. Szanse tych nowotworów wyglądają dość beznadziejnie. Jednak ilość głosów oddanych na NPD będzie bardzo miarodajna dla oceny wpływów nacjonalistycznych ekstremistów.

Wybory wrześniowe wyjaśnią trzy zagadnienia: 1⁰. Stopień popularności socjalistów, to znaczy: większość absolutna SPD w Bundestagu, albo największa ilość mandatów pozwalająca desygnować kanclerza i przewodniczącego parlamentu, czy też tylko utrzymanie się na dotychczasowym drugim miejscu po Chadecji. 2⁰ Rozwój czy zmierzch liberałów FDP. 3⁰ Liczebność ekstremistów nacjonalistycznych. Nie zostanie natomiast rozwiązana specjalnie nas interesująca zagadka: ilość wyborców identyfikujących się z polityką biurokracji Związku Wysiedleńców (Bund der Vertriebene — BdV) i poszczególnych Ziomkostw terenowych.

Biurokracja ta twierdzi, że reprezentuje co najmniej piątą część ludności Niemiec Zachodnich. Nie przesądzając słuszności czy przesady tego twierdzenia trzeba przyznać, że Związkowi Wysiedleńców udało się ugruntować w Niemczech cały wachlarz politycznych tabu, wątpliwej wartości dla samych Niemców, a zdecydowanie groźnych dla narodów Europy Środkowej, jak na przykład teza o konieczności przywrócenia niemieckich granic wschodnich z 1937 roku.

Uporanie się w Niemczech z nowopowstałymi tabu i dawniej zakorzenionymi legendami wymaga przede wszystkim czasu i to czasu liczonego zapewne nie na lata, a na kadencje parlamentarne. Dlatego nie podzielam optymizmu Aleksandra Bregmana (Dziennik Polski z 28. 7. rb.), że już w nadchodzącej legislaturze rząd ewentualnej „Wielkiej Koalicji" — tzn. Chadecy & Socjaliści — mógłby się zdobyć na uznanie Odry i Nysy za zachodnią granicę niemczyzny i na zmianę urzędowej nomeklatury nakazującej „Republikę Ulbrichta" nazywać Niemcami środkowymi *(Mitteldeutschland)*.

Wydaje mi się, że nastąpić to może dopiero wówczas, gdy z izb parlamentu w Bonn i w Krajach Związkowych znikną bezpowrotnie posłowie typu Hermana Conringa, lub Hansa Krügera, — gdy fotele ministerialne nie będą dostępne dla polityków typu ministra Seebohma, a w wymia-

rze sprawiedliwości nie będą możliwe wypadki w rodzaju afery byłego generalnego prokuratora Fränkla.

Krótkie wyjaśnienie. W czasie kończącej się legislatury generalnym prokuratorem został mianowany Wolfgang Fränkel. Wkrótce po nominacji okazało się, że Fränkel za rządów Hitlera współdziałał przy zamianie wyroków więzienia na karę śmierci. Fränkla usunięto.

Obejmując urząd, Kanclerz Erhard powołał na ministra spraw wysiedleńców prezesa Związków Wysiedleńców, byłego sędziego Hansa Krügera. Wkrótce wyszło na jaw, że Krüger podczas wojny działał niezbyt chlubnie w sądach specjalnych na okupowanych terenach. Kanclerz udzielił mu dymisji.

Urzędujący do dziś minister Seebohm, jako prezes jednego z Ziomkostw, od lat propaguje nie tylko konieczność przywrócenia granic z 1937 roku, ale także przyłączenia Sudetów do Niemiec.

Hermann Conring jest od 1953 roku posłem Bundestagu. Mało znany szerszej publiczności, jako wice-przewodniczący Komisji Budżetowej, wiosną rb. został zaszczycony Wielkim Krzyżem zasługi — z okazji siedemdziesiątych urodzin. Wywołało to protesty prasy holenderskiej, gdyż w latach 1940-1945 Conring był pełnomocnikiem okupantów na okręg Groningen w Holandii. Odnaleziono jakiś dokument potwierdzający udział Conringa w 1942 roku w wysiedlaniu Żydów. W lipcu rb. poseł holenderski w Bonn urzędowo wyraził w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zdziwienie z powodu tego odznaczenia. Obecnie Conring oświadcza: „Na honor i sumienie — nie wiedziałem o obozach zagłady. Przypuszczałem, że Żydzi będą wykorzystani w obozach pracy dla wzmożenia wojennej gospodarki, osłabionej przez powołania do wojska".

Jak dotychczas historyjka bardzo banalna i powszednia. Lecz rzecz w tym, że można ufać prawdziwości powyższego oświadczenia, z czego wynika że Conring nie jest przeciążony lotnością umysłu i zdolnością orientowania się w sytuacji, a jednak od dwunastu lat zasiada w Bundestagu.

◆

Pan Günter Friedrich, lat 36, wysiedleniec z Ziem Zachodnich, posiada dyplom Akademii Handlowej i od dwuch lat jest naczelnym dyrektorem średniej rozmiarami wytwórni maszyn budowlanych. (Internationale Baumaschinenfabrik A.G. — IBAG, Neustadt, Pfalz).

Na tegorocznych Targach Poznańskich zawarł w imieniu „Ibagu" kontrakt z „Polimexem". Na podstawie tego kontraktu „Polimex" będzie dostarczał betoniarki „Ibagu" na tereny objęte „Komekonem", a w zamian „Ibag" będzie sprzedawał na Zachodzie obrotowe dźwignie budowlane polskiej produkcji i będzie otrzymywał z Polski do swych maszyn ciężkie części stalowe, taniej się kalkulujące od zachodnio-niemieckich.

Pomimo „świeżości" kontraktu wzajemne dostawy przekroczyły już wartość miliona dolarów, a „Życie Warszawy" przyznało tej wymianie pionierskie znaczenie.

Odwiedzając w czerwcu swój „Heimat" w Województwie Szczecińskim Günter Friedrich oświadczył, że to miasto jest od dwudziestu lat „Heimatem" polskich dzieci, a jego dzieci mówią już nadreńską gwarą.

Dyrektor Friedrich i czynni przy dostawach pracownicy firmy Ibag mają prawo każdej chwili bez wizy paszportowej lądować na Okęciu.

Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że w Bundestagu, wyłonionym przez wrześniowe wybory zasiądzie niewielu jeszcze posłów — obojętnie z jakiej partii — ustosunkowanych do zagadnień Europy Wschodniej podobnie do Güntera Friedricha.

◆

Wypaczona skutkami wojny struktura wieku obywateli Niemiec Zachodnich spowoduje w następnym czteroleciu parlamentarnym bardzo ważne zjawisko. Według danych Urzędu Statystycznego, od roku 1966 do 1970 ilość zarabiających — wynosząca dzisiaj ponad 27 milionów — będzie się zmniejszać corocznie o siedemdziesiąt do stu tysięcy pracowników. Obecnie jest tutaj zatrudnionych ponad milion cudzoziemców, a zarazem około siedmiuset tysięcy miejsc pracy pozostaje bez obsady.

Państwowy Urząd Statystyczny przewiduje, że do obecnej ilości zarabiających, to znaczy do 27,25 miliona, Niemcy Zachodnie wrócą dopiero około 1980 roku. Ministerstwo Pracy oblicza tę datę nieco optymistyczniej, bo na lata 1975/6.

Zjawisko to musi zajmować nie tylko ekonomistów, ale także każdego polityka. Musi poza tym wywrzeć wpływ i na kształtowanie się polityki wschodniej Niemiec Zachodnich. Niemcy Ulbrichta znajdują się w podobnej sytuacji, natomiast Polska we wręcz odwrotnej.

◆

Agitacja przedwyborcza rozpoczęła się wczesną wiosną od niepokojących akcentów nacjonalistyczno-hurra-patriotycznych. Jednakże fala ta rozpłynęła się niespodziewanie szybko, ustępując miejsca fali starć osobistych i pokoleniowych. Rozpętał ją sam Kanclerz Erhard 29 maja na zjeździe swej partii w Baden-Würtenbergii atakując dwuch młodych autorów, Güntera Grassa, autora best-sellera „Blaszany Bęben", i Rolfa Hochhutha, autora kontrowersyjnej sztuki „Zastępca", konfrontującej Oświęcim ze stanowiskiem Piusa XII.

„Chcemy się wyrzec" — wołał Kanclerz — „walenia w blaszany bęben podczas walki wyborczej"... „Nie znoszę zwyrodniałych, nieapetycznych przejawów sztuki nowoczesnej. Na ich widok włosy mi się jeżą". Dosłownie po niemiecku: *Da geht mir der Hut hoch!*

Oczywiście ani Hochhuth, ani Grass, agitujący na rzecz SPD, nie zostali Kanclerzowi dłużni. W dalszym ciągu prof. Erhard uznał za wskazane przyrównać głosy tych autorów do łajania małych pinczerków, co znów skłoniło prof. Ernsta Blocha do wypowiedzi: „Ton słów Kanclerza pasowałby raczej do „Soldaten und Nationalzeitung".

Szef Urzędu Prasowego, von Hase, 15 lipca uspakajał: „Wypowiedzi Kanclerza o pisarzach G. Grass i R. Hochhuth nie powinny być rozumiane jako zasadnicze odgradzanie się od świata sztuki".

25 lipca, James Baldwin, po premierze jego sztuki „The Amen Corner" w Hamburgu oświadczył, że jest dumny z przynależności do gatunku pinczerków.

Zabawa trwa dalej. Nie należy gorszyć się tym widowiskiem. Przeciwnie; wspomniawszy sztywne, ponuro wydęte, nietykalne postaci elity rządzącej

z czasów Wilhelma II, nie mówiąc już o bonzach Trzeciej Rzeszy, trzeba z zadowoleniem dostrzegać objawy demokratyzacji i modernizacji, a także odżywanie humoru niemieckiego społeczeństwa. Czyż nie jest pełnym humoru slogan „Przeciw rakowi, za homarami — SPD", albo parafraza plakatu benzyny Esso *Pack den Willy in der Tank.* (Oczywiście Willy Brandt, kandydat SPD na kanclerza).

Wracając do wyborów: przed ośmiu laty, po uzyskaniu przez Chadecję absolutnej większości, znany monachijski profesor powiedział: proszę nie myśleć, że to popularność Adenauera lub Erharda zwyciężyła. To nieporadność socjalistów przegrała. Myślę, że teraz — jeśli w wyścigu wyborczym socjaliści prześcigną konkurenta — będzie można powiedzieć: to niezdarność Chadecji przegrała.

◆

Przewidywania wyborcze? Nie należy spodziewać się rewelacyjnych zmian. Jeżeli sprawdzą się horoskopy różnych biur badawczych i żadna z dwuch wielkich partii nie osiągnie większości absolutnej, nastąpi okres żmudnych targów, mogących wlec się miesiącami.

Monachium, 5 sierpnia 1965.

S. W. KOZŁOWSKI



Podziemie gospodarcze

I

Człowiek przyjeżdżający do Polski w odwiedziny do krewnych wyjeżdża często pod miłym wrażeniem. Składa się na to serdeczność ze strony goszczących, ogólna życzliwość okazywana przyjeżdżającym z innego świata. Aby jednak kraj poznać, trzeba dłużej w nim mieszkać. Ocena zarówno wymiarów jak i psychologicznych skutków zakłamania panującego dziś w Polsce i nad Polską nie jest rzeczą łatwą. Symbolem tego zakłamania może być sama nazwa państwa: Polska Rzeczpospolita Ludowa. W języku polskim od wieków pojęcie „lud" łączyło się z pojęciem: lud wiejski. Otóż w tym państwie „ludowym" właśnie warstwa ludu wiejskiego jest wyeliminowana z jakiegokolwiek wpływu na jakąkolwiek sprawę. Jest to więc zakłamanie *symboliczne*. Postaram się zobrazować kilka innych: a więc zakłamanie *klasyczne:* sprawa Haraschina miała miejsce dość dawno, lecz jest tak kolorowa w swym przebiegu, że warto ją jeszcze raz opowiedzieć.

Oto Haraschin, były prokurator, który przyczynił się do rozstrzelania dziesiątków ludzi w okresie „błędów i wypaczeń", czyli w okresie bierutowskim został potem kierownikiem jakiejś produkcji włókienniczej na Śląsku i jednocześnie kierownikiem zaocznego studium prawa na Uniwersytecie, tym Uniwersytecie, który dotychczas używa zaszczytnej nazwy Jagiellońskiego. Otóż jako ten kierownik studiów zaocznych prawa zaczął sprzedawać po 50 tysięcy złotych dyplomy z ukończenia nauk prawnych, przyznające tytuł magistra, podpisane zawsze przez odpowiednią ilość profesorów. Trzebaż jednak trafu, że po Krakowie rozeszła się nieprawdziwa zresztą pogłoska, że w związku z działalnością tej placówki włókienniczej, Haraschin wpadł i został aresztowany.

Wobec tego jeden z takich „magistrów" wbiega do Senatu Uniwersyteckiego, rzuca dyplom na stół i oświadcza, że on nie jest winny, że tego papieru nie kupował, że Haraschin przysłał go na imieniny, że ma na to świadków itp. Incydent właściwie pocieszający i optymistyczny, lecz w istocie swej arcykomiczny. Widać Senat także wierzył plotce, że Haraschinowi powinęła się gdzie indziej noga i sprawę skierował do sądu. Potem odbyła się rozprawa sądowa, oczywiście przy drzwiach zamkniętych. Sprawiedliwość w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, o ile tylko mogłaby skompromitować działalność jakiejś władzy czy urzędu jest z reguły wymierzana w sposób kapturowy. Przewodniczący Sądu zapytuje jednego, który kupił sobie dyplom u Haraschina — „Czy pan może mi powiedzieć kto to jest?" (tutaj przewodniczący wskazuje na osobistość o reprezentacyjnej powierzchowności, siedzącą na ławie świadków) — „Nie, obywatelu przewodniczący, nie znam tego pana, nigdy go nie widziałem". — „Czy jest Pan zupełnie pewny, że widzi go pan po raz pierwszy?" — „Tak jest Obywatelu Przewodniczący". — „A przecie to jest dziekan Wydziału Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, profesor Wolter, który jest na pierwszym miejscu podpisany na pańskim dyplomie magisterskim, który tam stwierdza, że egzaminował pana...".

Potem przewodniczący Sądu zwraca się do prof. Woltera: — „Panie Dziekanie na jakiej podstawie podpisał pan ten dyplom?" — „A na podstawie informacji profesora Haraschina, który mnie poinformował, że chodzi tu o człowieka, który ukończył wydział prawny na Uniwersytecie w Łodzi". — „A na jakiej podstawie wydał pan ocenę postępów kandydata?" — „A także na podstawie wiadomości udzielonych mi przez prof. Haraschina...."

Oczywiste jest, że ten profesor Wolter powinien być oskarżony na równi z Haraschinem i siedzieć dzisiaj w więzieniu, ale wtedy wszyscy profesorowie prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego z wyjątkiem trzech, którzy odmówili Haraschinowi swych podpisów, powinni siedzieć dziś w więzieniu.

Czy to co piszę jest szkalowaniem najstarszego polskiego uniwersytetu? Byłoby niewątpliwie, gdyby nie było dokładną prawdą. Ale ci profesorowie w obawie zbyt wielkiego skandalu uniknęli odpowiedzialności. Pouczają oni nadal biedną młodzież i starsze społeczeństwo o prawie i moralności.

Taki na przykład prof. Konstanty Grzybowski, którego podpis figuruje na haraschinowskich dokumentach, stale pisuje artykuły do prasy krakowskiej, z których wynika, że bardzo jest z siebie zadowolony.

Zakłamanie przemyślne i celowe.

Od kilku tygodni wychodzi w Warszawie jeszcze jedno pismo tygodniowe. Nazywa się „Forum" (przegląd prasy światowej). Wynajduje się różne incydenty, mogące życie w państwach kapitalistycznych ośmieszyć lub zohydzić i triumfalnie się je zamieszcza. Np. oto klisza z pierwszej strony „France Dimanche", że Jaqueline otrzymała karabin, z którego zastrzelono jej męża, aby go mogła korzystnie sprzedać. Oczywiście, że to jest obrzydliwe. Ale wyszukiwanie tego rodzaju wiadomości prawdziwych lub zmyślonych i sugerowanie, że całe życie w krajach wolnych składa się z takiej makabry zasługuje także na nazwę zakłamania.

Zakłamanie prawne.

Jak wiadomo głosuje się w Polsce tylko na jedną listę, czyli całe „wybory", sprawdzanie obecności twego nazwiska na spisach „wyborców" — wszystko to jest tylko komedią poniżającą godność ludzką. Ale ustawa z dnia 24 października 1956 r. o ordynacji wyborczej do Sejmu Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej w art. 34 powiada: „Prawo zgłoszenia kandydatów na posłów przysługuje organizacjom politycznym, zawodowym i spółdzielczym, jak również innym organizacjom ludu pracującego".

Podobno artykuł 38 tej ustawy głosi: „Można kandydować tylko z jednego okręgu i tylko z jednej listy".

Art. 54 p. 3: „W lokalu wyborczym mogą być obecni mężowie zaufania wyznaczeni przez organizacje polityczne i społeczne, które w danym okręgu wyborczym zgłosiły listy kandydatów. Wzór zaświadczeń dla mężów zaufania oraz tryb ich wydawania ustali Państwowa Komisja Wyborcza".

A więc prawo przewiduje kilka list wyborczych, czyli wybory jak wybory, a tylko w praktyce i rzeczywistości obowiązuje komedia wyborów bez wyborów. To jest ta cecha podstawowa przenikająca całe życie polskie. Tak samo według prawa obowiązuje tajemnica korespondencji prywatnej. W rzeczywistości nikogo nie dziwi i nie gorszy, że korespondencja ta jest otwierana i że zdania z listów najbardziej prywatnych figurują potem w aktach oskarżenia korporacyjnych sądów honorowych. Prawo w Polsce to tylko konwenans, coś rodzaju tego „Szanowny Panie" lub „Przyjm Pan wyrazy szacunku", które wypisujemy na naszych listach, nie przypisując tym wyrazom żadnych dalszych konsekwencji.

II

Ile zarabia przeciętny Polak, względnie ile otrzymuje renty? Od 500 złotych miesięcznie do 5.000 złotych miesięcznie w wypadkach wyjątkowych. Mówimy w tym miejscu o zarobkach legalnych. Najbardziej pod względem finansowym uprzywilejowaną klasą są właśnie literaci. Panieneczka wypisująca swe impresje o wyższości świata socjalistycznego nad kapitalistycznym, lub idealista opisujący chwalebne czyny polskich komunistów otrzymuje za płody swego geniuszu wiele więcej niż profesor za godzinę wykładów, do którego trzeba się przecież jakoś przygotować.

Jak wiadomo rząd ludowy ze wszelkich swych sił deprecjonuje własną walutę nadając charakter pieniądza tylko i wyłącznie pieniądzowi państw kapitalistycznych. O stosunkach gospodarczych w Polsce trudno jest pisać, bo człowiek ciągle natyka się na tajemnice. Główny eksport z Polski kierowany jest do Rosji, główny import do Kraju pochodzi z tejże Rosji. Istnieje, bo istnieć musi, jakiś obrachunek tych gospodarczych stosunków bilateralnych, ale stanowi to pilnie strzeżoną tajemnicę, której nie znają nawet wysocy dygnitarze resortów gospodarczych. Wymiana towarów pomiędzy Rosją a Polską obliczana jest w dolarach, lecz to jedna fikcja więcej. Nie dostajemy z tych transakcji ani jednego dolara, ani jednego rubla, bo wszystko się załatwia na drodze kompensacji towarowej. Za towar X otrzymujemy towar Y. Oczywiście w myśl zasad braterstwa nie dążymy nie tylko do pokrzywdzenia braci ze wschodu, ale nawet do zarobienia na tych transakcjach. Innymi słowy Rosja wyzyskuje nasze możliwości gospodarcze jak tylko chce, a popularne hasło uprzemysłowienia kraju przyczynia się jeszcze bardziej do całkowitej zależności gospodarczej Polski od Rosji. Rosjanie już od 47 lat uprzemysławiają swój kraj z tym, że ludność pogrążana jest tam w coraz większą nędzę. Poziom życia robotnika w Rosji coraz bardziej oddala się od poziomu życia robotnika w państwach kapitalistycznych. Polska bratersko i serdecznie nadąża za wielkim państwem radzieckim, jakkolwiek, na podstawie zgodnej opinii ludzi odwiedzających Rosję, dobrobyt w Polsce jest jednak większy niż w Rosji. Przyczyna polega oczywiście na tym, że w Polsce na szczęście nie ma kołchozów.

Ale wróćmy do zarobków legalnych Polaka, które określaliśmy na 500 zł. miesięcznie jako minimum, do 5000 złotych jako wyjątkowe maksimum. To znaczy wg kursu PKO od niecałych 7 dolarów do niecałych 70 dolarów miesięcznie. Trzeba tu zaznaczyć że rodziny w Polsce są liczne. Polak z reguły ma kilkoro dzieci.

Jak w takich warunkach ludzie nie tylko jedzą bardzo dobrze, ale także ubierają się przyzwoicie i od czasu do czasu mają nawet samochody lub motocykle?

Odpowiedź jest niestety tylko jedna, bardzo przykra i moralnie upakarzająca. Oto obok doktrynalnej gospodarki socjalistycznej istnieje w Polsce gospodarka podziemna. Z wyjątkiem bardzo nielicznych warstw, wszyscy w Polsce robią to, co im jest prawnie zabronione i wszyscy „organizują". Człowiek, który ci nie ukradnie zegarka ani portfelu, bo to będzie uważał za kradzież, przywłaszcza dobro wszelkiego rodzaju należące do państwa, bierze udział we wszelkiego rodzaju kombinacjach buchalteryjnych i innych.

„Jakie teraz złodziejstwo jest w Polsce!" — skarżył się robotnik mojej znajomej. „Ledwo zorganizowałem wiadro cementu, na chwilę postawiłem na chodniku i ktoś mi je ukradł!"

Ten poczciwiec nie stawia znaku równania pomiędzy pojęciami: „Zorganizował" i „ukradł". I nie tylko on. Ludzie w Polsce powszechnie uważają, że te dwa wyrazy posiadają inną treść moralną.

Za czasów okupacji w sposób bohaterski wyżywali się w działalności podziemnej, obecnie można mówić o istnieniu podziemia gospodarczego. Jest ono oczywiście mniej bohaterskie, ale niestety naturalne. Stanowi naturalną korektywę socjalistycznych absurdów. Pod względem gospodarczym owo gospodarcze podziemie ratuje jaki taki dobrobyt. Tylko obrót dóbr gospodarczych, możliwie szybki, prowadzi do dobrobytu. Podziemie gospodarcze rzuca na rynek sporo grosza. Zatrudnia wielu ludzi, daje żyć, stwarza ów „ruch w interesie". Nakradłszy się na takim czy innym mięsie, skórze, drożdżach lub w ogóle w małym sklepiku państwowym, ten „organizator" daje zarobić krawcowej, która mu szyje suknie dla żony, daje zarobić kelnerowi, itd., itd.

Pod względem gospodarczym to podziemie gospodarcze jest czynnikiem dodatnim. Inaczej jest jednak pod względem moralnym. Tutaj ma to skutki wręcz katastrofalne. I dlatego z największym niepokojem i troską myśleć należy o moralnym zdrowiu młodego pokolenia w Polsce.

Gaston de CERIZAY

Pokolenie Polski Ludowej

(UWAGI NA MARGINESIE ARTYKUŁU P. ZAPOROWSKIEGO)

Zasługą p. Zaporowskiego jest to że podjął temat z kategorii „śliskich". O młodzieży w Polsce pisze się w ogóle mało, o jej politycznych postawach prawie nigdy, jako że zagadka wygląda zbyt odstraszająco. Artykuł p. Zaporowskiego posiada też tę zaletę, że zachęca do zabrania głosu. Tytuł „Młoda inteligencja Polski a Zachód" niezupełnie oddaje treść artykułu o tyle że chodzi w nim właściwie o zarys losów powojennego pokolenia. Uwagi niniejsze pominą problem stosunku do Zachodu ograniczając się do roli młodzieży jako elementu politycznego w Kraju.

Epopeję pokolenia Polski Ludowej najwłaściwiej będzie datować od momentu kiedy nastąpił pierwszy silniejszy napór komunizmu na młodzież. Prawda że i przedtem dawała ona znać o sobie o czym p. Zaporowski pisał, nie wspominając zresztą o takich faktach jak epidemie tajnych organizacji w latach 45-47, demonstracje na rzecz PSL, lub harcerskie zajścia w Szczecinie. Wszystko to jednak odbywało się pod wpływem starszego pokolenia, było odbiciem dawnych postaw i tradycji. Dopiero po zdławieniu wszelkiej opozycji podjął reżym rzeczywistą ofensywę na młodzież pozostawioną teraz z nim sam na sam. Słusznie czyni p. Zaporowski przypominając jak dalece ta ofensywa okazała się skuteczna. Wykazawszy beznadziejność oporu komuniści rzucali jednocześnie psychologicznie trafne hasła: wyzwolenie od więzów starego świata, bunt przeciw konwencjom i autorytetom, rozprawa z mieszczańską mentalnością. Potęga i brutalność ustroju, kult wodza, prosty i wyjaśniający wszystko system pojęć, dawały schronienie od niepokojów wieku dojrzewania. Co najważniejsze, pierwszy okres rządów komunistycznych, narzuconych i krwawych, cechował przecież dynamizm historyczny. Dla wielu liczyły się głównie społeczne i gospodarcze przemiany, nadzieje na nowy typ stosunków między ludźmi. Organizacje młodzieżowe rozrastały się szybko i w okresie ich zjednoczenia zanosiło się na to, że komuniści zdobędą dla siebie oddaną mniejszość nowej generacji. Zadecydowała jednak wiadoma logika: nie mniejszość ale wszyscy pod wpływ i kontrolę partii. Skutki są znane i nie warto się nad nimi rozwodzić. Zadatek na kadrę utopiony w masie obojętych; walka o lepsze jutro rozmieniona w kampanię przeciw wąskim spodniom; donosicielstwo wywyższone do cnoty; zamordyzm i drętwa mowa, zbiurokratyzowanie i karierowiczostwo. Epoka skandowania stwarzała zresztą pozory że pokolenie zostało już „urobione" a i sami

skandujący niezupełnie wiedzieli czy entuzjazm ich jest sztuczny. Obalenie burżuazji stało się przecież faktem, choć może świat nie wyglądał lepiej. Rozumiano natomiast że marzenia o dalszym ulepszaniu byłyby już nierozsądne. P. Zaporowski nie zapomniał chyba że w każdym zespole wyłoniła się jednak linia podziału na „swoich" i „niepewnych" i że funkcjonował aparat ostrzegający przed szpiclami.

Zawalenie się mitu Stalina pozwoliło na odsłonięcie choroby ZMP. Już samo stwierdzenie prawdy wywołało wśród młodzieży reakcje na własny konformizm. Pęd do rozbijania ZMP przypominał wyłamywanie krat, a reżym nie potrafiąc zatrzymać tego procesu po raz pierwszy objawił swoją słabość. Rozkład ZMP był już zwiastunem wielkiego przesilenia. W narastającym ruchu październikowym młoda inteligencja stanowiła najbardziej dynamiczny żywioł. Bez jej masowego udziału, bez „Po prostu", wieców w Politechnice, studenckich komitetów, Październik nie miałby swego rozmachu ani charakteru. Owe tygodnie napięcia i aktywności to okres który w psychice pokolenia pozostawił najgłębsze ślady. Stało się ono świadkiem historycznego doświadczenia kiedy to pod siłą nacisku potężny gmach zadygotał i nieledwie runął.

W początkowych fazach ruchu stalinowcy pocieszali się jeszcze że chodziło tu głównie o konflikt pokoleń. Niewątpliwie występował i ten motyw. Generacja wyrastająca w nowych warunkach historycznych przejawiała specyficzny antagonizm wobec starszych. Około 1948 antagonizm zwracał się przeciw jednemu ich odłamowi, w 1956 przeciw zupełnie innemu. Tym razem konflikt był ostrzejszy i łączył się z ideowym i moralnym wstrząsem lecz w obu wypadkach zawołaniem była walka z konserwatyzmem.

Znamienne różnice ujawniały się nawet w koncepcjach z jakimi wiązali nadzieję na przyszłość starsi i młodzi zwolennicy Października. U pierwszych przeważał pogląd że z odejściem stalinowców i osłabieniem ingerencji rosyjskiej znikną istotne źródła zła. Nowi ludzie zmienią dawne metody i nawyki, otworzy się droga dla kompetencji, rozsądku i uczciwości. Z usunięciem terroru społeczeństwo znajdzie możliwości wpływania na reżym zmuszając go ku dalszym reformom.

Wśród młodzieży szczególną cechą Października była rewolucyjność. Spontaniczne wołanie o rewolucję, wołanie idące z dołu, bez pokątnych inspiracji lub jakiegokolwiek agitpropu. Hasła tego nie rzuciło „Po prostu" ani rewizjoniści, ci bowiem nie wyszli poza roztrząsanie błędów i wypaczeń. Młodzież samodzielnie dochodziła do konkluzji. Wyczuwano że w kryzysie tym chodziło o coś więcej niż bunt przeciw tyranii lub nową wersję wystąpienia przeciw obcym. Istniała niesformułowana ale rosnąca świadomość, że korzenie zła tkwią głębiej i wyrwać je trzeba w toku rewolucyjnej przemiany. Hasło „suwerenność" nieodłączne od „demokratyzacji" wyrażało zrozumienie, że droga do

niezawisłości wiedzie poprzez obalenie panującej kasty, że ucisk narodowy łączy się ze społecznym.

Powszechne nastroje sprawiały że nowopowstały związek przybierał nazwę rewolucyjnego że komitety studenckie ogłaszały się jako rewolucyjne — słowo rewolucja słyszało się na każdym kroku. Zabawna była wówczas postawa reżymu. Z dobrą miną do złej gry powitano ową rewolucyjność, bo ma się rozumieć — chodzi o walkę z burżuazją. Napisy ukazujące się na murach wołały: precz z czerwoną burżuazją.

Od Października problemem dla reżymu stało się nie to czy pokolenie Polski Ludowej da się porąbać za władzę hierarchii partyjnej, ale czy powiedzie się utrzymać je w bierności. Natychmiast po przesileniu propaganda rządowa zamiast dawnych nawoływań o aktywność i ubojowienie, zaczęła powtarzać, że krajowi nie trzeba rozpolitykowania tylko pracy i nauki. Pierwszy sekretarz chciał teraz aby młodzież słuchała głosu starszych. Mówił o potrzebie cierpliwości, o położeniu geograficznym i w kampanii uspokajania sekundowały mu ambony oraz zagraniczne radiostacje. Gomułce, który potrafił jakoś dogadać się z Kościołem, spadkobiercami endecji i administracją Eisenhower-Dulles, najgorzej jednak wiodło się z młodzieżą. Niemal w rocznicę Października nastąpiło najgwałtowniejsze od czasów Poznania starcie z reżymem — odnowionym i „zdemokratyzowanym", który właśnie zakazał wydawania „Po prostu". Kilkudniowe walki studentów i młodych robotników toczyły się w osamotnieniu. Ze strony starszego pokolenia padały natomiast oskarżenia o nieodpowiedzialność. Wydarzenia te były już ostatnim akordem Października. Młodzież do końca wykazała ogromny zasób dynamizmu, zabrakło jednak tego, co ów dynamizm mogło podtrzymywać i kształtować. Nie było sformułowanej ideologii, programu i przywództwa.

Rezultatem klęski stało się zniechęcenie i apatia. Nastroje te wykorzystywał reżym sięgając po środki którymi, jak wiadomo, burżuazja rozbraja masy. W prasie pojawił się sex, w księgarniach kryminały. Zaczęto patronować oficjalnie jazzowi, rewiom mód, konkursom piękności i sztuce abstrakcyjnej. Wszystko to miało stanowić koncesje, poza tym, odbywało się przykręcanie śruby. Z nastaniem reakcji popaździernikowej młodzież zwróciła się ku sprawom szarej codzienności. Wraz z zobojętnieniem szerzyło się zmaterializowanie — zapewne nie całkiem po myśli reżymu. Neutralizować społeczeństwo ideałem konsumpcji można na dłuższą metę w Ameryce lub Niemczech Zachodnich. W Polsce rząd nie jest w stanie dostarczać już nie samochodów, ale mieszkań i jakże często zwykłej, licho płatnej pracy. Właśnie nowe roczniki młodzieży najbardziej dotknięte są bezrobociem.

W ciężkich warunkach bytowania nastąpił z czasem nieunikniony napływ młodzieży do ZMS i partii. Wśród masy oportunistów nie brak i ludzi wartościowych, którzy widzą że członkostwo w partii jest niezbędne dla wykazania ich przydatności

społeczeństwu. Zniknął natomiast dawny magnetyzm komunizmu. Do partii nie idzie się już aby budować nowy świat, lecz aby urządzić się w istniejącym. Tchórzliwe półprawdy, niekonsekwencje i wewnętrzne skłócenie nie imponują też siłą. Przeciwnie, co krok wychodzi na jaw defensywna reakcyjność uprzywilejowanej garstki.

Wróćmy do artykułu p. Zaporowskiego. Naczelnym jego wywodem jest, iż ludzie wyrośli w dzisiejszej Polsce, a już szczególnie młodsze roczniki, to trzeźwe, światłe, racjonalistyczne pokolenie. Pogląd o owej trzeźwości i racjonaliźmie jest zresztą dość rozpowszechniony, choć może nie tak bardzo jak opinie z czasów stalinowskich, że młodzież to skończeni konformiści. Podobnie jak Zaporowski, pisał o tym pokoleniu publicysta rządowy Zbigniew Załuski, jednakże dostrzegając, że nie zniknęła w nim jeszcze groźba „recydywy mesjanistycznego romantyzmu i ofiarnictwa". Być może najsłuszniej byłoby w ogóle powiedzieć że dwie grupy przeciwstawnych pierwiastków złożyły się na charakter obecnej generacji. Generacja ta widzi konieczność zmian ale, zdaniem Zaporowskiego, przekonana jest że droga ku nim wiedzie przez ewolucję. Cele tego ewolucjonizmu nie zostały omówione lecz można chyba przyjąć, że chodzi tu o dążenia wspólne całemu narodowi: swobody i prawa obywatelskie w socjaliźmie, niezawisłość, rozwój ekonomiczny.

Wypada teraz zapytać: czy jednak nauki z dotychczasowych rozczarowań i zawodów nie podważyły szans na utrwalenie się wiary w ewolucjonizm. Ludzie wyrośli w powojennej Polsce posiadają spory zasób doświadczeń które wskazują że:

> Zakres ustępstw jest ograniczony wąskim marginesem, poza którym władza oligarchii rządzącej staje się fikcją. Pozycja jej bowiem nie opiera się na szerszej bazie społecznej, lecz głównie na aparacie administracyjno-represyjnym.
>
> Ustępstwa z reguły nie dawane są bez nacisku. Im nacisk silniejszy tym ustępstwa bardziej istotne. Koncepcja organizująca ów nacisk musi uwzględniać możliwość gwałtownej konfrontacji.
>
> Ustępstwa dawane są bez gwarancji trwałości, w sposób pozwalający na łatwe cofnięcie. Cofnięcia następują z osłabieniem nacisku, konieczne byłoby więc jego stałe podtrzymywanie.

Ewolucjonizmowi trudno będzie zachować jego ewolucyjny charakter. Jednocześnie pokolenie wychowane na marksizmie jest w stanie dostrzec, że podstawowy problem polskiej rzeczywistości stanowi antagonistyczną sprzeczność interesów między bezklasowym społeczeństwem a grupą uprzywilejowaną. Trudno byłoby przekonywać, że grupa ta okaże się bardziej skłonna ograniczać swe panowanie w sposób dobrowolny a nie pod przymusem. Podobnie, mało kto już wierzy teoriom o subietywiźmie błędów i wypaczeń. Źródła zła leżą głębiej niż w ludziach i metodach. Wypaczenia w różnych formach i natężeniu wypływają

stale ze społecznego uwarunkowania systemu władzy. Problemu podstawowego obejść się nie da — wobec istniejących warunków, nauk przeszłości znajomości procesów społecznych nie ewolucjonizm ale rewolucjonizm jest logiczną postawą politycznie myślącej inteligencji. Piszemy postawa: od tego daleko jeszcze do ideologii, programu walki i określenia jej form. Wypracowanie tego jest zadaniem pokolenia dla którego historia zaczęła się w 1945 roku

Piotr KOTWICZ

Bezrobocie w Polsce

Tragiczny problem bezrobocia, który ciążył nad życiem polskim przed wojną, został — według oficjalnych twierdzeń — zlikwidowany całkowicie w nowym ustroju. Istotnie, w okresie powojennego gwałtownego uprzemysławiania kraju, produkcja wchłonęła i dawnych bezrobotnych i ogromne rzesze pracowników niewykwalifikowanych, szczególnie z przeludnionej wsi. Zgodnie zaś z teorią o nieistnieniu bezrobocia zlikwidowano tę część ubezpieczeń społecznych i zasiłki dla bezrobotnych.

A chociaż ten nadmierny rozpęd gospodarczy zaczął się stopniowo załamywać, chociaż na rynku pracy zjawili się z powrotem bezrobotni i — wobec braku zasiłków — trzeba ich było objąć opieką społeczną[1], chociaż rządząca krajem partia stanęła dziś przed problemem wyżu demograficznego — ton wypowiedzi oficjalnych bynajmniej się nie zmienił.

Od roku powtarza się, że mówić o bezrobociu w naszym kraju to „nieporozumienie", to „wymysł zagranicznej wrogiej propagandy", że „wbrew niektórym polemiczym głosom, przepowiadającym *nawet* bezrobocie... liczba poszukujących pracy nie tylko nie wzrosła, lecz — przeciwnie — w całym kraju występuje deficyt męskiej siły roboczej" i wreszcie, że cała „sprawa wyżu nie powinna być powodem do niepokojów i pesymizmu", a zaplanowany wzrost zatrudnienia na 1966-1970 jest nie tylko „całkiem realny", ale nawet „nie potrzebujemy sięgać do żadnych specjalnych środków[2]".

1. Opieką społeczną obejmuje się tylko „najbardziej potrzebujących".
2. Wypowiedzi kierownictwa Komitetu Pracy i Płac przez radio, w wywiadzie prasowym („Życie Warszawy", 12. V. 64), w artykule w „Pracy i Zebezpieczeniu Społecznym", nr 1/65.

Spróbujmy więc zorientować się, czy istotnie jest realny plan zatrudnienia 3,2 miliona osób, jakie wejdą dodatkowo na rynek pracy w najbliższej pięciolatce.

Z założeń planu wynika, że dla tej ogromnej liczby nowych rąk roboczych potrzebne jest stworzenie tylko 1,5 miliona miejsc pracy (900 tysięcy dla ludzi ze wsi i 600 dla miast), pozostałe bowiem 1,7 miliona zajmie po prostu miejsca tych, co z pracy odejdą: zmarłych, inwalidów, emerytów.

Do tezy tej nie podobna nie zgłosić zastrzeżeń. Trudno bowiem przyjąć, że zwolnione miejsca pracy z powodu całego tego „naturalnego ubytku" (począwszy od stanowisk dyrektorów do sprzątaczek) odpowiadać będą zarówno kwalifikacjom jak i miejscu zamieszkania — nieraz bardzo odległego — kandydatów do pracy. Wątpliwości nasuwa również liczba wolnych miejsc pracy z powodu osiągnięcia przez pracowników wieku emerytalnego (dla mężczyzn — 65, dla kobiet — 60). Z pewnością będzie celowe zatrzymanie szeregu potrzebnych dla produkcji fachowców, natomiast wielu innych nie będzie dobrowolnie rezygnować z pracy i dlatego, że czują się do niej nadal zdolni, jak i z powodu niskich emerytur, z których trudno się utrzymać. Chyba że będzie się ich zwalniać przymusowo.

Druga teza, uzasadniająca potrzebę tak stosunkowo nie dużej ilości nowych stanowisk roboczych zakłada, że liczba ludności czynnej zawodowo w gospodarstwach wiejskich nie ulegnie zmianie; w przeciwieństwie bowiem do masowego poprzednio odpływu ludzi z przeludnionej wsi, imigracja do miast obejmie teraz tylko przyrost ludności.

Trudno jednak i tę tezę przyjąć za realną, a i w kraju wysunięto do niej poważne zastrzeżenia. Chociaż bowiem nieliczne są tereny, na których istnieje deficyt siły robotniczej w rolnictwie (szczególnie wokół wielkich ośrodków przemysłowych, jak np. Nowa Huta), to jednak w wielu województwach (np. w białostockim, lubelskim, częściowo rzeszowskim) występuje nadal przeludnienie agrarne[3].

Ponadto zaś w projektowanej liczbie nowych miejsc pracy nie uwzględnia się zatrudnienia istniejących dziś bezrobotnych. Według danych Komitetu Pracy i Płac było w kwietniu - maju 1964 r. 80.000 do 100.000 osób zarejestrowanych w urzędach zatrudnienia (w 1963 r. według Gł. Urz. Statystycznego — 63.000). Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że liczby zarejestrowanych nie świadczą o faktycznych rozmiarach bezrobocia[4]. Dowodzą tego dane z szeregu regionów kraju: np. w jednym tylko wo-

3. Np. w lubelskim na 100 ha przypada 67 osób wobec średniej krajowej 32 osoby.

4. „Życie Gosp." podawało w swoim czasie, że dla otrzymania realnej liczby bezrobotnych trzeba pięciokrotnie zwiększyć liczbę zarejestrowanych. Przy małych bowiem szansach otrzymania pracy, szczególnie dla niewykwalifikowanych i wobec nieistnienia zasiłków dla bezrobotnych nie warto się rejestrować.

jewództwie kieleckim nadwyżka sił roboczych — poza rolnictwem — wynosi 107,200 osób (w tym 69 tysięcy kobiet).

I wreszcie jeszcze jedna zasadnicza poprawka. Potrzebna w najbliższej pięciolatce liczba nowych miejsc pracy inaczej wygląda dla całego kraju, a inaczej w układzie regionalnym. Jak słusznie bowiem podkreśla „Życie Gospodarcze" (nr 23/65) — „konkretne życie toczy się nie w Polsce w ogóle, ale w określonych jej miejscach i większe znaczenie mają niepomyślne bilanse regionalne, które odzwierciadlają realną problematykę rynku pracy, niż pomyślny bilans ogólny".

Bardzo wnikliwa analiza sytuacji w poszczególnych województwach, przeprowadzona na łamach tego tygodnika zmienia całkowicie centralnie ustalony optymistyczny obraz sytuacji. Są wprawdzie województwa, jak np. katowickie, charakteryzujące się deficytem męskiej wykwalifikowanej siły roboczej, ale są też województwa (np. lubelskie, białostockie, rzeszowskie) o ostrym deficycie miejsc pracy, w których nadmiar rąk roboczych będzie jeszcze w najbliższych latach wzrastał (duży przyrost naturalny). Migracja jednak z jednych terenów na drugie nie jest praktycznie możliwa. Stąd też, pozornie rozwiązany w arytmetyce centralnej problem bilansu siły roboczej, w wielu regionach pozostanie nierozwiązany.

Zastanówmy się teraz, czy realne jest również zaplanowane stworzenie 1,5 miliona nowych miejsc pracy. Przewiduje się, że w przemyśle powstać ma ich 600 tys. Podkreśla się, że chodzi o jak największą liczbę takich stanowisk roboczych, które nie wymagają dużych nakładów inwestycyjnych[5]. Ekonomiści w kraju wysunęli jednak od razu zastrzeżenia, twierdząc, że postulat ten nie da się zrealizować[6]. Znaczna część bowiem nakładów inwestycyjnych na przyszłe 5-lecie jest z góry zdeterminowana robotami już rozpoczętymi, wiele innych jest niezbędnych ze względu na proporcjonalny rozwój gospodarki, w konsekwencji więc znaczna część środków będzie przeznaczona na obiekty, w których każde stanowisko jest drogie, a na tworzenie tańszych miejsc pracy pozostaną dość szczupłe środki.

Wobec tego wysuwa się inną jeszcze alternatywę: nowe miejsca pracy w przemyśle mogą powstać w drodze lepszego wykorzystania już istniejących urządzeń, tj. uruchomienia dwuch lub trzech zmian zamiast dotychczasowej jednej. Ale nie jest to bynajmniej rozwiązanie łatwe. Po pierwsze powstałyby ogromne trudności w niezbędnym znacznym zwiększeniu zaopatrzenia, co, jak wiadomo, i dziś stanowi kłopotliwy problem, po drugie zaś nadmiar rąk roboczych nie będzie się pokrywał z lokalizacją zakładów, wprowadzających wielozmianową pracę. Nie można też pominąć niechętnego stosunku do tych zmian kierowników

5. Różnice są tak ogromne, że np. w przemyśle nawozów sztucznych 1 miejsce kosztuje 1.250.000 zł., a w odzieżowym tylko 20.000.

6. Z dyskusji na Komisji Polityki Gospodarczej Pol. Tow. Ekonom. „Życie Gosp.", nr 7/64.

przedsiębiorstw ze względu na znacznie większe kłopoty administracyjne.

Tak więc przewidziana liczba nowych miejsc pracy w przemyśle jest problematyczna. Tańsze miejsca pracy można by tworzyć natomiast w innych działach gospodarki, jak rzemiosło, chałupnictwo, różnego typu usługi i w nich właśnie, według planów centralnych, ma zwiększyć się znacznie zatrudnienie w latach najbliższych.

Zacznijmy od rzemiosła. Jest dziś w kraju 136 tysięcy warsztatów rzemieślniczych, zatrudniających 227 tysięcy osób łącznie z uczniami. Przewiduje się zwiększenie liczby warsztatów o 29,5 tys., a zatrudnionych o 73 tysiące, co byłoby zresztą zaledwie osiągnięciem stanu z 1948 r.(!) Mówi się jednak, że przy sprzyjających okolicznościach liczba uczniów mogłaby być podwojona (z obecnych 45 tys. do 90 tys.), a rzemiosło ogólnie mogłoby wchłonąć ok. 170 tys. osób.

Jakież musiałyby powstać sprzyjające okoliczności, żeby tak znacznie zwiększyć zatrudnienie w rzemiośle? Przez szereg lat rzemiosło pracowało w niezmiernie trudnych warunkach: nie przydzielano mu lokali na warsztaty, nawet gdy istniejące były przeznaczone na zburzenie, nie otrzymywało zaopatrzenia w surowce i inne niezbędne materiały, gnębiły je bardzo niekorzystne przepisy podatkowe. A kiedy nawet władze centralne zaczęły zmieniać pogląd na rolę rzemiosła i łagodzić przepisy, wiele władz terenowych interpretowało je stale na niekorzyść warsztatów. Stworzył się mianowicie wokół rzemiosła bardzo niekorzystny klimat, prowincjonalni gorliwi administratorzy powoływali się na niebezpieczeństwo NEP-u, lub nawet wprost restauracji kapitalizmu, twierdzili, że rzemieślnicy bogacą się kosztem robotników itp.

Nic dziwnego, że w tych warunkach nie tylko zmniejszała się z roku na rok liczba warsztatów, ale i młodzież uciekała z rzemiosła, gdyż wpajano w nią przekonanie, że miejsce jej jest w fabrykach, bo tam tylko buduje się socjalizm.

Nie łatwo jest dziś klimat ten zmienić, szczególnie, że, jak podkreśla się w prasie, szereg nowych zarządzeń jest nadal źle pomyślanych i nie dają one w praktyce przewidzianych ulg. Perspektywy zatem znaczniejszego wzrostu zatrudnienia w rzemiośle są niezbyt pewne.

Również nie jest pewne zwiększenie miejsc pracy w chałupnictwie. W tezach na IV zjazd PZPR wysunięto postulat podwojenia liczby chałupników, to znaczy zatrudnienia dodatkowo co najmniej 70 tys. osób. Mówi się nawet o możliwości zwiększenia ogólnej ich liczby do 176 tys. Ale od projektów do ich urzeczywistnienia droga jest daleka. Aby rozwinąć tę dziedzinę pracy trzeba stworzyć chałupnikom szereg realnych możliwości: dopomóc w nabywaniu różnego rodzaju maszyn i urządzeń czy to w drodze ułatwień kredytowych, zakupów na raty, czy też nabywania starych, zbędnych maszyn z zakładów, dla których oni pracują. Mówi się o tych ułatwieniach od dawna, ale nic się w tych sprawach nie robi w praktyce.

Pesymistycznie też ocenia się w kraju rozwój różnego rodzaju usług. Choć bowiem zaplanowany on jest i centralnie i w wariantach regionalnych, chociaż istnieje duży brak na rynku wielu drobnych produktów, nie wymagających wielkiego przemysłu, zbyt nikłe są praktyczne możliwości wyzyskiwania zarówno inicjatyw społecznych jak i prywatnych. „Sztywne przepisy w zakresie dokonywania drobnych inwestycji i w ogóle urzeczywistniania inicjatyw gospodarczych nie sprzyjają rodzeniu się entuzjastów, potrafiących zaczynać z niczego"[7].

Warto jeszcze zastanowić się nad sytuacją na wsi. Jak już wspomniano 900 tys. nowych miejsc pracy przeznacza się dla ludzi ze wsi, z których — według obliczeń — 1/3 pochodzić będzie spoza rolniczej ludności. Teoretycznie zakłada się, że istnieją pewne lokalne możliwości zwiększenia zatrudnienia w gospodarstwach wiejskich w drodze intensyfikacji produkcji rolnej, rozwijania upraw bardziej pracochłonnych (np. rośliny okopowe), sadownictwa, przetwórstwa warzyw i owoców itp. Tylko że te właśnie tereny wiejskie, w których jest najmniej miejsc pracy a największy przyrost naturalny, przedstawiają też niewielkie możliwości akumulacji kapitału w gospodarstwach rolnych, co jest koniecznym warunkiem przechodzenia do różnego typu intensywnej gospodarki.

Jeśli chodzi natomiast o liczbę miejsc pracy na wsi poza rolnictwem, to — według planów lokalnych — można by zatrudnić w ten sposób zaledwie 190 tys. osób. Wprawdzie plany centralne przewidują 250 tys. osób i tak jednak pozostałoby 650 tys. kandydatów do pracy. Dla rozwiązania tego problemu propozycje terenowe wysuwają, że 200 tys. mogłoby dojeżdżać do pracy, a 450 tys. trzeba by przenieść na stałe do miast, co, wraz z rodzinami, wyniosłoby ok. 900 tys. osób. Założenia pięciolatki odrzucają jednak takie rozwiązanie, imigracja bowiem ze wsi do miast jest uznana za niemożliwą zarówno ze względu na niedostateczną ich pojemność, jak i ograniczone możliwości budownictwa mieszkaniowego i socjalnego.

Tak przedstawiają się różne aspekty ogólnego problemu grożącego w kraju bezrobocia. Istnieją jednak w tej dziedzinie i problemy poszczególne o wielkiej ostrości społecznej. Do takich należy przede wszystkim sprawa bezrobocia kobiet.

Liczba zarejestrowanych bezrobotnych kobiet wynosiła w końcu 1964 r. 55.000. Jednak ilość kobiet poszukujących pracy jest znacznie większa, jak wynika bowiem z zestawień regionalnych, 89% powiatów i 75% miast wykazywało nadwyżki kobiecej siły roboczej nawet w ośrodkach o ostrym deficycie pracowników-mężczyzn.

W związku z tym postuluje się w kraju stworzenie w następnej pięciolatce 600 do 650 tysięcy nowych miejsc pracy dla kobiet. Udział kobiet w pracy zawodowej poza rolnictwem, który dziś wynosi 36,8% ma podnieść się do 38.3%. Chociaż i w bogatych

7. „Życie Gosp. „Nr 23/65.

krajach zachodniej Europy zwiększa się ostatnio procent zatrudnionych kobiet, nie jest on jednak tak wysoki jak w Polsce. Nacisk bowiem kobiet na krajowy rynek pracy wynika w dużym stopniu z trudnych warunków materialnych ludności. W ogólnopolskiej ankiecie, przeprowadzonej ostatnio przez GUS., znaczna większość zapytanych robotnic odpowiedziała, że praca zawodowa poza domem jest balastem, którego chętnie by się pozbyły, gdyby nie względy materialne — konieczność zarabiania na utrzymanie rodziny. Nawet w środowisku łódzkim, gdzie praca kobiet w przemyśle włókienniczym ma już dziesiątki lat trwającą tradycję, w większości odpowiedzi kobiety zamężne podkreślały trudności łączenia pracy zarobkowej z pracą domową, przemęczenie i wynikające stąd zdenerwowanie[8].

Niestety, perspektywy poprawy w najbliższych latach sytuacji materialnej przeciętnej rodziny pracowniczej są niewielkie. Już w bieżącej pięciolatce podniesienie stopy życiowej zostało osiągnięte raczej dzięki zwiększeniu zatrudnienia, niż podniesieniu płac, a uchwały IV zjazdu partii nie dają w tym zakresie żadnych konkretnych obietnic. Należy się więc spodziewać, że nacisk kobiet na rynek pracy będzie się jeszcze zwiększać[9].

Drugim niemniej ostrym problemem społecznym jest konieczność zapewnienia dostatecznej ilości miejsc nauki i pracy dla młodzieży.

Aby zorientować się bardziej konkretnie w perspektywach, jakie czekają młodzież w najbliższej przyszłości, zastanówmy się nad jej sytuacją aktualną. W tym roku ukończyło szkoły wszelkiego szczebla i typu ponad 1 milion absolwentów.

Zacznijmy od liceów ogólnokształcących, z których wyszło 75 tys. młodzieży, w tym 50 tys. dziewcząt[10]. Ministerstwo Oświaty znalazło już dla nich — bez trudu — przydziały[11]. Oto do szkół wyższych — normalna droga maturzystów — dostanie się 18-20 tysięcy. Dalsze ok. 24 tysięcy pójdzie do rozwiniętych w ostatnich latach zawodowych technicum pomaturalnych, 4-6 tys. do róż-

8. Dodatkowe obciążenie stanowi tu, zakazana przed wojną, praca nocna kobiet. Dziś kobiety pracują w tym przemyśle na równi z mężczyznami na trzy zmiany.

9. Jak podaje „Życie Gosp." (nr 15/65), według wstępnego szacunku przeciętna płaca nominalna brutto w styczniu br. była o ok. 0.7% wyższa niż przed rokiem, koszty utrzymania o ok. 0,3% niższe, a więc przeciętna płaca realna wyższa o ok. 1%. Trzeba jednak brać pod uwagę, że przy ustalaniu kosztów utrzymania GUS nie bierze pod uwagę wszystkich nieoficjalnych podwyżek cen, ani też nie uwzględnia — jeśli chodzi o płacę realną — niskich płac tysięcy pracowników, zatrudnionych w administracji, służbie zdrowia itp.

10. Słusznie krytykuje się w kraju zbyt duży odsetek dziewcząt w szkołach ogólnokształcących w porównaniu z udziałem ich w szkolnictwie zawodowym. Przypisuje się to — poza innymi przyczynami — w znacznej mierze brakowi poradnictwa zawodowego, które „jest jeszcze u nas kartą niezapisaną". („Życie Warszawy", 13. III. 65).

11. Zgodnie z wyjaśnieniami Ministra Oświaty na naradzie kuratorów: „Trybuna Ludu" 2. V. 65.

nych szkół wojskowych. Na pozostałą resztę — ok. 25 tys., maturzystów, głównie dziewcząt — „czeka szereg miejsc pracy w najrozmaitszych działach zatrudnienia".

W kraju jednak nie podziela się tej optymistycznej oceny ministerstwa. Na wyższe uczelnie, rozporządzające 33 tysiącami miejsc, chcą dostać się nie tylko maturzyści tegoroczni, ale i ci, którym nie udało się to w latach ubiegłych,a liczbę ich oblicza się na ponad 20 tysięcy. Łącznie stanęło w tym roku do konkursowych egzaminów 80 tysięcy kandydatów, nie wiadomo jeszcze ilu z tegorocznych maturzystów udało się w konkursie tym zwyciężyć.

Również nie będzie sprawą łatwą otrzymanie pracy przez tych, którzy nie dostaną się do żadnego typu szkoły. Administracja — tradycyjne miejsce dla ludzi ze średnim wykształceniem — przeżywa raczej kompresję etatów, a nie ich rozbudowę. Nie wzrasta również dostatecznie szybko dział różnego rodzaju usług, gdzie maturzyści mogliby znaleźć odpowiednią pracę. Ponadto zaś ponieważ uczniowie szkół ogólnokształcących nie zostali przygotowani do żadnej pracy zawodowej, powinni przejść choćby krótki kurs kwalifikacyjny. Organizowaniem takich kursów ma zająć się szereg organizacji lokalnych. Ale, jak komentuje prasa — „skoro wszyscy mają się tym zająć, nie będzie się tym zajmował nikt".

Istotna trudność polega jednak na tym, że ogólnokrajowe zapotrzebowanie na tę kategorię pracowników, gdyby nawet było dostateczne — nie pokrywa się z lokalnymi wakansami, szczególnie jeśli chodzi o duże miasta. Trudno natomiast liczyć na masowe wyjazdy młodzieży z dala od rodziny, na odległą prowincję, zwłaszcza gdy chodzi o dziewczęta. Nie ulega więc wątpliwości, że wiele tysięcy tegorocznych maturzystów pozostanie poza dalszą nauką i bez pracy.

Druga grupa to absolwenci zasadniczych szkół zawodowych. Z ulokowaniem i tej grupy Ministerstwo Oświaty nie widzi trudności. Wśród nich 75 tysięcy kończy szkoły przyzakładowe[12], będą więc zatrudnieni w tych samych zakładach pracy. Z pozostałej zaś liczby część będzie kontynuować naukę, a reszta znajdzie zatrudnienie w uspołecznionych zakładach pracy, bo te przecież ich potrzebują.

Czy ich jednak rzeczywiście potrzebują?

Choć znaczna większość tych absolwentów będzie szukać pracy, „Życie Gosp." (z 18 lipca br.) stwierdza kategorycznie, że przedsiębiorstwa i instytucje gospodarki uspołecznionej wyczerpały już przeznaczone dla nich na bieżący rok limity zatrudnienia, a nawet je znacznie przekroczyły. I dodaje komentarz: „dalszy wzrost zatrudnienia w br. nie wydaje się uzasadniony ani

12. Jest obecnie w kraju 631 szkół przyzakładowych i ponad 153 tys. uczniów. W roku ub. na blisko 140 tys. uczniów było zaledwie 27 tys. dziewcząt.

aktualnymi potrzebami produkcji, ani możliwościami 'pokrycia towarowego' rosnących — wraz ze wzrostem zatrudnienia — dochodów ludności".

Również nie można liczyć na zatrzymanie w zakładach pracy 75 tys. absolwentów szkół przyzakładowych. Szkoły te zależą i otrzymują instrukcje — nie tylko z Ministerstwa Oświaty — ale i z kilkunastu resortów branżowych i instytucji gospodarczych; wpływ na nie mają władze terenowe, zainteresowane sprawą lokalnych sił roboczych, a wewnątrz zakładu pracy: dyrekcja, organizacja partyjna i związkowa. Powstaje wskutek tego zamieszanie i dowolność poczynań, która doprowadza do tego, że w poszczególnych szkołach organizuje się klasy i specjalności, niepotrzebne danemu zakładowi, liczba uczniów przewyższa z reguły potrzeby terenowe, tworzą się nadwyżki absolwentów, z którymi nie tylko nie wiadomo co robić, ale nie wiadomo też kto ma się nimi zająć[13].

Jest to jednak problem społeczny tym bardziej ważny, że, jak wykazała ankieta przeprowadzona na terenie szkół przyzakładowych w Warszawie, przytłaczający odsetek uczniów wywodzi się z rodzin wielodzietnych, o bardzo „skromnym" budżecie domowym, praca zarobkowa jest więc im koniecznie potrzebna.

I wreszcie absolwenci szkół powszechnych. Oblicza się, że będzie je opuszczać co roku około 700 tys. młodzieży. Już w tym roku prasa w kraju alarmuje, że ok. 400 tys. tych absolwentów nie dostanie się do żadnej szkoły, ani nie otrzyma pracy. Ponieważ jednak na tym odcinku szkolnictwa powstanie nowa sytuacja w 1966 r., kiedy po raz pierwszy nauka zostanie przedłużona z lat 7-iu do 8-iu, rozpatrzmy perspektywy roku następnego.

W 8-ej klasie ma być zatrzymanych w przyszłym roku tylko 50% uczniów klasy 7-ej. Ponieważ równocześnie licea ogólnokształcące wstrzymają na 1 rok przyjmowanie uczniów[14], ci co ukończą w przyszłym roku szkołę 7-letnią będą mogli kandydować tylko do szkół zawodowych. Liczbę ich, wraz z kandydatami z lat poprzednich oblicza się na 535 tysięcy, a miejsc w szkołach zawodowych będzie tylko 380 tys.

Jakiż więc los czeka pozostałych, jak również i setki tysięcy innych absolwentów, o których była mowa powyżej? Na problem ten zwraca się uwagę w kraju od dawna. Już przed kilku laty „Nowe Drogi" podawały, że w 1957 r. spośród 1611 tysięcy młodzieży w wieku 14-17 lat, 747 tysięcy, tj. 46% całości, ani się

13. Dane powyższe podaje „Głos Pracy", który w kilku artykułach w kwietniu i maju rb. omawia sytuację w szkołach przyzakładowych. Ostro krytykuje się niski w wielu z tych szkół poziom nauczania oraz wykorzystywanie uczniów jako taniej siły roboczej nie kolidującej z ustalonymi limitami zatrudnienia i funduszu płac. Podkreśla się też ograniczanie nauki do wąskiej specjalności, co utrudnia potem znalezienie pracy. A brak selekcji przy przyjmowaniu uczniów i brak poradnictwa zawodowego powoduje, że wielu absolwentów nie podejmuje pracy w wyuczonym zawodzie.

14. Przez następne 4 lata będą to „kadłubowe" licea, które dopiero w 1970 roku otrzymają komplet czterech roczników.

nie uczy ani nie pracuje. „Głos Pracy" (19. V. 65) oceniał ich liczbę w roku ub. na pół miliona, a w związku z wyżem demograficznym, będzie ona jeszcze wzrastać w najbliższych latach.

Z wszystkich tych rozważań można wyciągnąć tylko jeden wniosek: mówienie o bezrobociu w kraju nie jest ani „nieporozumieniem", ani „wymysłem zagranicznej wrogiej propagandy". Jest to nie tylko problem realny, ale tak samo oceniany i odczuwany w kraju. Przeprowadzone ostatnio przez Instytut Pracy[15] ciekawe badania wykazały, jak w różnych regionach kraju — w których bądź to nie można otrzymać pracy w ogóle, bądź pracy w danym zawodzie, szczególnie pracy dla kobiet i młodzieży — utrwala się przekonanie, że nie jest to sprawa lokalna, ale że tak jest w całym kraju.

Jest to problem istotny dla całego kraju, problem bardzo skomplikowany i nie łatwy do rozwiązania. Tym bardziej, że przy tworzeniu nowych miejsc pracy nie podobna pomijać — niezbędnego z punktu widzenia gospodarki krajowej — podnoszenia zbyt niskiej dotychczas wydajności pracy.

Obecny kryzys na rynku pracy wynika zarówno z wieloletnich błędów w planowaniu rozwoju gospodarczego, jak i nie uwzględnienia w tych planach zbliżającego się wyżu demograficznego. Nie jest jednak celem tego artykułu ani omawianie przyczyn kryzysu, ani sposobów jego rozwiązania. Chodzi o wykazanie, że istnieje dziś w kraju poważne bezrobocie, które odbija się niezmiernie dotkliwie na życiu ludności. Nie przeczy temu fakt, że na niektórych terenach brak jest męskiej wykwalifikowanej siły roboczej, co zresztą charakteryzuje dziś rynek pracy i w innych krajach zachodniej Europy.

A ponieważ zaplanowana ilość miejsc pracy odbiega znacznie od istotnych potrzeb, a możliwości ich stworzenia są bardzo wątpliwe, trudno się spodziewać, że problem bezrobocia będzie w najbliższych latach rozwiązany.

Z sytuacji tej winien być w tej chwili wyciągnięty wniosek konkretny. *Trzeba powiedzieć społeczeństwu prawdę, trzeba przyznać, że i w kraju rządzonym przez partię komunistyczną istnieje bezrobocie. W konsekwencji zaś trzeba przywrócić ubezpieczenie od bezrobocia i bezsporne, a zagwarantowane w konwencjach międzynarodowych prawo bezrobotnych do otrzymywania zasiłków, bez potrzeby zwracania się o pomoc do opieki społecznej.*

Janina MIEDZIŃSKA

15. Instytut Pracy został powołany w końcu 1962 r. przez Komitet Pracy i Płac.

Mały kodeks karny

Na początku nie było żadnego prawa: NKWD po prostu aresztowało i mordowało kogo chciało i jak chciało. Potem było prawo, ale takie, którego nikt nie znał. Kiedy w r. 1956 wybiła godzina zdawania rachunku, sędziowie z byłej tzw. Sekcji Tajnej Sądu Najwyższego powoływali się na to, że ta sekcja oznaczała już istnienie *jakiegoś* prawa w miejsce żadnego. Argumentowano, że nie było możliwości wprowadzenia jawnego procesu sądowego w takich sprawach politycznych, do sądzenia których stary kodeks karny z r. 1932 jakoby się nie nadawał. Wybór istniał jakoby tylko pomiędzy prawem tajnym i bezprawiem zupełnym. Fakt istnienia tej sekcji nie był nigdzie ogłoszony, i nie było wiadomo, na zasadzie jakiego prawa formalnego ta sekcja działa; ale ci panowie, którzy sobie tam *in camera* sądy sprawowali, *jakimś* przepisami podobno skrępowani byli. W porównaniu z etapem poprzednim miało to już oznaczać wielki postęp.

Dekretu Prezydium Krajowej Rady Narodowej z 13 czerwca 1946 o Przestępstwach Szczególnie Niebezpiecznych w Okresie Odbudowy Państwa, który później stał się znany pod nazwą Małego Kodeksu Karnego broniono na podobnej zasadzie. Dekret ten w dziedzinie prawa materialnego miał jakoby pełnić podobną funkcję, co Tajna Sekcja Sądu Najwyższego w dziedzinie prawa formalnego: oznaczał on istytuowanie *jakiegoś* prawa w miejsce praktyki zupełnie arbitralnego decydowania o wymiarach kar. Nadto, dekret ten miał nad instytucją Sekcji Tajnej tę przewagę, że był ogłoszony w Dzienniku Ustaw, i jego treść o dziwo nie stanowiła tajemnicy państwowej. Wkroczono więc nie tylko w erę *jakiegoś* prawa, ale nadto w erę prawa jawnego. Jeżeli Sekcja Tajna była wielkim postępem, to na tej samej zasadzie Mały Kodeks Karny powinien być uznany za postęp wręcz gigantyczny.

Jeżeli pozwalam sobie tutaj na kpiny z tej argumentacji, to nie dlatego, że zmierzam do postawienia znaku równania pomiędzy bezprawiem zupełnym a prawem szczątkowym czy połowicznym. Argumentacja ta jest moim zdaniem od początku do końca zupełną lipą, ale z innego powodu. O jakimkolwiek najdrobniejszym nawet postępie można mówić dopiero wtedy, kiedy istnieje wybór pomiędzy alternatywami mniej lub bardziej „postępowymi". Otóż takiego wyboru nie było. Stan zupełnego bezprawia i zupełnej arbitralności w ferowaniu wyroków w nowoczesnym państwie trwać nie może pod groźbą absolutnego bałaganu i rozprzężenia. *Jakieś* prawo instytuowane być musiało. Podobnie pod groźbą absolutnego bałaganu i rozprzężenia obywatel musi mniej więcej orientować się w tym, czego mu czynić nie wolno. Dla-

tego przynajmniej prawo materialne musiało być jawne. Wybór mógł więc istnieć tylko pomiędzy prawem gorszym i lepszym, ale nie jakimś i żadnym, albo jawnym i tajnym. Tymczasem trudno uciec od wniosku, że M.K.K. jest prawem zupełnie złym; tak złym, że trudno sobie nawet wyobrazić gorsze.

Dlaczego? Zacznę od momentów najbardziej rzucających się w oczy, choć niekoniecznie jeszcze najistotniejszych. A więc przede wszystkim niebywałe zaostrzenie wymiarów kar w porównaniu z analogicznymi przepisami kodeksu karnego z r. 1932. Weźmy jako przykład karę śmierci, bo to najłatwiej ująć w postaci cyfr. Otóż „duży" kodeks z 1932 r. zawiera 5 zagrożeń karą śmierci na 295 przepisów, podczas gdy mały 13 zagrożeń na 72 przepisy. Procentowo 1,7% i 18% czyli dość dokładnie 10 razy więcej. Albo zróbmy inne porównanie. Jednym z najczęściej stosowanych przepisów M.K.K. jest słynny art. 22, wymierzony przeciwko czynności, nazywanej dziś w Polsce potocznie „szeptaną propagandą" lub „szeptanką". Brzmi on jak następuje:

> *Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, lub obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu.*

Odpowiedni przepis „dużego" kodeksu, art. 170, brzmi jak następuje:

> *Kto publicznie rozpowszechnia fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny, podlega karze aresztu do lat 2 i grzywny.*

Teraz porównajmy. Po pierwsze górna granica wymiaru kary: w małym kodeksie 5 lat więzienia, w dużym tylko 2 lata aresztu. Po drugie dolna granica wymiaru kary: w dużym kodeksie grzywna, w małym areszt. Po trzecie rozpiętość wymiaru kary: sędzia wyrokujący na podstawie małego kodeksu nie dysponuje wprawdzie możliwością orzeczenia grzywny, ale posiada władzę orzeczenia pozbawienia wolności w ramach dwu i półkrotnie dłuższego okresu czasu. Wreszcie sposób scharakteryzowania czynności przestępczej. W kodeksie dużym jest kwalifikacja, że czyn musi zostać dokonany publicznie; w kodeksie małym kwalifikacji takiej brak. Nadto w kodeksie dużym jest jakieś kryterium wymierne: „mogące wywołać niepokój publiczny", a więc panikę, zbiegowisko, bunt. Zamiast tego w kodeksie małym mowa o „wyrządzeniu istotnej szkody interesom państwa" oraz o „obniżeniu powagi naczelnych organów państwa". A więc zwiększona dowolność decyzji sędziego przejawić się musi nie tylko w zakresie orzekania kary, ale także w zakresie interpretacji przepisu. Musi on rozstrzygać, kiedy szkoda wyrządzona interesom państwa była istotna, a kiedy nieistotna, względnie kiedy powaga naczelnych organów państwa doznała uszczerbku, a kiedy nie, nie dysponując po temu żadnymi właściwie kryteriami. W związku ze sposobem sformułowania przytoczonych tu przepi-

sów odnotujmy jeszcze czynnik uboczny: o ile art. 170 K.K. jest sformułowany w sposób raczej pragmatyczny, o tyle w art. 22 M.K.K. zawiera się cała ideologia: ultrakonserwatywna ideologia kultu państwa i kultu władzy.

Omawiany tu przypadek jest absolutnie typowy i śmiało może być uogólniony. Przepisy M.K.K. w zestawieniu z analogicznymi przepisami K.K. wykazują tendencję do: (1) podwyższenia zarówno dolnej jak i górnej granicy kary; (2) zwiększenia rozpiętości pomiędzy dolną a górną granicą kary, i w tym samym zwiększenia arbitralności w wyrokowaniu; (3) niejasności i mętności sformułowań, i tym samym zwiększenia arbitralności w interpretacji przepisów; (4) konserwatywnej frazeologii, której sens sprowadza się do tego, że celem prawa jest ochrona państwa i władzy państwowej. Do tego możemy dodać dwa inne punkty, które wychodzą na jaw już nie przy porównywaniu poszczególnych przepisów, lecz obu kodeksów jako całości. Otóż Mały Kodeks Karny w zestawieniu z „dużym" wykazuje tendencję do (5) znacznego rozszerzenia stosowalności kary śmierci oraz do (6) znacznego poszerzenia zakresu czynności karalnych, przejawiającą się w penalizacji całego szeregu nowych czynności jak np. zaniechanie denuncjacji w przypadku wiedzy o popełnieniu któregoś z wielu wyszczególnionych przestępstw (Art. 18 M.K.K.).

Pomińmy na chwilę punkt (3), do którego i tak za chwilę wrócimy. Warto tu zauważyć, że pozostałe punkty stanowiły treść ataków przeciwko Kodeksowi Karnemu w kampanii demonstracyjnej jaka miała miejsce w r. 1932. Ogłoszonemu wtedy projektowi, noszącemu wyraźne ślady wpływów włoskiej faszystowskiej doktryny prawa karnego zarzucano nie co innego jak właśnie zbyt daleko idącą i niepotrzebną surowość kar, pozostawienie sędziom zbyt wielkiej swobody w decydowaniu o rozmiarach kar, położenie zbytniego nacisku na przestępstwa polityczne i na ochronę państwowości, utrzymanie kary śmierci i w ogóle nadmierny rozmach w zakresie penalizacji. Jeżeli nie padał zarzut (3), to dlatego, że z tego punktu widzenia trudno było ogłoszonemu projektowi cokolwiek zarzucić: Kodeks Karny z r. 1932 z punktu widzenia jasności sformułowań i redakcyjnej przejrzystości jest naprawdę wzorowy. Ale pozostałe zarzuty były słuszne: kodeks ten odbiega poważnie od liberalnej tradycji w prawie karnym. Rzecz prosta, komuniści w r. 1932 byli oburzeni najbardziej i krzyczeli najgłośniej. Fakt, że czternaście lat później ci sami komuniści instytuowali prawo, spełniające w bez porównania wyższym stopniu wszystkie te cechy, które były powodem tak bezmiernego ich oburzenia na kodeks z r. 1932, może być miarą degeneracji, jakiej w międzyczasie uległa ich doktryna.

Wróćmy teraz jeszcze na chwilę do punktu (3): do sprawy jasności przepisów. Ta sprawa jest moim zdaniem najważniejsza; o wiele ważniejsza, niż wszystkie pozostałe. Mały Kodeks Karny jest produktem doktryny, która głosiła: należy formułować przepisy prawne możliwie niejasno i mętnie, żeby partia mogła je

potem stosować tak, jak jej będzie wygodnie. Byli tacy cwaniacy, co się nawet chwalili, jacy to oni byli sprytni, że taką doktrynę wymyślili i tak się partii przysłużyli.

Rzerz prosta, że przy takich swawolnych założeniach, wynik od tych założeń nie odbiega, i M.K.K. jest tekstem osobliwie mętnym i ciemnym. Technicznie ta zasada prawa giętkiego jest najczęściej wcielana w życie przy pomocy takich zwrotów jak „spowodowanie wielkiej szkody" albo „okoliczności szczególnie niebezpieczne" czy „szczególnie obciążające" itp. Od zwrotów tego typu cały kodeks aż się roi. Ale także same określenia czynów karalnych są niejednokrotnie takie, że naprawdę diabli wiedzą, o co chodzi: zachęcałbym tu czytelnika, żeby przyjrzał się, jak są np. sformułowane artykuły 5, 6 lub 29 M.K.K.

Wniosek sam narzuca: M.K.K. jest prawem pozornym. Był on uchwalony nie po to, żeby przeciwdziałać bezprawiu, lecz po to, żeby bezprawie zataić. Ta praktyka wydaje się skąd inąd w nowoczesnych totalizmach nie tak częsta: dla przykładu prawo Norymberskie z r. 1935 było prawem barbarzyńskim, ale rzeczywistym w tym sensie, że było uchwalone z intencją stosowania go. W tym samym sensie M.K.K. prawem rzeczywistym nie jest. Możemy więc powiedzieć, że postęp, który się dokonał przez jego uchwalenie, polegał na przejściu od prawa żadnego do prawa pozornego.

Mimo to cała ta argumentacja, że uchwalenie M.K.K. oznaczało postęp, odegrała pewną rolę w debacie na temat tego kodeksu w r. 1956. Dla wielu rok 1956 oznacza moment, kiedy dochodziły do głosu śmiałe pomysły i odważne idee. W tym ogólnym obrazie zatarła się już pamięć, że był to także moment, kiedy się mówiło, że rzeczy mogły wyglądać o wiele gorzej, gdyby nie dobra wola i w ogóle jakaś tkliwość serdeczna Bieruta, Bermana czy Bristigerowej, którzy przecież tylu ludzi uratowali, tak dzielnie opierając się naciskom Stalina i Berii. Argumentacja za „postępowością" M.K.K., którą tu przytoczyłem, była czymś z tego samego gatunku. Powiedziałem stanowczo, że była ona nieprawdziwa, ale nie wyciągam z tego wniosku, że musiała być głoszona nieszczerze. Wręcz przeciwnie: rok 1956 to także moment, kiedy każdy uważał się za ofiarę stalinizmu i pioniera demokratycznej reformy. I to nawet z pewnym uzasadnieniem: za stalinizmu każdy się bał, i w tym sensie każdy był jego ofiarą. A potem każdy korzystał z jego schyłku, i w tym sensie każdy był jego reformatorem.

Rola argumentacji za „postępowością" M.K.K. polegała na tym, że był to jeden z elementów wytworzenia w r. 1956 atmosfery wątpliwości i niepewności wokół sprawy, która powinna była być od początku do końca zupełnie jasna. Ale na tę atmosferę złożyły się także i inne elementy. Po to, aby je opisać, pozwolę sobie jeszcze na chwilę wrócić do debaty na temat Kodeksu Karnego w r. 1932 i porównać ją z debatą na temat M.K.K. w r. 1956.

Różnica bynajmniej nie polegała na stopniu skrępowania swo-

body wypowiedzi. W r. 1932 opinia publiczna miała za sobą nauki rozgromienia Centrolewu, Brześcia, terroru wyborczego 1930 r. i przemówień Piłsudskiego na temat sejmu i posłów do sejmu. W r. 1956 było coś, czego brakowało 24 lata wcześniej: zjawisko zachłyśnięcia się krótkotrwałą wolnością, olśnienia tym, jak wiele można powiedzieć bezkarnie. Różnica polegała na czymś innym: na o wiele większym w r. 1932 stopniu orientacji politycznej społeczeństwa, oraz na tym, że w r. 1932 zainteresowanie społeczeństwa problematyką prawniczą było jeszcze żywe, podczas gdy w r. 1956 już zupełnie martwe.

Pierwszy punkt właściwie nie wymaga komentarza. W r. 1956 społeczeństwo dopiero wychodziło z długiego okresu zupełnego odcięcia od źródeł informacji politycznej. Rezultatem było zupełne polityczne zdziczenie, i nie mogło być inaczej. Fakt, że w tych warunkach podjęto inicjatywy polityczne rozumne, naprawdę graniczy z cudem. Natomiast fakt, że potem, już w warunkach pełnej informacji i pełnego rozeznania, z reguły te rozumne inicjatywy zaprzepaszczano, usprawiedliwić się obiektywnymi warunkami już nie daje. Jeżeli chodzi o M.K.K. to wyglądało to w ten sposób, że ludzie pytali: „Mały Kodeks Karny? A co to takiego?", po czym rzecz się rozłaziła w powszechnej apatii.

Istotniejszy był jednak moment inny. W r. 1932 można było być za ogłoszonym projektem Kodeksu Karnego, można było być przeciw niemu, ale nie było na ogół wątpliwości, że prawo jest rzeczą ważną. W r. 1956 panowała zasadnicza wątpliwość właśnie co do tego. Złożyły się na to, moim zdaniem, dwie bardzo różne przyczyny. Pierwsza z tych przyczyn jest sprawą ideologii, druga empirycznej obserwacji. Co więcej, o ile pierwsza z tych przyczyn to pewien trend, występujący dziś powszechnie na całym świecie, o tyle druga jest czymś specyficznym dla krajów totalitarnych.

Zacznijmy od pierwszej sprawy. Debaty 1932 r. toczyły się jeszcze w warunkach żywej tradycji klasycznego liberalizmu. Była to tradycja nieufności i podejrzliwości względem poczynań władzy; tradycja uważnego spoglądania na palce, czy przypadkiem nie zachodzą celowe lub spontaniczne procesy nadmiernej koncentracji władzy. Ćwierćwiecze, które dzieli dwie porównywane tu daty jest na całym świecie okresem kryzysu liberalizmu i rozwoju kultu państwa paternalistycznego. Coraz mniej widzi się zła w koncentracji władzy, coraz więcej w procesach spontanicznych, w presji nieoświeconych mas i w działalności niższych rangą urzędników, którzy wypaczają dobre intencje swoich zwierzchników. Przed tymi procesami spontanicznymi, nieoświeconymi masami i tępymi urzędnikami niższej rangi jeden jest ratunek: zbawcza interwencja władzy centralnej. Postawa paternalistyczna to postawa ufności względem tego, co przychodzi z góry. Prawo bywa złe, albo głupie — to paternalista chętnie przyzna. Ale paternalizm to postawa zaufania, że oświeceni wykonawcy prawa nie zrobią z niego złego lub głupiego użytku. W debacie 1956 r. ta paternalistyczna argumentacja miała spec-

jalną formę: pamiętam jak to ujmował w Klubie Krzywego Koła teoretyk prawa prof. Andrejew. W każdym kraju — mówił Andrejew, ale nie on jeden — istnieją relikty prawa, pochodzące jeszcze ze średniowiecza, albo w każdym razie z czasów dawno minionych. Formalnie prawa te obowiązują, gdyż nigdy nie zostały odwołane, ale przecież nikt ze zdrowym rozsądkiem nie będzie ich stosował. Po cóż więc domagać się osobnego aktu zniesienia M.K.K.? — Warto tu zauważyć, że ta argumentacja jest nieprawdziwa ogólnie, nie tylko w odniesieniu do M.K.K. Te starożytne pozostałości prawne są powszechną plagą: w najbardziej demokratycznych krajach świata sędziowie, choćby nie wiem jak byli temu osobiście niechętni, skazują ludzi za najfantastyczniej bzdurne rzeczy, bo są odpowiednimi przepisami związani i nie mają innej alternatywy. Jeżeli natomiast chodzi o M.K.K., to tu zachodził jeszcze ten dodatkowy czynnik, że oświecona władza bynajmniej niechętna stosowaniu tego kodeksu nie była i wcale a wcale za relikt przeszłości go nie uważała. Już wkrótce po tym, jak prof. Andrejew przemawiał w Klubie Krzywego Koła, sprawy z tego kodeksu toczyły się w sądach nagminnie. Pętając się z konieczności często po gmachu sądów na Lesznie, miałem zwyczaj przeglądać wokandy. Och, było tego niemało!

Druga przyczyna lekceważenia problematyki prawniczej w r. 1956 polegała, jak wspomniałem, nie na ideologii, lecz na empirycznej obserwacji, i była zjawiskiem raczej specyficznym dla krajów dyktatorskich. Mam na myśli obserwację, że rządy dyktatorskie prawem się krępować nie mają zwyczaju — i tak robią, co im się żywnie podoba: z prawem lub bez prawa, uchwalając prawo nowe, lub odwołując stare w zależności od doraźnego interesu politycznego. Po cóż więc — argumentowano — zawracać sobie głowę jakimikolwiek reformami prawa, skoro i tak przyszłe postępowanie władz zupełnie od tego nie zależy?

Obserwacja, na której ta argumentacja się zasadza jest w oczywisty sposób słuszna. Ale to nie znaczy, żeby słuszny był wniosek, że wszelka reforma prawa jest w warunkach dyktatury rzeczą bezużyteczną. Jest on niesłuszny przede wszystkim dlatego, że elementarnym nakazem taktyki politycznej każdej opozycji przeciwko dyktaturze powinno być dążenie to tego, aby akty represywne rządu — o ile nie ma sposobu zapobieżenia im w ogóle, i o ile prawo nie łagodzi ostrości represji — były stosowane raczej bezprawnie, niż w sposób zgodny z prawem. Jawne bezprawie kompromituje rząd, osłabia go, powoduje oburzenie, wywołuje nastroje opozycyjne. Co więcej jawne bezprawie staje się zwykle po jakimś czasie argumentem w rozgrywkach wewnętrznych o władzę, i w ten sposób przyczynia się wtórnie do osłabienia rządu. Rządy totalitarne na ogół dobrze to wszystko wiedzą, i dlatego zwykle wkraczają na drogę jawnego bezprawia nie bez wahań i nie nazbyt chętnie. W poszczególnych przypadkach można nawet liczyć na to, że represja,

za którą nie stoi żadne prawo, zostanie zaniechana: jeżeli natomiast dana represja ma oparcie w prawie, to uniknąć jej znacznie trudniej. Z tych wszystkich powodów z faktu, że rządy totalitarne prawo łamią, nie wynika wniosek, że prawo jest rzeczą obojętną.

Starałem się tutaj scharakteryzować klimat ideologiczny, który sprawił, że wysiłki podjęte w okresie października na rzecz zniesienia M.K.K. nie zostały uwieńczone powodzeniem. Nie znaczy to jednak, żeby ta akcja nie przyniosła pewnych konkretnych, wymiernych efektów, jak najbardziej pozytywnych. Po pierwsze doprowadziła ona do tego, że przez jakiś czas M.K.K. nie stosowano, względnie stosowano bardzo oględnie. Po drugie — ważniejsze — skutkiem presji wywartej wtedy na władze była nowelizacja kodeksu. Pewną ilość anachronicznych przepisów zniesiono. Najistotniejszą rzeczą w tej nowelizacji było jednak to, że postępowania karne z całego szeregu artykułów, które poprzednio należały do kompetencji sądów wojskowych, przekazano sądom powszechnym. Jedynym do dziś obowiązującym wyjątkiem jest tu art. 7 (szpiegostwo), z którego sprawy są nadal rozpatrywane przez sądy wojskowe. Ale przed r. 1956 było takich artykułów znacznie więcej. Bynajmniej nie jest więc moją intencją powiedzenie, że w toku październikowej odnowy zmarnowano wszystko i nie osiągnięto niczego.

Mimo to jest moim głębokim przekonaniem, że przy uruchomieniu nieco silniejszej presji na władze zupełne zniesienie M.K.K. było wtedy rzeczą całkowicie osiągalną i nawet nie tak bardzo trudną. Na poparcie tego przekonania mogę przytoczyć fakt dość wymowny. Otóż 12 grudnia 1956 „Trybuna Ludu", i w ślad za nią inne gazety, zamieściły wiadomość, że te przepisy M.K.K., które mają swój odpowiednik w K.K. z r. 1932 zostaną odwołane. Chodziło więc o takie przepisy jak np. cytowany wyżej art. 22 M.K.K., który by został zastąpiony przez przewidujący niższe kary i dający sędziemu mniej arbitralnej władzy art. 170 K.K. Byłaby to więc poprawa częściowa, chociaż, jak łatwo można stwierdzić na tym choćby przykładzie, istotna. Poprawa ta jednak nigdy nie nastąpiła: skończyło się, jak przy tylu innych okazjach, na gadaniu i pisaniu w gazetach. Ale sam fakt ukazania się tego rodzaju wzmianki w prasie można bezpiecznie uznać za dowód, że władze były wówczas w tej dziedzinie skłonne do ustępstw. Skłonność ta przejawiła się w decyzji poczynienia ustępstwa częściowego, zapewne w nadziei, że to może wystarczy. Ale gdyby tak wówczas opinia publiczna zareagowała domaganiem się całkowitego zniesienia M.K.K. i wzmocniła naciski na władzę, ta chwalebna skłonność do ustępstw mogłaby się zapewne przejawić w nieco większym stopniu. Tymczasem opinia publiczna, usatysfakcjonowana osiągniętym rezultatem, zareagowała osłabieniem presji. W tej sytuacji partia nie miała powodu iść na jakiekowiek ustępstwa, nawet te, które były już zapowiedziane. Mogła sobie pozwolić na to, żeby o obietnicy z 12 grudnia dyplomatycznie zapomnieć.

Argumenty zwolenników zniesienia M.K.K. były tak silne, że aż nieodparte. Nie było żadnej racji, aby Dekret o Przestępstwach Szczególnie Niebezpiecznych w Okresie Odbudowy Państwa obowiązywał nadal całe lata po tylekroć przez tuby propagandowe odtrąbianym zakończeniu okresu odbudowy i wkroczeniu w okres „budownictwa". Fakt obowiązywania takiego dekretu mógł tylko rzucać cień wątpliwości na to, czy okres odbudowy został zakończony rzeczywiście, i tym samym na oficjalne przechwałki o dokonanych osiągnięciach. „Jak długo ten okres odbudowy ma trwać jeszcze?" — pytano na niejednym zebraniu publicznym i wiecu. Po stronie zwolenników zniesienia M.K.K. była także cała marksistowska historiozofia, dopuszczająca stosowanie terroru jako rzeczy przejściowej, w okresach zdobywania i ugruntowywania nowej władzy, ale nie jako rzeczy trwałej w sytuacji, w której ta władza jest już ustabilizowana. Fakt, że typowo terrorystyczny dekret obowiązywał nadal w okresie stabilizacji władzy, mógł mieć uzasadnienie w ramach stalinowskiej koncepcji zaostrzania się walki klasowej w miarę postępów socjalizmu, ale nie w ramach „czystego leninizmu": to w specyficznym klimacie 1956 r. było argumentem szczególnie mocnym. Do tego wszystkiego można dodać, że siłą kampanii przeciwko M.K.K. było to, że prowadzona ona była w sposób dojrzały i daleki od demogogii. Liczono się z pojawieniem się luk prawnych i debatowano, jak temu zaradzić. Liczono się z koniecznością utrzymania w mocy pewnych przepisów bardziej zgodnych z potocznymi poczuciami moralnymi, jak np. art 38 o czerpaniu korzyści materialnych przez powoływanie się na „znajomości", czy przepis o ochronie zwłok ofiar faszyzmu. Ale w polityce liczą się tylko te argumenty, które są wypowiadane bardzo głośno. Jakkolwiek silna była pozycja argumentacyjna osób, które wtedy o zniesienie M.K.K. walczyły, ich argumenty wypowiadane były za cicho. O wiele za cicho.

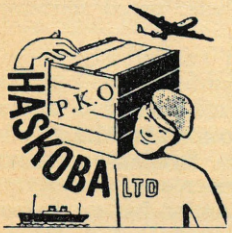
W ciągu 10 prawie lat, które minęły od tej debaty, niewiele się już zmieniło. Chyba tylko to, że imię kodeksu w końcu zostało szeroko rozsławione po kraju, i dzisiaj nikt już nie zapyta: „Mały Kodeks Karny? A co to takiego?". Kornacki, Wańkowicz, Miller, Grzędziński, Mackiewicz: pięć spraw przeciwko ludziom z elity pisarstwa polskiego, z czego przynajmniej dwie (Wańkowicz i Grzędziński) dęte od początku do końca. Adwokaci, którym nie można było nic innego przyczepić, więc oskarżano ich, jak owego Stefana Kaczorowskiego ze sprawy opisanej niedawno w „Wiadomościach" przez Aleksandrę Stypułkowską, z art. 23 M.K.K. o pożyczenie komuś egzemplarza własnej książki. Świadkowie Jehowy, skazywani całymi gromadami za kolportowanie jakichś bzdur żałosnych, acz niepolitycznych i nieszkodliwych o Armageddonie, apokalipsie i Sądzie Bożym. Jakieś dziewczynki, które pojechały zagranicę i coś tam przywiozły: jakąś książkę, maszynopis czy czasopismo. Razem całkiem spora ilość ludzi.

Trzeba powiedzieć, że praktyka skazywania to przeważnie

raptem trzy szczególnie „rozciągliwe" artykuły: cytowany art. 22, art. 23 o rozpowszechnianiu druków „nawołujących do zbrodni", „pochwalających zbrodnię", „mogących wyrządzić istotną szkodę interesom państwa" lub „mogących obniżyć powagę naczelnych organów państwa", oraz art. 24 o przechowywaniu takich druków. Trzy artykuły kodeksu, który wedle słów jego obrońców z r. 1956, nawet jeśli formalnie nadal obowiązywał, miał być traktowany jako relikt martwej tradycji i niestosowany, wystarczyły, żeby sterroryzować już nie tylko intelektualistów, ale w ogóle całą społeczność ludzi czytających i piszących. Zmarnowanie okazji jaka istniała 9 lat temu mści się teraz strasznie, tym bardziej, że nie ma w tej chwili w Polsce ani możliwości, ani nawet nadziei, żeby taka okazja się powtórzyła.

Witold JEDLICKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



$ = 72 zł. £ = 201 zł.

Tel: FRE. 7888

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Mickiewicz w Kanadzie czyli z czego były te gołąbki

Chciał się pan ze mną zobaczyć? Proszę bardzo, oczywiście. Tak, mam czas, może nie tak dużo, ale w każdym razie trochę czasu się znajdzie. Proszę bardzo do środka, niech pan powiesi płaszcz. Kiedy będzie egzamin maturalny z polskiego? To zależy od pana, jest pan w tym roku jedynym kandydatem. Czy to źle? Nie wiem. Dla pana chyba dobrze.

Egzamin, jak pan wie, będzie na poziomie matury kanadyjskiej, coś w rodzaju egzaminu z języka francuskiego. Czy taki trudny? To rzecz względna. Pan przecież zna polski język, jest pan z pochodzenia Polakiem, prawda? Chodził pan do szkoły sobotniej? To świetnie. Czyli, że pan czyta i pisze po polsku. Niezbyt płynnie? No, jakoś to będzie.

Lekturę pan już przeczytał, to dobrze. Jak się panu podobały „Syzyfowe prace", czy ciężko szło? Tego się należało spodziewać, Żeromski nie jest łatwy. Nie rozumie pan znaczenia tytułu, zaraz panu wytłumaczę. Czy zna pan legendę o Syzyfie? Taka grecka legenda, ze starożytnej Grecji, pan wie, przed narodzeniem Chrystusa.

Więc ten Syzyf pchał kamień pod górę i kamień ciągle spadał. Taka przykra legenda, pan rozumie, symboliczna. Tak jak Marcin Borowicz, pan pamięta Marcina? Że nie było tego kamienia? To nie szkodzi, nie należy tego brać dosłownie. Marcin nie pchał kamienia, po prostu chodził do szkoły. Symbol to znaczy przenośnia, po angielsku *metaphore*, nigdy pan nie słyszał? Krzyż na przykład jest symbolem męki pańskiej. Kamień był symbolem ucisku zaborców. O rozbiorach Polski pan słyszał? Nie, nie od rozbierania się, po angielsku *partition*. Marcin Borowicz wychowywał się pod zaborem rosyjskim. W tym zaborze Polaków chciano wynarodowić. Ja to panu opowiem po angielsku.

Czy może pan zapalić? Proszę bardzo, tu jest popielniczka. Nie, mnie nie szkodzi dym. Ale pan... w pana wieku.... nie obawia się pan raka? „Syzyfowe prace" niech pan jeszcze przejrzy i niech pan przeczyta cokolwiek o Żeromskim. To na pewno pomoże. I może o rozbiorach, w jakiejś historii Polski, np. w „Cambridge History of Poland", względnie w encyklopedii. Pan wie, co znaczy encyklopedia? Można je znaleźć w każdej bibliotece, układ alfabetyczny, trzeba szukać pod literą, np. „p *for Poland*".

A teraz chciałby pan porozmawiać o „Dziadach". Naturalnie, z przyjemnością. „Dziady" to tekst poetycki. Problemy są trochę inne, ale warto to poznać, przy tym Mickiewicz to nasz największy poeta. Może pan słyszał o „Panu Tadeuszu"? „Dziady" to nie znaczy *grandfathers*, to by było dziadkowie. I to nie jest przezwisko — *a term of abuse*. Że mówili „ty stary dziadu", albo „zdziadział"? Tak, tak się mówi, ale w tym wypadku to znaczy co innego.

„Dziady" to była nazwa pogańskiej uroczystości, coś jak „All Souls Eve". Czy był pan kiedy świadkiem wywoływania duchów, pan wie, z talerzykiem? Pan w takie rzeczy nie wierzy, ja też nie. Czy Mickiewicz wierzył, nie wiem. Może tego nie należy brać dosłownie, pan wie, poezja, bajka, mity i legendy, takie tło poezji. Ale to chyba wystarczy, jako ogólny wstęp. Czy ma pan szczegółowe pytania? Tak? Świetnie, słucham.

Dlaczego guślarz każe zamknąć „drzwi od kaplicy, w oknach zawiesić całuny", skoro za chwilę mają przybyć duchy? No, wie pan, duchy nie muszą wchodzić drzwiami, ani oknem. Mogą wlecieć przez komin. Zresztą po co duchom komin? Są przecież bezcielesne... Nie, ja też nie wierzę w duchy, ale załóżmy że są i że nie mają ciała. W takim wypadku mogą wejść i przez ścianę. Panu to nie trafia do przekonania? Czy ja wiem, trzeba by poprosić specjalistę od duchów, może hipnotyzera...

Z tym ma pan może rację. Sama nie wiem, dlaczego „duszeczki marzną na dnie rzeczki", albo jak może być dusza „w surowym wszczepiona drewnie", skoro jest niematerialna, czyli bezcielesna. Myślę, że tych obrazów nie należy brać dosłownie. Poza tym wieśniacy nie byli bezcielesności duchów pewni i w każdym razie nie umieli jej sobie przedstawić. Zna pan na pewno obrazy dusz-kościotrupów spalających się w piekle. Tego też nie należy brać dosłownie.

Czemu palą kądziel i czekają aż zgaśnie — nie wiem. Do widzenia duchów nie potrzeba im światła. Myślę, że palenie kądzieli to po prostu część rytuału. Co to znaczy kądziel? Jakby to panu powiedzieć? Czy pan wie, co to znaczy prząść? „U prząśniczki siedzą jak anioł dzieweczki". Nie, tego pan nie słyszał. Więc te prząśniczki przędą, czyli snują nitki z kądzieli. Jak po angielsku kądziel? Doprawdy nie wiem, nigdy tego słowa nie używałam. Więc palenie kądzieli, tak jak palenie wódki było

częścią rytuału. Że szkoda było wódki? Ja też tak myślę — wódka do palenia? Lepiej było palić kądziel. Na pewno nie spalali całej wódki, jeszcze trochę zostawało do wypicia. Wie pan, takie wrażenia, cmentarz, duchy — jakżeby można bez wódki?

Niech pan jeszcze zapali, proszę bardzo. Ja mam jeszcze czas, to jest nie tak dużo, za godzinę mam lekcję. Nie, pan mnie wcale nie męczy. Czy ma pan jeszcze pytania? Proszę bardzo, słucham.

Chodzi panu o duchy, różne rodzaje duchów, „duchy lekkie i ciężkie", te, które „wietrznym błądzą szlakiem" i te, które „do tego padołu przykute są zbrodni łańcuchem". Myślę, że nie chodziło o istotną wagę duchów, duchy przecież nic nie ważą. Chodziło o ich grzechy, pan rozumie, przenośnia, duchy z lżejszymi i cięższymi grzechami. Nie, nie wiem dokładnie, jakie grzechy Mickiewicz uważał za ciężkie, a jakie za lżejsze. Ale samo „Dziady" coś na ten temat mówią. Weźmy duchy dzieci, których przewinienie polegało na tym, że „nie zaznały goryczy ni razu". To był grzech lekki i dlatego dzieci wyglądają jak aniołki. Pan pamięta —

„Złocistymi pióry trzepoce się dwoje dzieci"
„Jak listek z listkiem w powiewie
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie".

Duch natomiast złego pana ma na sumieniu grzechy ciężkie. Pan zrozumiał jakie? Zły pan uciskał chłopów w swojej wiosce, były to czasy pańszczyzny. Czy pan wie co znaczy pańszczyzna? Ja to panu wyjaśnię po angielsku.

◆

Czy ma pan jeszcze pytania? Tych duchów, wie pan, jest sporo i może nie musi pan o wszystko tak pytać dokładnie, chociaż z drugiej strony szczegóły nie zawadzą. Ja mam jeszcze czas, tylko jeśli tych pytań jest dużo, to może już innym razem.

O który panu chodzi wiersz?

„Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza".

Pan wie, co znaczy tęcza (po angielsku *rainbow)*, a obręcza (dzisiaj się mówi obręcz) to jak „hoola-hoop", takie kółko do kręcenia, czy podbijania pałeczką. Oczywiście tęcza nie toczy się dosłownie, tęcza to zresztą pół koła, słusznie pan zauważył, ja to wiem. Ale to jest w przenośni, już panu tłumaczyłam.

Następny wiersz?

„Włos z wietrzykami swawoli
Po jagodach uśmiech lata".

Wietrzyk to mały wiatr, wiatr rozwiewa jej włosy, inaczej mówiąc swawoli, a jagody — nie, nie czarne, ani nie borówki — jagody to policzki, jej policzki oczywiście. Czemu uśmiech „lata"? No, też nie dosłownie.

Jeszcze pan zapali? Proszę bardzo. Może by uchylić trochę okno? Nie, ja się nie niecierpliwię, bardzo się cieszę, że się panu „Dziady" podobają, tylko oczywiście „Dziady" to poezja. Pan nie czytał zbyt wiele poezji — nieprawdaż? Poezji w Kanadzie na ogół się nie czyta. Tak, wiem o tym i myślę, że to szkoda i dlatego przynajmniej na egzaminie....

Chciał pan jeszcze o coś spytać? Proszę bardzo, tylko doprawdy będę musiała się streszczać. Postać Zosi chyba jest zrozumiała, prawda? Zosia miała wielu wielbicieli, ale żadnego z nich nie traktowała na serio i dlatego teraz

„ani wzbić się pod niebiosa
ani ziemi dotknąć nie może".

Ma pan jakąś wątpliwość? Bardzo proszę, jaką?

„Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta".

To chyba wszystko jasne. Jakie były te gołąbki, czy z kapusty? Nie, nie z kapusty, wie pan, takie ptaszki — *pidgeons*. Pan jednak zna kuchnię polską. Tylko, że kuchnia polska nie zupełnie wystarcza. Niech pan sięgnie do jakiejś encyklopedii (może być angielska). Niech pan przeczyta coś o Mickiewiczu i o romantyźmie. Wie pan, Mickiewicz pod M. i romatyzm pod R.

Ja rozumiem, że pan się stara i że panu zależy. Tylko, że ja teraz naprawdę nie mam czasu, lekcja już się zaczyna. Nie, nie robię panu wyrzutów, bardzo miło było poznać pana. Mam nadzieję, że wyjaśniłam pana wątpliwości, przynajmniej niektóre. Nie wszystkie? Jeszcze panu zostało parę pytań? To już może innym razem. Mnie tu można znaleźć rano i popołudniu. Niech pan tylko uprzedzi, najlepiej telefonicznie. Do widzenia panu. Życzę powodzenia na egzaminie.

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

Stanisław Gryziewicz

Wielu, zbyt wielu kolegów i przyjaciół wypadło żegnać tymi laty, ale odejście Stanisława Gryziewicza jest czymś, z czym szczególnie trudno się pogodzić. Może dlatego, że będąc wybitnym ekonomistą, pisarzem, profesorem, redaktorem, organizatorem był ponad to wszystko wyjątkowym człowiekiem. A zastąpić Człowieka trudnej niż profesora czy pisarza.

Najbardziej niepowtarzalną cechę osobowości Stanisława Gryziewicza widzę w doskonałej harmonii nie tylko myśli, słowa i działania, ale także serca i rozumu. Nie wyobrażam sobie, by się kiedykolwiek podjął zadania, w które nie mógłby włożyć i nie wkładałby rzeczywiście całego siebie. Wątpię także, aby chciał mieć wiele do czynienia z kimś, kogo nie chciałby obdarzyć przyjaźnią. Stąd promieniująca na otoczenie rzetelność, powaga w pracy jak i w stosunkach z ludźmi. Nic na pokaz, żadnych ustępstw z istoty rzeczy dla taktyki, czy dla konwencji. Takim był, gdy go poznałem przed jakimś 35 laty jako młodego urzędnika Ministerstwa Rolnictwa, takim pozostał.

Poznała się na tym przede wszystkim młodzież, nie tylko polska, ale i etiopska, czego wzruszającym dowodem były zabiegi (skuteczne) byłych uczniów, by go skłonić do powrotu do Addis Ababy na odpowiedzialne stanowisko doradcy ekonomicznego Państwowego Banku Etiopii.

W pracy naukowej zawsze wzorowo obiektywny, sumienny, nigdy nie poprzestawał na wiedzy już zdobytej, przez całe życie usiłował się uczyć i pogłębiać swe wiadomości. Dlatego za krytykę był szczerze wdzięczny, starał się zawsze zrozumieć cudzy punkt widzenia. Gdy wiedząc o tym zaraz po wojnie wyraziłem sporą porcję zastrzeżeń wobec poglądów wyrażonych w jego

dwóch świeżo wydanych pracach polityczno-gospodarczych — odniosłem wrażenie, że ta dyskusja zbliżyła nas, nie oddaliła.

Jego gorący patriotyzm nie miał w sobie nic z frazeologii. Jeden z pierwszych zrozumiał, że chcąc służyć Krajowi emigracja musi o stosunkach tam panujących jak najwięcej wiedzieć. Badania podjął chyba tuż po wojnie, w Londynie, jeszcze na marginesie innych prac. Oddał im się na lat kilka bez reszty w Paryżu. Staje na czele paryskiego Ośrodka Badań Europy Wschodniej z siedzibą w Bibliotece Polskiej, staje się jego duszą, wkłada niezmierną ilość systematycznej pracy w przygotowanie 4 numerów „krajowych" miesięcznika *Kultura*. Nie zamierzam tu umniejszać zasługi całego zespołu Ośrodka i współredaktorów, o których mówił zawsze z wdzięcznością i uznaniem, uczynności personelu Biblioteki Polskiej a także udziału *Kultury*, która podjęła wielki wysiłek finansowy i ryzyko wydawnictwa. Pełne wykonanie zamierzeń i wydanie całości w stosunkowo krótkim czasie (1952-1953, oczywiście, po okresie przygotowawczym), jest osiągnięciem godnym podziwu.

Te 4 „zeszyty" objęły z górą 1400 stron druku, tablice, indeksy, bibliografię. Złożyły się na nie opracowania 27 autorów, rozsianych w różnych krajach. Trzeba ich było znaleźć, podać tematy, szczegółowo je uzgodnić, narzucić rozmiary, nieraz przynaglać, później adiustować, wykonywać korekty. Konstrukcja bynajmniej nie jest przypadkowa. Tomy I i II to „Ramy życia w Polsce", t. III — „Sowietyzacja kultury w Polsce", t. IV — „Struktura gospodarstwa polskiego". Większy nacisk położono z rozmysłem na sprawy struktury i tendencji rozwojowych niż na aktualia. Dzięki temu całość nie tylko odegrała rolę pionierską, ale i dzisiaj zachowuje wartość. Wypada zaś pamiętać, że był to okres największej izolacji Kraju, wszechogarniającej tajemnicy, gdy uzyskanie i sprawdzenie wiadomości nie należało do rzeczy łatwych.

Spod maszyny samego Gryziewicza (albo pani Marii pod dyktando męża) wyszły 3 rozdziały tego dzieła: w tomie I „Rolnictwo" i „Ustawodawstwo pracy", w tomie IV wstępny artykuł syntetyczny „Struktura gospodarstwa polskiego".

Nie lubił Pan Stanisław uskarżać się na zdrowie, ale w liście z 1946 r. znajduję wzmiankę: „...wobec mego stanu zdrowia (tutaj zachorowałem na gruźlicę przy dawnej cukrzycy) pisanie jest jedyną formą aktywności na jaką mnie stać". Napisał w owych pierwszych latach po wojnie kilka głęboko przemyślanych rozpraw* ale gdy tylko przychodzi okazja — bierze się do nowej dla siebie, żywej, ale przy jego poczuciu odpowiedzialności wymagającej dużego wysiłku, pracy pedagogicznej. Prowadzi wykłady i zajęcia na wydziale ekonomicznym Polish University College, w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych, sporadycznie w instytucie „Reduta". Pomaga w organizacji szeroko zakrojo-

* M. in. *Środki polityki Gospodarczej*, str. 209, Instytut Literacki, Paryż, 1949.

nego „Agricultural Project", podjętego przez Mid-European Studies Center w Nowym Yorku. No, a wkrótce pochłania go praca Ośrodka Badań w Paryżu.

Profesura w Addis Ababie wymagała przystosowania się tak fizycznego jak umysłowego do nowego środowiska. Gryziewicz usiłuje poznać kraj i jego zagadnienia, jest pełen sympatii dla swych uczniów i dla ludności, porównywuje politykę amerykańską i sowiecką wobec krajów afrykańskich, martwią go wyniki tego porównania. Gorzej poszło z przystosowaniem fizycznym. Początkowo zdawało się, że zniesie klimat tamtejszy, a zwłaszcza wysokie położenie, pomyślnie, pojawiają się jednak ciężkie niedomagania serca, aż choroba przykuwa go do łóżka szpitalnego w Jerozolimie na wiele miesięcy, później zmusza do powrotu do Europy. Czy nie przecenił swych sił jadąc powtórnie do Etiopii — tylko lekarze mogliby ocenić. Dla laika prawie cudem jest raczej tak stosunkowo długa zdolność do intensywnego wysiłku organizmu trapionego tylu ciężkimi chorobami i aż do końca wysoki poziom tego wysiłku, przy niezmąconej pogodzie ducha. Cud ten nie byłby możliwy bez nieustannej miłującej, troskliwej opieki Małżonki, pani Marii, jak i jej mądrej pracy „szefa sztabu".

Nie sądzę, aby Stanisław Gryziewicz mógł mieć wrogów. Nigdy go nie widziałem zagniewanego, wytrąconego z równowagi. Ale w stosunkach z ludźmi kierował się świadomym wyborem. Tych, którzy zawiedli zaufanie albo nie odpowiadali probierzom etycznym — starał się nie widzieć. Przestawali go interesować. Wszystkim innym był przyjacielem. Każdego starał się zrozumieć, każdemu pomóc. Ci, którym bliższą przyjaźń okazał, nie zapomną jego delikatności, dobroci, uczynności, urzekającej skromności i prostoty. Wiele z siebie dawał — pozostaniemy jego dłużnikami.

Józef PONIATOWSKI

Jan Wszelaki

Umarł Jan Wszelaki. Należał do pokolenia, które już z tego świata schodzi, a wraz z nim zapada się w przeszłość epoka, której pokolenie to było wyrazem. Wkrótce zostanie już tylko Historia.

Wszelaki, jak światlejsza część jego generacji, wcześnie rozpoczął służbę ojczyźnianą i pełnił ją wiernie do ostatnich dni swego życia.

Jako młody student uniwersytetu moskiewskiego należał do braci zetowych, a Krzyż Niepodległości widniejący pomiędzy jego odznaczeniami, jest dowodem, że udział jego w walce o wyzwolenie oceniano dodatnio.

Rewolucja lutowa zastała go w Moskwie, gdzie pracował w Polskim

Komitecie Pomocy Ofiarom Wojny. Tam zetknął się ze świeżo z Butyrek uwolnionymi rewolucjonistami, między innymi z Feliksem Dzierżyńskim, przyszłym organizatorem Czeki i GPU. Fouquier-Tinville rewolucji rosyjskiej instynktem wyczuł, że rewolucja lutowa nie była jego rewolucją i odrzucił pomoc burżuazyjnego Komitetu.

Z dłuższego pobytu w Rosji Carskiej i rewolucyjnej wyniósł Wszelaki dużą znajomość spraw rosyjskich. Po powrocie do Polski, gdzie wykorzystano jego doświadczenie, znalazł się w pierwszej ekipie kadrowej do pertraktacji rozejmowych z rządem sowieckim w Mińsku, a po zwycięskiej kampanii polskiej brał udział w rokowaniach pokojowych w Rydze. W roku 1923 po nieudałych próbach negocjacji o traktat handlowy w Moskwie, powierzono mu misję udania się na Kaukaz w sprawie repatriacji znajdujących się tam Polaków. Misja daleka była od tego, co łączy się z pojęciem „misji dyplomatycznej", pełnej komfortu, bezpieczeństwa i splendoru. W krajach wstrząsanym wybuchami rewolucji, kontr-rewolucji i ruchami wyzwoleńczymi, ale opanowanym już przez bolszewików, nic nie było naturalniejszego, niż nagłe ocknięcie się na Łubiance czy w Butyrkach, co krótko przedtem przydarzyło się Tytusowi Filipowiczowi. Po powrocie z jaskini lwów, czekała Wszelakiego nominacja na szefa referatu sowieckiego w Centrali.

Służba w MSZ, po ukończeniu w r. 1922 Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu, wypełniła treść całego jego życia.

Od spraw sowieckich przeszedł do zagadnień Europy Zachodniej. W latach 30-tych, za czasów Ambasadora Skirmunta, popełnił funkcję sekretarza Ambasady w Londynie. Okres ten był dla Wszelakiego również ważny ze względów osobistych. Tam ożenił się z p. Marią de Rosen, córką znanego batalisty i siostrą mistrza sztuki kościelnej.

W roku 1935 został mianowany radcą ekonomicznym Ministerstwa. Okres ten obfitował w barwne wydarzenia, niepowodzenia i sukcesy, do których zaliczyć należy zawarcie skomplikowanego traktatu handlowego z Włochami. Wysiłki i talenty Wszelakiego zostały ocenione przez rząd Włoski, który udekorował go wysokiej klasy orderem: Gwiazdą Św. Maurycego i Łazarza.

Na stanowisku radcy ekonomicznego pozostał do wybuchu wojny.

W napiętych dniach przed wojną wprowadzono w MSZ nocne dyżury. Wszelaki pełnił dyżur w nocy z 31-go sierpnia na 1-go września 1939 i był pierwszym, który odebrał meldunki z Gdańska i Katowic o rozpoczęciu działań wojennych. Rozpoczęła się — jakże wszystkim dobrze znana — wędrówka, której stacjami były: Krzemieniec, Kuty, Bukareszt, Paryż i Londyn...

W ciągu wojny Wszelaki pełnił różne funkcje i zlecane mu misje. Do tych należała m. in. jednoosobowa delegacja do siedziby szwajcarskiej Paderewskiego, przekazująca mu oficjalnie wiadomość o objęciu przez Władysława Raczkiewicza urzędu Prezydenta.

Ostatnią nominację na radcę Ambasady w Waszyngtonie otrzymał w roku 1945. Funkcję tę złożył po cofnięciu przez Stany Zjednoczone uznania rządowi polskiemu na emigracji. Rozpoczął się ostatni rozdział jego życia bez statusu dyplomatycznego.

Pamięć przynosi mi pewną makabryczną rozmowę telefoniczną. Dzwoniłem w jakiejś sprawie do Łukasiewicza, z Nowego Yorku do Waszyngtonu,

ale zamiast jego głosu usłyszałem głos — przed chwilą wezwanego — policjanta, który poinformował mnie o tragicznej śmierci Łukasiewicza. Natychmiast przetelefonowałem tę wiadomość Wszelakiemu. Był wstrząśnięty do głębi; nie podejrzewał, że wypadnie mu przejąć na pewien czas trudną rolę reprezentanta nieuznawanego rządu w Waszyngtonie. Bez żadnych praw, ale z masą obowiązków i z jedyną legitymacją obrony słusznej sprawy.

Nadmierna wrażliwość Wszelakiego była ustawicznie wystawiana na szwank. Pełnił jednak tę służbę do przyjazdu Józefa Lipskiego w roku 1951.

Wszelaki wspominał, że kiedy udawał się z misją na Kaukaz, jedyną otrzymaną od Knolla instrukcją, była instrukcja „D", co w gwarze MSZ oznaczało: *debrouillez vous.* Po roku 1945 była to również jedyna instrukcja, jakiej życie udzieliło tym, co wybrali gorzki chleb emigracji. Musiał się nią zadowolić i Wszelaki. Jak wszyscy inni przeżywał wzloty i upadki, ale na szczególne podkreślenie zasługuje fakt że w 60-tych latach życia zdobył się na złożenie doktoratu w George Town University. Umożliwiło mu to prowadzenie wykładów z gospodarki w Europie Wschodniej na American University w Waszyngtonie.

Wymienić też wypada, że w ostatniej dekadzie życia błysnął talentem publicystycznym. Szereg jego wspomnień, drukowanych w londyńskich „Wiadomościach" lśni werwą, plastyką obrazów i humorem.

Na łamach „Kultury" drukował swoje artykuły ekonomiczne.

Przez ostatnie trzy lata był Dyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, z siedzibą w Nowym Yorku. Praca ta, jak w wielu innych polskich instytucjach na emigracji, nie była ani łatwa ani wdzięczna. Jeżeli dodać, że na skutek warunków osobistych, musiał jedną część tygodnia spędzać w Waszyngtonie, a drugą w Nowym Yorku, to nie będzie się dalekim od prawdy, mówiąc że ten tryb życia musiał poderwać jego zdrowie. Ale do ostatnich tygodni, ani on sam, ani nikt inny nie podejrzewał, że śmierć stoi za progiem. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że jest chory, od śmierci dzieliły go już tylko dni.

Zmarł daleko od rodzinnej Warszawy. Spoczął na cmentarzu Mount Olivette w Waszyngtonie, w najbliższym sąsiedztwie Józefa Lipskiego, Juliusza Łukasiewicza i Witolda Wańkowcza, z którymi ongiś stawiał pierwsze kroki w polskiej dyplomacji.

Damian S. WANDYCZ

Aleksander Kawałkowski

W dniu 19 sierpnia zmarł niespodziewanie w Genewie jeden z przyjaciół i współpracowników „Kultury" śp. Aleksander Kawałkowski.

Przed wojną kolejno młody pracownik Wojskowego Biura Historycznego , potem — wysoki urzędnik Ministerstwa Oświaty, Konsul Generalny w Lille, i — po wyzwoleniu Paryża — minister pełnomocny w Ambasadzie

Polskiej w Paryżu — zmarły odegrał w czasie wojny rolę, którą można nazwać historyczną. On to bowiem zorganizował i przeprowadził mobilizację polską na terenie Francji w r. 1939, a po klęsce francuskiej stanął na czele Polskiego Ruchu Oporu we Francji, który zorganizował tak świetnie, że kierownicy francuskich „reseaux" nieraz zwracali się do niego o rady i wskazówki.

Ta karta jego działalności znana jest powszechnie. Mniej znany jest fakt, że w trudnych dniach końca września 1939 r. w Paryżu, kiedy to w wężowisku intryg francusko-polskich i rozgrywek personalnych trzeba było organizować nowe polskie władze państwowe na ziemi francuskiej — śp. Aleksander Kawałkowski swoją osobistą inicjatywą umożliwił pierwsze rozwiązanie sprawy wojska polskiego we Francji.

Amb. Juliusz Łukasiewicz pisze o tym w nieopublikowanych dotąd kartkach swego pamiętnika:

„Dnia 27 września wieczorem przyszedł do mnie konsul gen. Kawałkowski, który był moim delegatem przy organizowaniu naszej jednostki zbrojnej, i zdając sprawę z ogólnej sytuacji w sprawach wojska podkreślił bardzo stanowczo, że sytuacja jest w najwyższym stopniu napięta i może grozić lada chwila rozłamami a nawet ekscesami. Obaj byliśmy zdania, że jedynie powierzenie dowództwa armii naszej we Francji gen. Sikorskiemu może wnieść odprężenie i uspokojenie"...

Ten fragment z pamiętników amb. Łukasiewicza cytuje w swojej „Najnowszej Historii Polski" Władysław Pobóg-Malinowski. Nie podaje on jednak podjętych bezpośrednio potem kroków, które były właśnie inicjatywą Al. Kawałkowskiego. Oto — za zgodą ambasadora — Kawałkowski udał się do hotelu „Danube" do gen. Sikorskiego, który miał mieć nazajutrz spotkanie z gen. Gamelin i któremu władze francuskie zamierzały ofiarować objęcie z ich ramienia dowództwa nad organizowanymi formacjami polskimi we Francji. Kawałkowski zaapelował do generała, by nie przyjmował takiej nominacji, bo trzeba, aby ją otrzymał od władz polskich. Jakich? Sprawa następstwa po Prezydencie Mościckim i sprawa nowego rządu nie były jeszcze wtedy załatwione. „Ale jest ambasador Rzeczypospolitej, który reprezentuje na terenie Francji osobę Prezydenta i on — w imieniu Prezydenta — może taką nominację podpisać" — wskazał generałowi Kawałkowski. — „Przecież Łukasiewicz nigdy nie podpisze dla mnie takiej nominacji" — żachnął się gen. Sikorski. — „Owszem" — odpowiedział Kawałkowski — „gotów jest ją podpisać". Wobec niedowierzania ze strony gen. Sikorskiego — Kawałkowski połączył się telefonicznie z ambasadorem Łukasiewiczem i ustalono, że nazajutrz, we czwartek, gen. Sikorski uda się w południe na spotkanie z amb. Łukasiewiczem.

W wyniku tego spotkania gen. Sikorski został naczelnym dowódcą armii polskiej we Francji — z polskiej, a nie francuskiej nominacji.

Ten epizod z działalności politycznej zmarłego znany jest tylko niewielu przyjaciołom z jego ustnej relacji. Przeciążony pracą zarobkową, osiągnąwszy wybitne stanowisko w przemyśle francuskim, nie miał czasu na pisanie pamiętników. Tym bardziej, że pasjonując się zagadnieniami polityki międzynarodowej zaczął od paru lat zabierać głos na łamach tak poważnego dwumiesięcznika francuskiego jak „Politique étrangère". Jego komentarze o polityce gen de Gaulle wzbudziły duże zainteresowanie w prasie europejskiej, a specjalnie niemieckiej i szwajcarskiej, i wywołały poważną

dyskusję międzynarodową. Aleksander Kawałkowski, który jako człowiek czynu był znakomitym organizatorem, — jako polski publicysta polityczny i historyczny był doskonałym pisarzem o stylu, który nacechowany był bezpośredniością i prostotą. A jako publicysta w dziedzinie międzynarodowej był jedynym — obok Zbigniewa Brzezińskiego — Polakiem, którego artykuły zwróciły uwagę i wywołały zainteresowanie na terenie międzynarodowym.

T. Ś.

Motywy polskie w twórczości M. Rylskiego

W artykule „Problemy artystycznego przekładu" Maksym Rylski pisał w 1954 roku: „Seweryn Pollak ma pełną rację, kiedy oświadcza w przedmowie do wyboru tłumaczeń Tuwima z języka rosyjskiego: „jesteśmy wdzięczni Tuwimowi nie tyle za popularyzację Puszkina w Polsce, co za to, że dzięki niemu Puszkin triumfalnie wszedł do polskiej poezji' ". Czcząc pamięć zmarłego w ubiegłym roku Maksyma Rylskiego, chciałoby się powiedzieć o nim to samo w związku z jego przekładem „Pana Tadeusza", gdyż właśnie dzięki niemu Mickiewicz triumfalnie wkroczył do ukraińskiej poezji.

Doskonały przekład „Pana Tadeusza" Rylskiego znalazł szeroki oddźwięk w krytyce literackiej. Ale sukcesu tego przekładu nie da się wytłumaczyć bez zrozumienia jak ważne miejsce zajmowało podłoże polskie w twórczości Rylskiego. Można tu mówić nie tylko o specjalnym ciężarze gatunkowym polskich przekładów Rylskiego w porównaniu z jego przekładami z innych języków (od francuskiego do autorów tureckich), ale i o szczególnym zainteresowaniu poety kulturą polską.

Artykuł niniejszy stawia sobie za cel nie tyle omówienie poszczególnych przekładów Rylskiego poezji Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, co danie poglądu na stosunek Rylskiego do Polski, jej narodu i kultury. Rylski wychowywał się od wczesnego dzieciństwa w atmosferze zrozumienia dla kultury innych narodów, a przede wszystkim dla kultury polskiej. Znając liberalne poglądy ojca poety, wielu jego polskich znajomych i przyjaciół bywało częstymi gośćmi w jego domu. Podobne stosunki panowały w domu ukraińskiego kompozytora M. Łysenki, gdzie Rylski przebywał po stracie swego ojca w wieku lat siedmiu. Dużo później, po drugiej wojnie światowej, częste przyjazdy Rylskiego do Polski i na koniec przyznanie mu doktoratu *honoris causa* przez Uniwersytet Jagielloński, pogłębiły jeszcze propolskie sympatie poety i jest zrozumiałe, że w tym ostatnim okresie kult Rylskiego dla polskiej kultury ujawnił się jeszcze wyraźniej.

Całą twórczość Rylskiego zawierającą polskie motywy można scharakteryzować dwojako: cechuje ją głębokie zrozumienie ducha polskości i szczera chęć przyswojenia i udostępnienia czytelnikowi ukraińskiemu najpięk-

niejszych kart kultury polskiej. Dotyczy to również dwóch jego artykułów krytycznych poświęconych krótkiej analizie czołowych poetów polskich XIX wieku.

Już w roku 1924 Rylski napisał wiersz pt. „Łódź", dedykując go „pamięci największego poety czasów nowszych, Adama Mickiewicza". W wierszu widać wyraźnie ogromne zafascynowanie twórczością wielkiego mistrza poezji polskiej:

Poeta spala żarem swego serca,
Rozdaje, wzmaga, krzepi
I w trwały dźwięk zakuwa przebieg chwil.

Ten wiersz można z powodzeniem uznać za wejście Rylskiego w fazę Mickiewicza, w której pozostał przez szereg lat i której szczytowym okresem był okres tłumaczenia „Pana Tadeusza". Ukończenie tego przekładu przypada na rok 1927. W tym czasie Rylski był całkowicie pochłonięty nie tylko samym poematem, ale i epoką Mickiewicza. W rezultacie powstał utwór „I znów Tadeusz" (1926). Poeta otwiera „Pana Tadeusza", zasłania okno i w jego wyobraźni pojawiają się sceny z nieśmiertelnego poematu:

Znów szlachta staje tłumnie przed oczami,
Hrabia przywdziewa romantyczny strój,
Znów róg Wojskiego gra ponad borami
I rzuca w niebo triumfalny zew...

Wizja godna pędzla symbolistów, przez szkołę których, nawiasem mówiąc, przeszedł w młodości i sam Rylski, wizja Polski, jej tragicznego losu.

Środkowa część wiersza oddaje hołd mistrzostwu Mickiewicza:

Podziwiam mistrza, co tak pewną ręką
Wiedzie korowód dumnej szlachty,
Znów jego słowa mocne jak spiż
W ciszy zabrzmiały...

Prawie w ćwierć wieku później, stojąc przed pomnikiem Mickiewicza w Warszawie Rylski mówi:

O, nie jak pomnik ponad nami
W niebios błękicie,
Ty idziesz z nami, nasz Adamie,
Po nieskończoność ludzkich dni...

Wśród wierszy o tematyce polskiej zasługują na uwagę cztery poświęcone Szopenowi: „Szopen" (1934). „Żelazowa Wola" (1956), „Serce Szopena" (1959) i „Legenda wieków" (1961). Tu trzeba powiedzieć, że Szopen był jednym z najulubieńszych kompozytorów Rylskiego. Autor tego artykułu pamięta jak Rylski ciągle prosił profesora Konstantego Regameya żeby mu grał utwory Szopena. W wierszu „Szopen" Rylski buduje swą wizję wokół trzech symboli, które dźwięczą w jego uszach muzyką Szopena: „szczęścia, miłości i beznadziei".

Niechże ci Polska lub George Sand,
Kochanki dwie równie okrutne,
Nawieją wiry słodkich dźwięków, —
I potem co? Dziś dobrze mi z tym snem,
I ciebie lubię zań kapryśny.
Chuderlawy muzykancie.

Będąc w Żelazowej Woli w 1956 r. Rylskiemu wydawało się, że w „malowniczym, przytulnym sadzie" chodzi „sam Fryderyk w niepokoju":

Wszędzie — muzyka, te sosny, te dęby, te klony,
Wytwory przesubtelnych rzeźb,
A nad tą rzeczką każdej niedzieli
Polacy koncertów słuchają — miłych Szopena dźwięków...

Ten sam motyw pojawia się znowu w 1957 roku w „Sercu Szopena", kiedy to autor odwiedził w Warszawie Kościół, w którym znajduje się serce kompozytora.

Mazurki i polonez — toż to głos
Narodu — co żyje i tworzy,
Gdy z cegły, z kościelnej ściany
Serce Szopena z naszymi rozmawia...

Rylski wyraźnie kładzie nacisk na obraz kościoła jako symbol świętości i wiary, uczuć bliskich narodowi polskiemu.

Czwarty wiersz szopenowskiego cyklu, „Legenda wieków", zawiera również szereg żywych obrazów poświęconych Polsce, chociaż tematem zahacza, jak to widać z motta wiersza, równocześnie o dwa jubileusze, 150-lecie urodzin Szopena, i 100-lecie śmierci Szewczenki.

Oddzielne miejsce wśród polskich motywów twórczości Rylskiego przypada krótkiemu wierszowi o pomniku Kopernika w Krakowie. Cały utwór opiera się na kontraście *małego* pomnika i *wielkiego* ducha uczonego, zwykłego kanonika mającego jednak w sobie potęgę ludzkiego rozumu:

Na podwórcu starego uniwersytetu
Stoi niewielki pomnik,
Monument poecie — uczonemu —
Promieniowi prawdy w ciemnocie wieków...

Narodowego ducha polskiego ukazał Rylski w wierszach „Dziewczyna w Zakopanem" (1950) i „Na koncercie Mazowsza" (1956). Zwracając się do nieznajomej dziewczyny w Zakopanem, Rylski pisze:

Widziałem ciebie w krótkim śnie
W góralskim bujnym tańcu
W złoconym narodowym stroju
Na Gubałówki śnieżystym szczycie...

Analogiczne motywy nasuwają Rylskiemu dźwięki kobzy góralskiej, odświętny wieczór polskiej wsi, pod wrażeniem koncertu „Mazowsza":

Barwne stroje morzem się rozlały,
Niby kwiecie na skraju lasu...

A odwiedziny Gdańska w 1956 roku dały asumpt do napisania wiersza „Byliśmy w Gdańsku".

Dwa inne artykuły Rylskiego zatytułowane „Poezja A. Mickiewicza" i „Żarliwy geniusz", zawierają wiele uwag na temat patriotycznych akcentów w twórczości polskiego poety, dla których Rylski ma głębokie uznanie. Pisze w nich, że uwaga zarówno Mickiewicza jak i Słowackiego skupiona była na wielkiej tragedii której na imię powstanie polskie 1830-31 roku. Liczne ustępy w „Kordianie" brzmią nie tylko jako przeciwstawienie się III części Dziadów, ale i jako rozwinięcie podobnych myśli i nastrojów". Wspomina krótko o „Anhellim", szczególnie o ostatniej scenie.

Zresztą w swoich pracach o tematyce polskiej Rylski uwzględnia i inne elementy. Rylski był nie tylko poetą i krytykiem literackim, ale i wybitnym erudytą.

Zwróćmy uwagę jak daleko posuwa się Rylski w chęci udostępniania czytelnikowi ukraińskiemu jak największej ilości zjawisk polskiej kultury. Czytając na przykład jego artykuły o Mickiewiczu uderza nas jak doskonale Rylski zużytkował spostrzeżenia artykułów Boya-Żeleńskiego, czy prac krytycznych Henryka Szypera, Mieczysława Jastruna, Millera i innych; jak skwapliwie objaśnia czy to uroczysty obrzęd Dziadów, czy znaczenie Żółtej Księgi z „Pana Tadeusza", jak pisze o Targowicy i o Mazurku Dąbrowskiego, itd. Mówiąc o melodyjności wierszy Mickiewicza Rylski natychmiast informuje o licznych utworach muzycznych (ok. 1500) opartych o teksty Mickiewicza, gdzie obok światowych wielkości Szopena, Moniuszki, Paderewskiego, wymienia nazwiska Karola Lipińskiego, Marii Szymanowskiej, i późniejszych — Tadeusza Żelichowskiego, Kazimierza Sikorskiego i Stanisława Wiechowskiego, a także Michała Glinki, rosyjskich członków tzw. „wielkiej piątki", Czajkowskiego, klasycznego ukraińskiego kompozytora Mikołaja Łysenki, i współczesnego Borysa Latoszyńskiego.

W pracy „Problemy artystycznego przekładu" pisze z wielką sympatią o twórczości Juliana Tuwima, Władysława Broniewskiego, wspomina o trudnościach przekładania gwarowego tekstu „Wesela" Wyspiańskiego, mówi też o polskich przekładach Szewczenki, dając krótką historię jego tłumaczy (L. Sowiński, L. Belmont, G. Daniłowski, M. Piechal, J. Iwaszkiewicz, W. Słobodnik i in.).

Jak widzimy, chęć zapoznania czytelnika ukraińskiego z kulturą polską znalazła wyraźne odbicie w pisarstwie Rylskiego. Stąd na jego pogrzebie mówiono o nim nie tylko jako o znanym ukraińskim poecie i pięknym humaniście, ale i jako o przyjacielu narodu polskiego.

I w określeniu tym była prawda. Dlatego tak prawdziwie brzmią jego słowa zwrócone do Polski w czasie jego pobytu w Warszawie:

Szumi Twoja ziemia zielona
Jak prawdziwa pospolita rzecz,
Jak jasny polonez Szopena,
Jak dźwięczny kościuszkowski zew...

Walerian REWUCKI

Komunikat

INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO

Walne zgromadzenie Polskiego Ośrodka Naukowego i Rada Instytutu Historycznego imienia Generała Sikorskiego, powzięły w ostatnim czasie uchwały natury organizacyjnej, niezbędne dla uruchomienia nowej instytucji. Na I-szym posiedzeniu Rady Instytutu, która została wybrana przez jednoczące się ośrodki naukowe, ukonstytuowano nowe władze.

Nowa nazwa obowiązuje od 3 czerwca 1965 r. Zarząd Instytutu przystąpił natychmiast po załatwieniu tych formalności do opracowania jednego budżetu i rachunkowości, jak również do ujednolicenia administracji, jako pierwszych niezbędnych kroków do całkowitego, organicznego zespolenia obu połączonych instytucji. Kierownictwo nad wydawnictwami Instytutu objęła Komisja Wydawnicza Zarządu w składzie: prof. dr T. Komarnicki, gen. dr M. Kukiel, kmdr. B. Wroński i kier. Archiwum.

Będące na ukończeniu: tom II Diariusza Szembeka (Polski Ośrodek Naukowy), „Documents on Polish-Sowiet Relations" tom II (Instytut Historyczny imienia Generała Sikorskiego), „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej" (j.w.) oraz bieżący rocznik „Bellony" (j.w.) będą ostatnimi wydawnictwami, które wyjdą jeszcze pod firmą tych instytucji, które podjęły nad nimi prace, po czym wszelkie publikacje wychodzić będą pod firmą nowego Instytutu.

Stosownie do Statutu ilość czynnych członków Instytutu wynosi 80 osób.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU" — Za $ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Dwie antologie poezji polskiej w Jugosławii

Wydano ostatnio w Jugosławii dwie antologie polskiej poezji, jedną po serbokroacku, drugą po słoweńsku*). Wydarzenie to jest przedłużeniem wielowiekowej wymiany kulturalnej pomiędzy Polską i Jugosławią, której początki sięgają roku 1628, kiedy to ukazał się epos Gundulića „Osman".

Napisany w kilka zaledwie lat po bitwie chocimskiej, „Osman" jest kroniką wypadków o europejskim znaczeniu: opiewa polskie zwycięstwo nad Turkami i gwałtowną śmierć sułtana Osmana w wyniku klęski. Noszący ślady wpływów Tassa i Ariosta, „Osman" poruszał palące wówczas problemy: stosunek chrześcijaństwa do islamu i sprawę przyszłości słowiańszczyzny. Cios zadany przez naród słowiański tureckiemu imperium, mógł, zdaniem Gundulića, przyczynić się do odzyskania wiary w wyzwolenie jego współplemieńców w zajętych przez Turków częściach Jugosławii.

Tak więc Gundulić sławi polskiego księcia Władysława jako rycerza chrześcijaństwa w walce z turecką opresją. Gundulić pisze o nim jako o bohaterze, wbrew historycznym faktom, bo książę był chory podczas bitwy.

Nic dziwnego, że całe pokolenia kroackich pisarzy wychowywały się w duchu gunduliczowego „Osmana", a stosuje się to przede wszystkim do „Illiryjczyków". August Senoa, najwybitniejszy z kroackich pisarzy, zapoznał się po raz pierwszy z polską potęgą i wielkością czytając „Osmana". Później stał się jednym z najbardziej znanych polonofilów Jugosławii.

W chwili kiedy wybuchło drugie polskie powstanie, Senoa przebywał w Pradze. Tam dowiedział się o tragedii Polaków. Reakcja jego na znany wiersz Puszkina „Klevietnikam Rossii" była mocna i gwałtowna, choć przyszła z opóźnieniem. Jako

temat swego wiersza „Ślepy Polak" Senoa wziął słynne linie Puszkina: *Eto spor Slavjan miežду soboju, domasznij, starij spor...* i wykazał czym w praktyce były te „domowe spory Słowian".

W 1862 Senoa przetłumaczył część „Konrada Wallenroda" Mickiewicza. Odtąd jego związki z literaturą polską były ustalone na dobre. Tłumacząc Mickiewicza, Senoa nie mógł uniknąć jego wpływów. Krytycy stwierdzili, że jego utwory: „Mrak", „Gus", „Majcino Mlijeko" powstały pod bezpośrednim wpływem polskiego poety. Senoa tłumaczył też Słowackiego „Jan Bielecki", podczas gdy w Polsce znalazł tłumacza w osobie Grabowskiego.

◆

Powiedzieć, że tłumaczenie poezji jest trudną sztuką, to powiedzieć za mało. Jugosłowianie mają bardziej stosowne słowo określające tę czynność: PREPEVATI, co znaczy prze-śpiewać. Posługując się zasobami innego języka, tłumacz poezji musi odtworzyć muzykę i ekspresywność oryginału. Jakkolwiek nowoczesna poezja usilnie dąży do uniwersalnego języka, co jest w niej najlepsze zawsze będzie związane z narodowym środowiskiem.

Od dawna stwierdzono, że język przesądza o formach metrycznych. W ciągu stuleci ustalił się w poezji serbo-kroackiej DESETERAC (dziesięciosylabowiec złożony z pięciu trochejów), jako lepsza i bardziej precyzyjna forma niż szesnastosylabowy czy ośmiosylabowy wiersz trocheiczny.

Eksperymenty Vojisława Ilića, a później Jovana Ducića (parnasisty serbskiej poezji) wprowadziły dwunastosylabowiec trocheiczny i jedynastosylabowiec jambiczny, formy używane przez prawie wszystkich serbskich i kroackich poetów w początku naszego stulecia.

Najbardziej charakterystyczny polski wiersz, jak powiada J. Peterkiewicz, „ma 13 sylab z cezurą po siódmej sylabie... po nim najważniejszy być może metr to „ośmiosylabowiec... Mamy wreszcie jedynastosylabowiec..."

Nie wiemy czy tłumacze natrafili na trudności próbując rozwiązać wspomniany problem czy też wiersze ułożyły się same w nowy kształt, zważywszy że polski, serbo-kroacki i słoweński posiadają wiele wspólnych, specyficznie słowiańskich, cech. Na przykład brak tej sztywności składni jaką znajdujemy w językach romańskich! podobne aspekty czasowników, podobna deklinacja rzeczowników etc. Z drugiej jednak strony, leksykalne zbieżności mogą być równie pomocne jak niebezpieczne. Spowodowane tym błędy są nawet u Senoa, który znał polski tak dobrze.

Słoweński tłumacz tak ujmuje problem przekładu:

„Wychodząc z oryginału tłumacz musi stworzyć nowy, żyjący i niezależny organizm, co nieraz jest trudniejsze niż napisać swój własny wiersz, bo poeta w swoim wierszu myśli swobodnie

i sam dobiera słowa. Natomiast przekładając... tłumacz musi obchodzić się ostrożnie z każdą linijką i z każdą myślą".

Każda antologia jest równocześnie krytyką — bo przedstawia krytyczną ocenę ze strony redaktora (tłumacza) i daje świadectwo jego literackiej kulturze. Jednak kryterium jakim posługują się czytelnicy jest takie same jak przy wierszach oryginalnych tj. wartość artystyczna. Tak więc odpowiedzialność tłumacza jest ogromna. Żeby przekazać co utwór zawiera, tłumacz po pierwsze musi być sam poetą, po drugie znać dobrze dwa języki. Zapewne te dwa warunki w omawianych antologiach zostały spełnione, skoro czytając polską poezję w jej serbo-kroackiej wersji ma się stale rzadkie estetyczne przeżycie, porównywalne nawet z tym co się odczuwa czytając swoją rodzimą — w moim wypadku serbo-kroacką — poezję.

Siła wyrazu nie omijająca nic z tego co jest najbardziej zasadnicze i uniwersalne w życiu współczesnym wyznacza polskiej poezji miejsce na tym samym poziomie co poezji innych narodów o równie długiej historii. Znajdujemy jednak w polskiej poezji tyle samo gloryfikacji narodowych cierpień i walk, co w jugosłowiańskiej poezji od czasu jej olbrzymów: Njegos w serbskim, Mazuranić w kroackim i Presern w słoweńskim aż po współczesnych takich jak Nazor i Zupancic są tu przykładem. Poezje polska i jugosłowiańska znają jeszcze jedno wspólne im obu zjawisko. Jest to faza nowoczesnych „izmów" określana w Polsce jako „Młoda Polska", w Jugosławii jako „Moderna". Podobne są też konsekwencje w obu literaturach: dekadencja, europeizacja, „sztuka dla sztuki" i ucieczka od rzeczywistości w domenę fantazji.

Dzisiejszy jugosłowiański czytelnik polskiej poezji przede wszystkim stawia sobie zapewne pytania: gdzie się te poezje spotykają? Jak wyglądają skoro się je porówna?

W nowszych czasach polska poezja miała swój krótki okres futuryzmu, który po 1919 ustąpił miejsca dwum grupom: „Skamandrowi" i „krakowskiej Awangardzie". Jest to równoległe w czasie z niesłychanie bujnym okresem w dziejach jugosłowiańskiej poezji (złotym okresem serbskiej poezji), kiedy to przejęcie się kwestiami wersyfikacji i jasnością języka zdaje się być zbliżone do tego co reprezentował „Skamander". Poezja Leopolda Staffa może być porównywana z poezją Jina Ujevića, który również poddawał się wielu wpływom i żył dłużej niż różne „szkoły", od symbolizmu do dadaizmu, futuryzmu etc. Obaj zdołali zachować swoją artystyczną rzetelność i oryginalność. Obfitość motywów w poezji Ujevića idzie w parze z odpowiednim bogactwem form i subtelnością wyrazu.

Vujicić, tłumacz polskiej poezji na serbo-kroacki, charakteryzuje ostatnie utwory Staffa jako pełne „świeżości, prostoty... humoru i mądrości" — tę charakterystykę da się w pełni zastosować do poezji Ujevića.

Polscy krytycy twierdzą, że „krakowska Awangarda" nie wydała poezji na miarę jej ambitnych teoretycznych wypowiedzi i

programów. Wyjątek stanowi poezja Juliana Przybosia. Mniej więcej w tym samym czasie kiedy powstała w Krakowie ta grupa, położono fundamenty pod nowoczesną jugosłowiańską poezję o orientacji lewicowej, zakładając w Belgradzie w 1923 roku pismo literackie „Putevi" („Drogi"). Wśród pierwszych jego współpracowników był poeta Marko Ristić.

Zważywszy na poetycki temperament i personalne dane Juliana Przybosia, rzeczą kuszącą byłoby zestawić go z Oskarem Davico (razem z innymi pisarzami Davico opublikował w 1932 roku manifest surrealistycznej szkoły, starając się połączyć materializm filozoficzny z naukami Freuda o podświadomości i podkreślać awangardową rolę surrealizmu). Wspólne im są przede wszystkim innowacje językowe. Davico potrafił odkryć w serbo-kroackim niepodejrzewane dotychczas możliwości przekształcenia poetyckiej ekspresji. Przyboś odegrał podobną rolę w nowoczesnej polskiej poezji, „stworzył nowy wiersz, nowe intonacje zdania, nowe słownictwo". Czysto śródziemnomorska zmysłowość jest właściwa poezji Davico, i to jest już jego tylko cecha. Zresztą Davico, poza tym że jest utalentowanym poetą, jest równie utalentowanym powieściopisarzem.

W przedmowie do słoweńskiej antologii wybitny słoweński eseista i teoretyk literatury Josip Vidmar powiada: „...nie można wątpić, że losy danego narodu rozwijają w jego literackich przedstawicielach odpowiadające im właściwości... Na przykład w dziejach naszej poezji widzi się jasno nie tylko przejęcie się naszym narodowym losem ale i desperację z jego powodu..."

Słowa te zdają się stosować równie dobrze do polskiej poezji, szczególnie z okresu drugiej wojny światowej. Nagromadzenie poetyckich zasobów w najciemniejszym momencie historii kraju wyładowało się natychmiast po wojnie (jak to widać z obu antologii) i w wielu wydanych wtedy książkach poeci, każdy w swoim własnym języku, wyrażali porażenie okupacją faszystowską.

Następnie, zarówno w polskiej jak w jugosłowiańskiej poezji przyszło zerwanie z poprzednio istniejącymi szkołami i przyjęcie tak zwanego „socjalistycznego realizmu". Choć trudno jest ustalić datę kiedy w Jugosławii załamał się socjalistyczny realizm, można przyjąć 1951 jako początek nowej ery w powojennej literaturze. To samo zaszło w Polsce nieco później. Dla wielu krytyków kluczowym rokiem w Polsce jest 1956. Oczywiście wielu jugosłowiańskich poetów korzystało z nowej atmosfery twórczej, która przyniosła ożywioną działalność literacką i odnowę literackich kierunków dotychczas stłumionych przez panujący „socjalistyczny realizm".

Sądząc po antologiach, poezja polska odnowiła się dzięki plejadzie młodych poetów, którym wspólna jest chęć łączności ze światową literaturą. Poezja młodych jest najoczywiściej pod wpływem nowoczesnej poezji anglosaskiej i mniej zajęta zagadnieniami polityki, o czym świadczą utwory Harasymowicza, Grochowiaka i Herberta, żeby wymienić tylko trzech. Wszystkich trzech na równi interesują problemy formy i poetyckiego języka.

Podobne tendencje spotykamy w Jugosławii u Miodraga Pavlovića, głównego przedstawiciela tak zwanej intelektualnej poezji i u Vaski Popy.

Język poezji nie udziela się natychmiast każdemu. Toteż każdy czytelnik ułoży swoją własną antologię z tych dwóch naprawdę pięknych antologii. Nasilniejsze przeżycia miałam czytając poezję awangardy wileńskiej, Czesława Miłosza, zwłaszcza jego „Biedny chrześcijanin patrzy na ghetto", oraz „Most" Leopolda Staffa. Inni czytelnicy mogą wybrać swoich własnych faworytów.

Sumując, wiele cennych doświadczeń oczekuje jugosłowiańskich czytelników na stronicach tych antologii, które pozwalają wniknąć w twórczość bratniego narodu.

Milica D. KIRKOFF

* *Savremena Poljska poezija*, odabrao i preveo Petar Vujicić, Nolit, Beograd, 1964. Biblioteka Orfej.

Poljska Lirika dvajsetega stoletja, antologija, pesmi so izbrali Ryszard Matuszewski, Zygmunt Stoberski in Lojze Krakar. Prepesnil jih je Lojze Krakar. Drzabna zalozba Slovenije, Ljubljana 1963.

Poeci poetom

(FRANCUSKA ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ)

Annuntio vobis gaudium magnum. Habemus anthologiam. Tymi słowami należy przywitać ukazanie się pięknego wyboru naszej poezji; dokonany przez polskich poetów, został przełożony przez ich francuskich kolegów*.

Wszystko w tej książce składa się na sukces trudnego przedsięwzięcia. Poprzedzona wstępem historycznym, antologia kończy się posłowiem jej redaktora i *spiritus movens*, Konstantego Jeleńskiego. Zwięzłe noty o poszczególnych poetach i ograniczone do minimum objaśnienia tekstów dopełniają całości wydawnictwa. Siedem najbardziej popularnych pieśni ludowych zamieszczonych przez Jeleńskiego na końcu antologii zapoznaje czytelników francuskich z naszym bogatym folklorem. Każdy ze współpracowników potraktował poważnie swe zadanie; w rezul-

* *Anthologie de la Poésie polonaise*, Editions du Seuil, Paris, 1965, 454 pp.

tacie otrzymaliśmy pierwszy w języku francuskim niezwykle udany wybór przekładów poezji polskiej — od średniowiecza do czasów najnowszych.

Wstęp jest dziełem Czesława Miłosza, poety i wykładowcy literatury polskiej w jednej osobie. Autor niedawno wydanej po angielsku antologii naszej poezji czuje się pewnie jako komentator-historyk. Stąd 26 stron jego wprowadzenia w nieznaną obcemu czytelnikowi dziedzinę daje subiektywnie odczuty zarys liryki polskiej na przestrzeni sześciu wieków. Ciekawe ujęcie treści przez wybitnego poetę idzie tu w parze z obiektywizmem historyka literatury zmuszonego często uwzględniać w wykładzie główne fakty z dziejów Polski. W syntezie przeznaczonej dla cudzoziemców Miłosz zwraca przede wszystkim uwagę na trzy zasadnicze cechy: 1) Wszystkie prądy występujące w literaturach Zachodu, od Renesansu do najnowszych, mają swe odpowiedniki w naszej poezji. 2) Przeżywa ona swój rozkwit w okresie niewoli. 3) Jakkolwiek wyrosłe ze wspólnego pnia słowiańskiego, literatura polska i rosyjska rozwijają się zupełnie odrębnie aż do okresu „Młodej Polski".

Surowość, ironia, prostota charakteryzują — zdaniem Miłosza — współczesną poezję polską. Dziwi nieco przemilczenie roli Staffa, po „nastrojowcach" Młodej Polski przywracającego znaczenie liryce refleksyjnej; jest to chyba jedyne zastrzeżenie dotyczące wstępu.

Novum antologii stanowi szeroko zakreślona współpraca w dziedzinie przekładów z nieznającymi polskiego poetami francuskimi, którym dostarczono jedynie dosłownego tłumaczenia prozą. Najrozmaitsze przeszkody wynikające z odrębnego charakteru dwóch języków, odmiennej struktury ich wiersza, systemu metrycznego, akcentu — oto, tytułem przykładu — tylko część trudności pokonanych na ogół zwycięsko. Przewaga pierwiastków emocjonalnych stanowiła dodatkowy kłopot dla poetów francuskich poddanych zazwyczaj prymatowi intelektu.

W ciągu ostatniego dwudziestolecia ukazało się parę wartościowych antologii: Grydzewskiego, Tuwima, Hertza; ułatwiły one pracę Jeleńskiego. Niemniej trzeba podziwiać trafność sądu, która pozwoliła mu wybrać z olbrzymiego materiału utwory zarówno piękne jak i charakterystyczne. Należy jedynie żałować, że rozmiary wydawnictwa zmusiły go ograniczyć niekiedy udział znanych poetów do jednego wiersza. Ucierpieli na tym Sebastian Grabowiecki i Trembecki z dawnych, Tetmajer, Miciński, Jalu Kurek, Liebert z czasów nam bliższych. Dwa poematy Łobodowskiego nie oddają całego bogactwa jego „apokaliptycznej Muzy"; podobne uwagi nasuwają się przy wyborze z Iwaniuka. Wreszcie ciekawy fragment z Rostworowskiego nie pozwala zorientować się w tym co stanowi urok (niekoniecznie i niezawsze wartość!) jego poezji.

Te drobne zastrzeżenia nie osłabiają pozytywnej oceny Jeleńskiego jako krytyka dokonywującego wyboru. W jego antologii znajdują się prawdziwe perły i nawet specjalista może tu od-

kryć przepiękne wiersze nieznane lub uprzednio niedocenione. Czytelnik-Polak doznaje nowych wzruszeń estetycznych. Przepiękna, anonimowa „Skarga Marii u stóp krzyża" czy „Euterpe" Miaskowskiego, „Do Matki Polki", „Na sprowadzenie zwłok Napoleona", „Ballada dziadowska" Leśmiana i „Rozmowa z Historią" Broniewskiego, „Straszni mieszczanie" Tuwima czy „Serwus Madonna" Gałczyńskiego, „Los" Różewicza czy „Małpa" Szymborskiej — wymieniam tylko 10 utworów z 400, które zawiera antologia — ukazują w swej francuskiej wersji nowe horyzonty. Niespodziewane przeżycie estetyczne, biorące punkt wyjścia w znanym tekście jest dodatkową nagrodą przy lekturze „starych przyjaciół".

Szereg wcześniejszych antologii w języku francuskim — Bugiel, Seghers, S. Arlet, ostatnio Pankowski — nie mówiąc o poematach cytowanych w wydawnictwach encyklopedycznych, próbował zapoznać Francję z poezją polską. Istniały poprawne nieraz choć blade przekłady, najczęściej dzieło rodaków władających językiem francuskim. Z kolei niewielka grupka Francuzów znających polski porała się z trudnościami przekładu. Eksperyment dokonany przez Jeleńskiego i liczne grono jego polskich pomocników — wymieńmy tylko Brzękowskiego, Miłosza, Wata — by przez recytację poematu i dosłowne jego tłumaczenie prozą zbliżyć poetę francuskiego do przekładanego wzoru, stanowi dalszy etap. Przeważająca większość utworów w ten sposób przyswojonych daje już dość dokładne pojęcie o ich wartości artystycznej. Idąc po tej drodze, korzystając z dawnych przekładów, wgryzając się coraz bardziej w tekst znany z tłumaczenia, które z konieczności zatarło tchnienie poezji, francuscy poeci osiągną niewątpliwie dalsze, doskonałe rezultaty.

Na razie przekłady Polaków (Pankowski, Brzękowski, Kosko, Jeleński, Jan Prokop) lub Francuzów polskiego pochodzenia (Charles Dobzinsky) stanowią niewątpliwie najlepsze osiągnięcia tomu. Niemniej zbliżają się do nich Francuzi znający polski (Cazin, Armand Robin, Bourrilly). Z dawniejszych przekładów „Świteź" O. V. de Lubicz-Miłosza i fragmenty „Poematu dla dorosłych" (A. Robin), z nowych „Fortepian Chopina" (Jean Cassou) i Elegia Fortinbrasa (Zbigniewa Herberta w przekładzie Roger Caillois) zasługują na wyróżnienie. Obok nich liczna grupa poetów: Yves Bonnefoy. Jean Rousselot, Lucien Feuillade, Anne-Marie de Backer, Michel Manoll, André Prudhommeaux, Pierre Emmanuel (cytuję jedynie tych 7 nazwisk z pokaźnej liczby 53 tłumaczy) zaskarbiła sobie szczególną wdzięczność za szereg niezwykle udanych przekładów.

W ten sposób znany, odwieczny spór na temat przekładu: czy *traduction* ma być *fidèle* czy *belle infidèle*, zdąża ku idealnemu rozwiązaniu *belle et fidèle*.

Posłowie Jeleńskiego jest wzorem jasności wykładu. Charakteryzuje on najczęstsze, różne od francuskich typy wierszy polskich i trzy systemy metryczne: zgłoskowy, sylabotoniczny i toniczny, stosowane przez naszych poetów. Dalej pokazuje na

przykładach jak ich francuscy koledzy pokonywali trudności wynikające z tych „odrębności narodowych". Bogactwo słownika (zwłaszcza w dziedzinie zdrobnień) i swoboda systemu gramatycznego a głównie zwięzłość polszczyzny stanowiły dalsze przeszkody, przezwyciężane zazwyczaj przez użycie wiersza dłuższego (np. 16-zgłoskowiec zamiast 13-zgłoskowca).

W jednym tylko wypadku trudno zgodzić się z Jeleńskim. Ocenia on wysoko adaptację, rodzaj kwintesencji poezji, którą znany francuski poeta Francis Ponge dał zamiast przekładu Andrzeja Morsztyna. Jak „Książę niezłomny" w przeróbce Słowackiego przestaje być dziełem Calderona, podobnie Morsztyn interpretowany przez Ponge'a parafrazując znane powiedzenie Boya o matronie — Morsztynem „być już przestał a jeszcze nie jest" Ponge'em; taka jest bowiem różnica mentalności na przestrzeni trzech wieków.

Wnioski końcowe narzucają się same:

1) Dla tych co szukają wartościowego podarunku dla przyjaciół-Francuzów, „Antologia" Jeleńskiego stanowi idealny prezent.

2) Dzięki ambitnemu zespołowi polsko-francuskiemu przed naszą poezją otwiera się możliwość przebicia „muru niezrozumienia" i zajęcia wśród innych literatur miejsca, na które niewątpliwie zasługuje.

Na zakończenie należy życzyć, by, za wyborem poezji, polskie opowiadanie i nowela dotarły do francuskiego czytelnika. Droga do sukcesu wskazana i otwarta, chodzi o następny etap w pracy zespołu tak szczęśliwie utworzonego.

Zygmunt MARKIEWICZ

"Opowiadania starego kaprala"

(NOWA KSIĄŻKA JANA BIELATOWICZA)

„Stary" — to ten kapral nie był. Miał lat 25, kiedy po ukończeniu studiów na wydziale filozoficznym uniw. Jagiellońskiego rozpoczął swą służbę wojskową w 5 p. strz. podh. w Przemyślu. Ale umiał już patrzeć, zapamiętać i przełożyć to co widział na język literacki.

Bielatowicz opowiada o ludziach prawdziwych, przeważnie nie zmienia-

Londyn, Veritas, 1965, str. 249. Obwoluta i ozdobniki Danuty Laskowskiej.

jąc im nazwisk i o wydarzeniach, które się naprawdę wydarzyły. Ale — podobnie jak Pasek — nie pisze kroniki, tylko „dukt życia swego", o „okazyjach w których sam był". Bo w ogóle jest w nim coś z Paska, ale przeniesionego w wiek XX. Pozostała w „Opowiadaniach" Paskowa rubaszność, opolerowana tymi trzema wiekami rozwoju polskiej kultury, które je dzielą od „Pamiętników", pozostało bystre oko, odkrywające z pobłażliwą ironią śmieszne, czasem groteskowe, strony życia wojskowego. Jak Paskowych „Pamiętników" tak i „Opowiadań" nie da się zamknąć w jakiejś jednej „szufladce" literackiej. Jest w nich i coś z pamiętnika i trochę kroniki i szczypta historii, ale najwięcej jest w nich gawędy, formy trudnej, którą jednak Bielatowicz operuje swobodnie i z wyraźną lubością. „Z tego wszystkiego wychodzi — zebrał całą rzecz do kupy strzelec Cyrulik — że z tej wojny jedno tylko na pewno zostanie: Gawęda". (str. 248). Tymi słowami kończy się książka i rozmowa w tobruckim schronie. Strzelec Cyrulik (Karol) wiedział co mówi, chociaż miał wówczas lat zaledwie dwadzieścia i tylko siedem klas powszechnych za sobą.

Bielatowicz „mistrz w obracaniu językiem" ma „zawsze ze sobą gęby i konceptu pod dostatkiem" więc jego gawęda, zaprawiona fantazją, humorem — nigdy kpiną — i niemałą dozą żołnierskiego cynizmu, przy którym „ledwie się gęba nie skrzywi od śmiechu i ukontentowania" — bawi i rozśmiesza, ale też zmusza do zastanowienia i czasem gorzkiej refleksji. Słowa u niego nie kołują niepotrzebnie — trafiają w sedno, nieraz tną ostro, by zaraz potem zrównoważyć, zwykle z nadwyżką, poprzednią ostrość życzliwą, nieoczekiwaną, zaskakującą puentą.

Na książkę składają się — jak informuje wydawca — „cztery opowiadania, cztery nowele i jeden epilog wytrwałej wędrówki ochotników pod narodowe znaki", z tego dwa pierwsze przypadają na okres służby pokojowej w kompanii szkolnej w 5 p. strz. podh., sześć na służbę w 3 baonie strzelców karpackich, a jeden na krótki, lecz ważny epizod węgierski.

Koszary — ten mikrokosmos wojska, znalazły w Bielatowiczu swego mistrzowskiego barda, który ze znawstwem przedmiotu opisał owe „siedem plag żołnierskich" (autor wyliczył ich więcej), nieodmiennie towarzyszących żołnierskiemu życiu w koszarach czasu pokoju. Te niezliczone „...aaaść" i „...cznij", podhalański krok na baczność („tylko cudem ziemia się nie rozstępuje"), czy pełzanie „klasycznym stylem", ćwiczenia z karabinem („na wołowej skórze nie spisać cyrków, jakie żołnierz musi wykonać z karabinem"), natarcia („... na pokrzywy, piechota podhalańska nie zna przeszkód"), marsze, nocne ćwiczenia, nawet śpiew — wszystko jest prawdziwe, odmalowane słowami oszczędnymi lecz tak dobranymi i ustawionymi, że zawsze wywołują zamierzone wrażenie. Bezsens wielu z tych zajęć jest oczywisty, ale u Bielatowicza nie przeradza się w gorycz, pisze o nich tkliwie, niemal z nostalgiczną sympatią.

„Trud żołnierza promieniuje we wszechświat dwojako: potem i wonią", więc sumienny kronikarz nie może odmówić sobie tej przyjemności, by nie przeprowadzić, pierwszego zapewne w naszej literaturze, „naukowej scjencji pełnego" wywodu na temat tych dwóch fizjologicznych zjawisk: „siódmych potów żołnierskich" („pot jest tak samo dla żołnierza potrzebny, jak powietrze") i „sfałszowanego powietrza" — Niemcy mówili „Arme Leute Geruch" — („gęstość odoru potęguje się przy kroku na baczność").

Węgry, mimo Cytadeli, Komarom, fogdy i pcheł, nie pozostawiły u

Bielatowicza urazu, który nie uszedłby uwadze czytelnika. Świadek i uczestnik wydarzeń — jego podpis widnieje na urzędowym protokóle opisanej przez niego rewizji w biurach Przedstawicielstwa W.P. w Budapeszcie, Bielatowicz ma o czym opowiadać. Sprawiedliwie odmierza barwy ciemne i jasne. Sympatia dla kraju i pamięć tego co Polacy zawdzięczają Węgrom, biorą górę. „Kiedyś w wolnej Polsce powinien stanąć pomnik regenta Horthy'ego, za to co zrobił dla Polski". Omawiając przed kilku laty „Kisbodak", ogłoszony po raz pierwszy w „Wiadomościach", napisałem w „Ku Wolnej Polsce", piśmie b. żołnierzy Samodzielnej Brygady Karpackiej, że nikt już chyba lepiej o tych sprawach nie napisze. Dziś mogę to powtórzyć.

W nowelkach i opowiadaniach z czasów S.B.S.K. próżno by szukać opisów bohaterstwa. Podobnie jak u innych poetów i pisarzy Brygady Karpackiej to słowo nie pojawia się nigdy, gdy piszą o żołnierzu Brygady. Patos ich pisarstwa leży w szczerości i realiźmie.

Bielatowicz jest patriotą karpackim, to jasne — każdy b. żołnierz Brygady nim jest — pisze więc o niej z sentymentem, którego nie ukrywa. Brygada była wojskiem zebranym „z całego świata" — nie dużo w tym powiedzeniu przesady — i w ciągu zaledwie dwu lat swego istnienia stworzyła nowy typ polskiego żołnierza i tradycję, która trwa wśród jej b. żołnierzy, bez względu na to dokąd ich los rzucił, do dzisiaj. Bielatowicz wyławia wśród nich postacie charakterystyczne i ukazuje je w proporcjach literackich, nie tuszując barwności i dosadności ich języka.

Epickim obrazem „ciągu" do Brygady rozpoczyna się opowiadanie pt. „Złote wrota". „Po piaskach egipskich łaziły krociami zgrabne żuki.. parła ta gawiedź przez piasek tam i sam... nie wiedzieć za czym... takich to skarabeuszy przypominali Polusi, prący przed siebie uparcie, na pałę... pod orzełki blaszane, od kiedy poszła wieść, że gdzieś na pustyni zbiera się wojsko polskie..." Jednym z takich żuków był Bielatowicz. Zaznawszy internowania, fogdy węgierskiej i pcheł „prysnął" ostatecznie przez druty i granice, by znaleźć się w Brygadzie Karpackiej. W przede dniu bitwy o Monte Cassino Bielatowicz rzuca „fotel" redakcyjny i w kwietniu 1944 zjawia się wśród nas. Nie ukrywa zadowolenia, że jeszcze zdążył „na czas". Można by za Paskiem powtórzyć, że „Było męstwo, było serca dosyć. Nie trzeba było w pierwszy szereg prosić". Oto i cały Bielatowicz. Ilu było takich?

„Opowiadania" są trzecią częścią trylogii, której pierwszą była „Książeczka" (1961), pokrywająca okres „dzieciństwa sielskiego anielskiego". „Gaude Mater Polonia (1964), urocza gawęda o latach „młodości górnej i chmurnej" spina te dwa okresy życia Bielatowicza.

Jeszcze szmat drogi przed Bielatowiczem — pisarzem. Czeka na swego kronikarza „wiek męski — wiek klęski". Oby dane mu było zamknąć ten cykl książką równie udaną, jak poprzednie.

Mieczysław MŁOTEK

Nadesłane nowości wydawnicze

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Jedność czy konflikty.* Str. 461. Przekład z angielskiego. (Wyd „Odnowa", Londyn, 1964, cena 43 F.).

FANFANI (Amintore). *Historia doktryn ekonomicznych od czasów starożytnych do XIX wieku.* Przeł. z włoskiego Antoni Czułowski. Str. 348. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1965, cena 43 F.).

Czwarty Pułk Piechoty 1806-1966. Wyboru materiału historycznego, pamiętnikarskiego i wspominarskiego dokonał, wstępem i notatkami biograficznymi zaopatrzył Aleksander IDZIK. Str. 572. (Wyd. Koło Czwartaków, Londyn).

Malewska (Hanna). *Apokryf rodzinny.* 288 i 4 nlb. (Wyd. „Znak, Kraków, 1965, cena zł. 40).

BROMKE (Adam). *Eastern Europe in a depolarized World.* Str. 26. (Wyd. Canadian Institute of International Affairs, Toronto, Ont., Maj 1965, cena 35 cent.).

DROSS (Armin). *Polnische Literatur in neuen deutschen Uebersetzungen.* Str. 18, Powielacz („Gesamteuropäisches Studienwerk E. V.), marzec, 1965, cena 0.70 DM).

JANTA (Alexander). *Early IX Century American-Polish Music* with annotated bibliography). Cz. 2. Str. 59-96. (Odbitka z „The Polish Review, New York).

WRONSKI (Henri). *Les réformes agraires dans le monde contemporain. Les pays collectivistes. Expérience polonaise.* Str. 8-16 et 95—98 (w „Développement & Civilisation" — No 22, Juin 1965, Paris).

MEHYK (Petro). *The Drawings.* 64 strony rysunków. (Wyd. Ukr. Artists Association in U.S.A. Branch of Philadelphia, Philadelphia, 1962).

Revue de l'Ecole Nationale des Langues Orientales. Structures des langues et des civilisations du monde contemporain. Vol. 2. Problèmes de vocabulaire. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Presses Universitaires de France, Paris 1965).

BROMKE (Adam). *The Communist States at the Crossroad betweer Moscow and Peking.* Wprowadzenie: Philip E. Mosely. (Ed. F.A. Praeger Publ., New York — Washington — London, 1965).

MOND (Georges). *L'Europe Orientale avec la Chine contre l'U. R. S.S.* Str. 487-499. (Odbitka z „Revue de l'Université d'Ottawa").

KSIĄŻKI BIAŁORUSKIE

BRAHA (Symon). *Doktar Skaryna u Maskwie.* Str. 32. (New-York-Muenchen, 1963).

Zapisy. Kniga 2. Pad red. dra St. Stankewicza. Str. 214. (Muenchen, 1963).

AKULA (Konstantyn). *Haravatka* Byeolrussian novel. Cz. I. *The Bird of Prey* (w jęz. białoruskim). Str. 180 i 4 nlb. (Wyd. Pahonya Publishers, Toronto, 1965.

KSIĄŻKI ROSYJSKIE

BOGDANOW (Leonid). *W storonie ot bolszoj dorogi.* Rasskaz. Str. 28. (Waszyngton, 1964).

FILIPPOW (Borys). *Stynuszczaja wiecznost'.* Stichi 1941-1963. Str. 16. (Waszyngton, 1964).

FORSZ (Olga). Sumasszedszij korabl. Powiest'. Str. 236. (Waszyngton, 1964).

Listy do Redakcji

Vancouver, B. C. dn. 7-go sierpnia 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Treść listu Pana E. Długoszewskiego z Londynu, ("Kultura", Nr 7 /213-8/214) choć bardzo logiczna i przekonywująca, prosi się o małe uzupełnienie. Można ewentualnie zgodzić się z tezą autora w stosunku do konieczności zorganizowania ogólno-polonijnej organizacji w wolnym swiecie, oraz jej wartościowych wpływów na młodzież.

Z drugiej strony jednak, trzeba przypomnieć iż organizacje czysto polonijne w świecie, mają swoje własne zadania do spełnienia. Z szeregów tych organizacji wychodzi też liczna młodzież, która choć pozostaje na rynku nauki i pracy angielskiej, to jednak we właściwej i potrzebnej chwili, przez swoje stosunki i wpływy w zawodzie czy na stanowisku naukowym, przychodzi chętnie z pomocą sprawie polskiej. A zazwyczaj w takich sprawach zwracają się do młodych organizacje polonijne czy kongres Polonii. Tak więc, wydaje się, iż choć konieczność wprowadzenia Polonii w życie kraju osiedlenia jest właściwa, to tym samym nie jesteśmy w stanie wykreślić osiągnięć prac organizacji polonijnych w świecie. Rzeczy te, uzupełniają się doskonale. Młodzież zajmuje nowe miejsca a przy odpowiednim nastawieniu organizacji polonijnych, przychodzi ona zawsze z chętną pomocą sprawie Polskiej. A to jest dzisiaj bardzo istotne.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Zenon BUCZEWSKI

◆

Londyn, 17 sierpnia 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę raz jeszcze skorzystać z Pana uprzejmości, prosząc o łaskawe wydrukowanie poniższego listu. Pragnę zawiadomić szeroki ogół Czytelników, że druk książki mojej pt. „Kulisy powstania styczniowego" jest na ukończeniu. Przedpłata, ogłoszona drogą listów do redakcji, wydrukowanych w polskiej prasie emigracyjnej, przyniosła jak dotąd 249 wpłat z czterech kontynentów i równowartość sumy 311 funtów (890 dolarów) co wprawdzie nie pokrywa jeszcze całości kosztu wydawnictwa, lecz stanowi już kwotę umożliwiającą dojście wydawnictwa do skutku. Do wszystkich przedpłacicieli pragnę tą drogą zwrócić się z serdecznym podziękowaniem za tę pomoc.

Przedpłatę po zniżonej cenie (25 szylingów wzgl. 4 dolary, 18 franków francuskich itd.) będę w dalszym ciągu przyjmował, o ile wysłana będzie

przed dniem 1 października, po tej dacie natomiast obowiązywać już będzie cena księgarska 37 i pół szylinga wzgl. 6 dolarów. Tylko jednak te nazwiska, które wpłyną natychmiast, zdążą być wydrukowane w spisie przedpłacicieli. Przedpłatę nadsyłać można pod moim adresem (16, Belmont Rd. London N. 15), lub pod adresami w innych krajach, podanymi w prospekcie który wysyłam na żądanie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Jędrzej GIERTYCH

◆

Ottawa, 31 lipca 1965

Wielce Szanowny Panie,

Aleksander Hertz w numerze za lipiec-sierpień 1965 na str. 12 zatrzymuje się nad tym, że w Stanach jedna piąta ludności jest uważana za „ubogą". Wyjaśnia znaczenie tej nalepki: „chodzi tu o życie poniżej przeciętnej amerykańskiej".

Wyjaśnienie Hertza jest omalże arytmetyczną niemożliwością. Gdyby tylko jedna piąta żyła poniżej przeciętnej, to cztery piąte znajdowałyby się powyżej przeciętnej. Dochody czterech piątych musiałyby być bardzo blisko przeciętnej, żeby przeciętna się tam utrzymała gdzie ją Hertz umieścił. W rzeczywistości większość żyje poniżej przeciętnej, bo dochody stosunkowo nielicznych otrzymywaczy dochodów wysokich są tak wysokie, że przyciągają przeciętną do siebie i wynoszą ją ponad większość ludności.

Sprawa to może zbyt złożona jak na dziennikarskie uproszczenia. Co powinno być oczywiste to to, że nie mogą wszyscy z poniżej przeciętnej dostać się do powyżej przeciętnej. Przy poprawie sytuacji dołów przeciętna ucieka w górę i połowa dalej zostaje poniżej.

Piszący te słowa służył kiedyś łagodnemu, jak się okazało, dyktatorowi i wytknął mu publicznie, że nie będzie w stanie dotrzymać obietnicy „wyborczej" wyrównania regionalnych różnic w standarcie życia. Po załatwianiu dziur najgorszych przeciętna się wzniesie i zepchnie poniżej siebie pewną ilość jednostek, które uprzednio były powyżej przeciętnej. Nowoczesne pędy egalitarne zrobiły z istnienia osób czy sytuacji poniżej przeciętnej coś wstydliwego (wstydliwego dla społeczeństwa!), a tymczasem jest to arytmetycznie naturalne i nieuniknione. — Połowa ludzkości jest mniej niż przeciętnego wzrostu i jakoś wytrzymuje bez zbytnich kompleksów niższości.

Oczywiście, grupy społeczne specjalnie upośledzone mogą wymagać pomocy, ale ta potrzeba musi powstać z założeń innych niż porównanie z przeciętną. Powoływanie się na przeciętną jest zapewne tylko jedną ze sprzeczności obecnego wieku (końca czy początku cywilizacji) lub po prostu brakiem logiki.

Z poważaniem

Karol KRÓTKI

◆

Odznaczenie gen. P. Szandruka orderem Virtuti Militari za jego czyny wojenne w Kampanii Wrześniowej 1939 roku wywołało gwałtowną kampanię

prasy PRL, prasy przez nią kontrolowanej, a nawet prasy sowieckiej. Kampania ta ma wszelkie cechy zorganizowania i jej powody są dla nas zupełnie jasne: problem ukraiński jest problemem Nr 1 dla Rosji i normalizacja stosunków polsko-ukraińskich jest przez nią widziana niechętnie. Ponieważ ta kampania nie spotkała się z żadną reakcją ze strony oficjalnych czynników emigracyjnych „Kultura" uważała za swój obowiązek wyjaśnić powody dla których gen. Szandruk otrzymał to wysokie odznaczenie i dać możność gen. Szandrukowi przedstawienia swojej działalności w okresie drugiej wojny światowej, po Kampanii Wrześniowej. To nasze stanowisko oraz wyjaśnienie gen. Szandruka spowodowały szereg listów do Redakcji. Niestety, z wyjątkiem listu, który drukujemy poniżej, wszystkie inne dotyczą zachowania się Ukraińców w stosunku do Polaków pod okupacją niemiecką, a nie działalności gen. Szandruka.

Stosunki polsko-ukraińskie od przeszło pięćdziesięciolecia obfitują w ponure karty, często krwawe. Specjalnie jeśli idzie o okres ostatniej wojny. Są to rzeczy mało znane, kontrowersyjne i zabarwione emocją całkowicie zrozumiałą, gdyż w wielu wypadkach są one tragediami przede wszystkim osobistymi — nie tylko narodowymi. Tych listów nie drukujemy, gdyż nie łączą się one bezpośrednio ze sprawą gen. Szandruka. Drukowanie ich w tej formie byłoby jedynie dalszym pogłębianiem antagonizmu polsko-ukraińskiego. A oto idzie zarówno Moskwie jak PZPR.

Niemniej, jeśli się naprawdę poważnie myśli o normalizacji stosunków polsko-ukraińskich, która dziś bardziej niż kiedykolwiek jest koniecznością historyczną obu narodów, jest już najwyższy czas, aby te sprawy zbadać z całą bezstronnością. Trzeba skończyć nareszcie z tą atmosferą, która zatruwa Europę Wschodnią. Redakcja „Kultury" przystępuje w najbliższym czasie do zainicjowania tego rodzaju prac badawczych, których poziom naukowy i obiektywizm nie będą budzić wątpliwości. O rozwoju tych prac będziemy systematycznie informowali na łamach „Kultury". Tymczasem zapraszamy wszystkich naszych Czytelników, zarówno polskich jak i ukraińskich, o nadsyłanie nam posiadanych materiałów, relacji, dokumentów oraz wykazu spraw wymagających wyświetlenia. Materiały te będą dla nas dużą pomocą. Jako pierwsze materiały traktujemy listy, które otrzymaliśmy w związku z artykułem gen. Szandruka od pp.: Marcela B., Kazimierza Bagińskiego, A. S. Orłowskiego, G. Słodkowskiego i J. Weisbacha.

REDAKTOR

◆

Montreal, 7 sierpnia 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od lat z zainteresowaniem obserwuję wysiłki „Kultury" dla doprowadzenia do wyrównania wzajemnych urazów między Polakami i Ukraińcami. Obawiam się jednak, że nie pomoże im przedrukowywanie bez komentarza takich stwierdzeń jak to, które ukazało się w artykule ukraińskiego generała Pawła Szandruka (*„Kultura"*, Nr 6/212) że „w roku 1944 musiała pójść na współpracę z Niemcami polska Brygada Świętokrzyska". Nie czuję się na siłach oceniać ukraińskiej racji stanu, która podyktowała taktykę Ukraińskiego Komitetu Narodowego, ani postawy w stosunku do Niemiec innych narodów uciemiężonych przez Rosję. Nie wiem czy to Ukraińcy w cudzysłowie czy bez, czy też przedstawiciele tych innych narodów, zamordowali w Warszawie przy ulicy Mianowskiego mego przyjaciela,

księdza Jana Salamuchę. Nie wiem kto z nich, w tejże Warszawie na Zieleniaku, gwałcił tysiące polskich kobiet i mordował ich mężów, synów i braci za byle odruch obrony. Nie wiem, bo w tym mniej więcej czasie dowodziłem oddziałem Brygady Świętokrzyskiej w bitwie koło wsi Cacowo nad Nidą.

Zostaliśmy zaatakowani przez kompanię niemieckich lotników z pobliskiego lotniska polowego w rejowskich Nagłowicach, w rewanżu za ostrzelanie niemieckiego motocykla, który nadjechał w momencie gdy nasze oddziały przekraczały szosę. Zabitych i rannych Niemców było około stu sześćdziesięciu. Strata dla Niemców była tak bolesna, że, jak nam doniósł nasz wywiad, dowódca lotniska powędrował do obozu koncentracyjnego za narażenie życia młodych pilotów, o których w tym momencie tak było Niemcom trudno.

Oddziały partyzanckie NSZ, poprzednio ZJ, z których powstała Brygada Świętokrzyska, przez cały czas swego istnienia od roku 1942-go, prowadziły akcję zabezpieczania terenu przed niebezpieczeństwami grożącymi ludności ze strony wszystkich wrogów. Likwidowały one Gestapo i jego informatorów, policję niemiecką, terroryzowały policję granatową, likwidowały bandy rabusiów, nieraz operujących pod płaszczykiem oddziałów partyzanckich. Zwalczały też komunę pod wszelkimi jej postaciami, bo nie było jej zadaniem w tym momencie walczenie z Niemcami lecz przygotowanie danych dla NKWD i Bezpieki dla rozprawy z Narodem Polskim po objęciu przez Rosję opieki nad Polską. Świadczyły o tym archiwa komunikacji radiowej rosyjskich zrzutków, które od czasu do czasu wpadały w nasze ręce.

Nie prowadziliśmy prywatnej wojny z armią niemiecką, jak nas do tego nawoływała radiostacja im. Kościuszki, bo na to nie mieliśmy dostatecznych sił i nie uważaliśmy żeby było w interesie Polski pomaganie jednemu z naszych wrogów przeciw drugiemu. Na tym punkcie nie zgadzaliśmy się ani z polskim Londynem ani z górą AK, która wykonywała zadania zlecone przez Anglików, może korzystne dla Anglii, ale za które drogo płaciło społeczeństwo polskie. Za wysadzony z rozkazu Londynu, most na Kamiennej, który Niemcy naprawili w niespełna 24 godziny, Niemcy powiesili na rynku w Ostrowcu mego przyjaciela inż. Radosława Kochlewskiego wraz z setką innych „zakładników". Dla nas ta cena była za wysoka. Ale nasz wywiad w Berlinie, dla którego likwidacji Niemcy utworzyli „Sonderkommando ZJ", przekazywał drogą przez AK do Londynu informacje istotne dla naszych aliantów zachodnich, jak na przykład ruchy niemieckich łodzi podwodnych.

Gdy nas atakowano w terenie, biliśmy, nie oglądając się na to, czy atakowało nas wojsko niemieckie czy inne formacje. Tak jak pod Cacowem. Czasem też poniósł nas temperament, jak pod Radomskiem, gdzie nie mogliśmy sobie odmówić przyjemności zabrania artylerzystom niemieckim jednej z ich armat. I urządzaliśmy zasadzki na transporty niemieckie, tak jak wtedy, gdy na szosie Częstochowa-Włoszczowa zdobyliśmy trzysta karabinków belgijskich z dużym zapasem amunicji. Większość naszej broni była zdobyta w krwawych walkach z Niemcami, choć zaczynaliśmy z przerdzewiałymi karabinami wykopanymi tam gdzie je zakopało wojsko polskie we wrześniu 1939 roku. I z amunicją w większości złożoną z niewypałów.

Brygada Świętokrzyska została stworzona jako jeden z elementów akcji zwanej planem „Z", planowanej przez ZJ, później NSZ, od dawna (przy nieoficjalnym udziale wyższych oficerów AK). Celem jej było objęcie w posiadanie Polski ziem zachodnich do Odry i Nysy Łużyckiej. Zadanie miało być wykonane przez trzy grupy operacyjne z centralnej Polski, przy współudziale zmobilizowanych w przejściu, naszych licznych placówek terenowych Wielkopolski, Śląska i Pomorza. Osiągnięcie tej granicy dla

Polski postawiliśmy sobie jako jeden z głównych naszych celów wojennych jeszcze wówczas, gdy Niemcy szli zwycięsko w głąb Rosji. Za wysunięcie tego celu zostaliśmy natychmiast potępieni przez wszystkie partie polityczne zgrupowane wokół Delegatury Rządu i przez górę AK. Uważali oni, że nasza zachłanność zrazi nam naszych potężnych sojuszników, którzy przecież gwarantowali naszą wolność, całość i niepodległość. Mimo to, hasło granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej zostało przyjęte entuzjastycznie przez społeczeństwo polskie i dziś już nie ma polskiego polityka, który by się nie poczuwał do ojcostwa tego celu wojennego Polski. Nawiasem mówiąc, czy nie jest to jedyny z polskich celów wojennych zrealizowany w pełni? Prawda, że został on zrealizowany z pomocą Rosji, która to nasze hasło podjęła zdając sobie sprawę z jego popularności wśród Polaków, by nam osłodzić zabór ziem wschodnich. Faktem jednak jest, że Polska w dzisiejszych granicach, nawet bez ziem wschodnich, ma dużo większe dane do pełni rozwoju, niż Polska w granicach sprzed września 1939 roku. A gdyby nie to, że NSZ hasło to podjęły, rzeczowo rozpracowały i wzbudziły dla niego entuzjazm społeczeństwa, nie zrobiłaby nam Rosja tego prezentu i terytorium Polski niewiele by się dziś różniło od terytorium księstwa Warszawskiego.

Za zorganizowanie rozpracowania tego zagadnienia w gronie fachowców i wydanie w konspiracji książki o polskich ziemiach zachodnich pt. „Szaniec Bolesławów", zapłacił życiem jeden z czołowych Polaków mego pokolenia, adw. Leszek Neyman, sądzony przez zbirów Bezpieki jako rzekomy zdrajca sprawy polskiej. Bo przecież cała zasługa odzyskania dla Polski granicy Bolesławów należała się Stalinowi a nie działaczom polskiego ONR i NSZ. Nawet jednak w warunkach komunistycznego terroru, ci spośród współpracowników i wychowawców Leszka Neymana którzy przeżyli, wzięli wybitny udział w zagospodarowaniu odzyskanych ziem piastowskich.

Może się komu podobać lub nie, sposób w jaki wyprowadziliśmy z Polski tysiąc młodych ludzi. Pozostawieni w kraju mieliby oni do wyboru albo męczeńską śmierć z rąk nowego okupanta albo pójście na jego służbę śladami Bolesława Piaseckiego. Każdy z tych ludzi był „spalony" i każdy z nich znał kontakty nasze z tymi, którzy pozostali w kraju, „nie-spaleni". Większość tych żołnierzy Brygady, którzy zdecydowali zostać lub później wrócili, zginęła z rąk Bezpieki. Nieliczni poszli na służbę, powodując dalsze bolesne straty. I nawet trudno ich potępiać nam, którzy nie znaleźliśmy się w zasięgu Bezpieki czy NKWD.

W momencie ruszenia frontu wschodniego, w styczniu 1945-go roku, stoczyliśmy, krwawą dla obu stron, bitwę z Niemcami w okolicy wsi Kępie w Miechowskim. Wykorzystując zamieszanie na tyłach niemieckich, przedostaliśmy się na Śląsk, gdzie pod Lublińcem oparliśmy się zbrojnie próbie rozbrojenia nas przez spadochroniarzy niemieckich. Oparliśmy się potem próbom wciągnięcia nas do walki z armią rosyjską w ramach frontu niemieckiego i doczekaliśmy się momentu, kiedy bałagan na tyłach i oczywistość nadchodzącej klęski spowodowały rezygnację Niemców z użycia nas w tej wojnie a skierowały ich wysiłki w kierunku wciągnięcia nas do, przygotowywanego na wypadek klęski, frontu młodej antykomunistycznej Europy. Udało im się zaangażować do tej akcji i Rosjan i Ukraińców i belgijskich Rexistów i francuską „Action Française" i rumuńską „Żelazną Gwardię" i Węgrów Horthy'ego i Jugosłowian Michajłowicza i przedstawicieli większości narodów Związku Radzieckiego. Chwalili się sukcesami w tej akcji i roztaczali przed nami kuszące perspektywy wolnej od komunizmu, zjednoczonej pod przewodem Niemiec Europy. Choć za odmowę mogli nas zniszczyć, na propozycje nie poszliśmy. Wykorzystaliśmy pierwszą nadarzającą się możliwość by zmylić ich czujność i śpiesznym marszem spod Brna przeszliśmy przez południowe Czechy pod Pilzno. Nasz patrol bojowy

pod dowództwem por. Skalskiego przedostał się przez linię frontu i nawiązał kontakt z amerykańskim piątym Korpusem. W uzgodnionej i z Amerykanami akcji uderzyliśmy na Niemców, uniemożliwiając im tym samym przygotowaną likwidację znajdującego się w pobliskim Holiszowie, obozu koncentracyjnego kobiet.

Szkoda że, przedrukowując artykuł ukraińskiego generała, który dowodził oddziałami ukraińskimi sprzymierzonymi z Niemcami i walczącymi przy ich boku, Redakcja „Kultury" nie uznała za stosowne przynajmniej zaopatrzyć znakiem zapytania jego określenia naszej działalności jako „współpracy" z Niemcami. Nikt nie potrafi wykazać, że w całej naszej wojennej działalności zrobiliśmy cokolwiek, co by było podyktowane czym innym, niż interesem polskim. Samym naszym istnieniem uniemożliwialiśmy innym czynnikom polskim podejmowanie nieodpowiedzialnych posunięć. Naszej niezależnej, nawet od naszych zachodnich aliantów, postawy obawiała się Delegatura Rządu i Dowództwo AK i dlatego, mimo najlepszych chęci z naszej strony, do zjednoczenia NSZ i AK nie doszło. Gdyby gen. Bór dotrzymał warunków podpisanej przez siebie, jako Dowódcę AK i, między innymi przeze mnie, jako przedstawiciela NSZ, umowy z dnia 7-go marca 1944 roku, nie byłoby Powstania Warszawskiego z jego rzezią setek tysięcy Polaków. I nie zostałaby zniszczona Warszawa, ten tradycyjny ośrodek oporu przeciw każdemu, kto usiłował narzucić swą wolę narodowi polskiemu. Umowa została podpisana, o ile wiem pod naciskiem z Londynu, ze z góry powziętym planem wprowadzenia wewnętrznych zamieszek, celem osłabienia spodziewanego oporu przeciw powstaniu.

Nie pierwszy to raz spotykam się z nieuzasadnionymi zarzutami, stawianymi w „Kulturze" przez różnych autorów, zarówno środowisku politycznemu ONR jak i jego wojennej postaci NSZ. Odpowiadaliśmy na nie czasem listami do Redakcji. Wielu autorów drukujących w „Kulturze" stosuje taktykę opatrywania, wyssanych z palca, lub wyczytanych w sprawozdaniach z procesów warszawskich, informacji o NSZ, określeniem typu „jak wiadomo". Podobnie jak, pisząc o naszym środowisku politycznym, stawia się z reguły znak równania między ONR i Falangą Piaseckiego. Tego samego Piaseckiego, który już w 1934 roku został z ONR wylany za swoje faszystowsko-hitlerowskie ciągoty. Tego samego Bolesława Piaseckiego, który w roku 1944-ym musiał rozpuścić pogłoskę o swojej śmierci w bitwie z Niemcami w czasie przemarszu na Białostocczyznę, by się uchronić od wykonania wyroku śmierci, wydanego prawie równocześnie przez NSZ i AK.

Od lat, czytając wzmianki o nas w „Kulturze", zgrzytam zębami na tego rodzaju taktykę. Szkalujcie, szkalujcie, zawsze coś z tego zostanie. Po tej stronie żelaznej kurtyny jest nas wielu ONR-owców, NSZ-etowców, żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. Nikt się do nas nigdy nie zwróci o fakty historyczne. Dużo łatwiej korzystać z informacji zdobytych drogą tortur przez Bezpiekę.

Łączę wyrazy poważania

W. M. MARCINKOWSKI

◆

Lipiec 1965.

Artykuł B. Brodzińskiego „Gospodarka Polska na Przełomie" wprawił mnie w podziw z dwóch powodów.

Jako nowemu emigrantowi z Polski zaimponowała mi po pierwsze ilość

wiadomości na temat stanu faktycznego kraju i umiejętne i obiektywne ujęcie tych wiadomości w doskonały artykuł ekonomiczny. Pod względem faktycznym nie wiele mógłbym dodać do tego artykułu.

Przedmiotem numer dwa mego podziwu jest sam cel tego artykułu. Wydaje mi się bowiem, że pisanie na te tematy na emigracji jest jałowe, nie ma bowiem możliwości przetransponowania tego na użytek kraju. Z punktu widzenia efektów w polityce gospodarczej kraju artykuł ten jest zupełnie bez wartości. Po prostu dlatego, że artykuł ten jest logiczny, a jak powszechnie wiadomo polityka gospodarcza komunistycznej Polski nie jest kierowana żadną logiką.

Zaraz po tzw. „Wielkim Październiku" sprowadzono z zagranicy Czesława Bobrowskiego, który wraz z Oskarem Lange tworzył Radę Ekonomiczną; jej celem było stworzenie naukowych podstaw dla polityki gospodarczej Polski. W owym czasie rozmawiałem parokrotnie z Bobrowskim. Wykazywał on tyle entuzjazmu, co artykuł Brodzińskiego. Ale już wtedy (lata 1957-58) widziałem, że sytuacja Polski jest katastrofalna i że nie pomoże nic ani Bobrowski ani Rada Ekonomiczna. Widziałem zasadniczy błąd w konstrukcji gospodarczej Polski, którego naprawa mogła nastąpić tylko w drodze gruntowanych zmian o charakterze ustrojowo politycznym. Jak wiemy Rada Gospodarcza od czterech lat nie była zwoływana, a jej opracowania są makulaturą. Rządzi doktryner Jędrychowski, człowiek najbardziej tępy, którego przemówienia gospodarcze to zwykły bełkot ekonomiczny.

Cel ekonomicznego planowania w państwie komunistycznym to pomoc w realizacji celów politycznych. Ileż sam zgłaszałem do centralnych organów państwa różnorakich propozycji, które miały przynieść korzyści dewizowe. Nikogo te korzyści nie interesowały. Każdy z moich przedmówców był przede wszystkim zainteresowany tym, ile ja na tym zarobię. Np. przedstawiłem projekt szczegółowo przygotowany do realizacji. Miałem produkować na eksport własne wyroby z tworzyw sztucznych, a państwo za samo tylko firmowanie mej produkcji otrzymywałoby 50% uzysku dewizowego brutto. Pozostałe dewizy byłyby w mojej dyspozycji i służyłyby do zakupu surowców. Oczywiście uznano mnie za rekina kapitalistycznego, projekt nie przeszedł, eksport nie odbył się, a państwo nie uzyskało żadnego dolara.

Drugi przykład. Przygotowałem bardzo trudną produkcję aerozolów, które wystawiłem na Targach Poznańskich. Miałem sporo zapytań od kontrahentów zagranicznych. Ale wkroczyły władze administracyjne, które zaczęły interpretować w sensie ograniczającym moje uprawnienia i wytoczyły przeciwko mnie dochodzenie. W ostatecznym wyniku o mały włos byłbym dostał się pod sąd a o takich drobnostkach jak eksport i bilans handlowy w ogóle zapomniano.

Mówiąc o prywatnym przemyśle w Polsce trzeba pamiętać, że egzystuje on jedynie na podstawach gangsterskich i że dopóki istnieje taki organ jak Komisja Cen, która ma wyłączne prawo do ustalania wszelkich cen, dopóty próby przestawienia gospodarki na właściwy tor będą bezowocne. Działalność tej Komisji jest na wskroś biurokratyczna. Wypracowano jeden generalny szablon kalkulacyjny dla wszystkich artykułów i tzw. rzeczoznawca sprawdza (czyli obcina) kalkulacje przedstawione do zatwierdzenia. Powstaje tysiące absurdalnych sytuacji. Dla ilustracji znów przykład z praktyki. Kiedyś Komisja ustaliła cenę na importowany (w kraju dotychczas nie ma własnej produkcji) polyetylen wysokociśnieniowy na 90 zł za kg. oraz na polyetylen niskociśnieniowy na 80 zł, tak się bowiem wtedy kształtował stosunek tych cen na rynku międzynarodowym. W międzyczasie nastąpiły takie zmiany w technologii, że cena polyetylenu wysokociśnieniowego (produkt angielski) spadła na rynkach międzynarodowych czterokrot-

nie, a niskociśnieniowego (produkt niemiecki) dwukrotnie. Oczywiście centrale importowe muszą przestrzegać, aby kupowano artykuły po cenach dewizowych najniższych. W takiej sytuacji urzędnik centrali dostaje zamówienie z firmy krajowej na polyetylen niskociśnieniowy, a więc na produkt dwa razy droższy i sprowadzany z kraju z którym bilans handlowy jest niekorzystny. Wprawdzie w tym konkretnym wypadku polyetylen wysokociśnieniowy nadaje się lepiej do produkcji, ale firma związana jest przepisem Komisji Planowania Gospodarczego, który głosi, że w razie możności stosowania różnych surowców należy stosować surowiec tańszy. Miarodajna jest oczywiście cena ustalona przez Komisję Cen, według której polyetylen wysokociśnieniowy jest ciągle droższy od niskociśnieniowego. Urzędnik z centrali, który zauważył nielogiczność tej sytuacji i próbował działać w tej sprawie został pouczony aby nie zajmował się nie swoimi sprawami i został karnie przeniesiony do innego działu. Państwo zaś nadal sprowadzało towar dwa razy droższy. Nie jest to sprawa wyjątkowa, takich spraw są tysiące, a całe życie gospodarcze kraju komunistycznego to stawianie wszystkiego na głowie.

Aby zrozumieć na czym polega handel w Polsce wystarczy zapoznać się z obowiązkami kierownika sklepu. Do obowiązków tych nie należą ani duże obroty ani zysk ani — broń Boże — obsłużenie klienta. Handel to nic innego tylko wykonywanie przepisów, których jest ogromna mnogość. Każda kontrola, a tych jest mnóstwo, to badanie czy przepisy zostały zachowane. A jakież to przepisy! To wypociny chorych umysłów, które za wszelką cenę chcą ratować ustrój i przez to kompromitują go jeszcze bardziej.

Dlatego sądzę, że dyskusja ludzi rozsądnych pozostanie bez żadnego echa, absolutnie bez żadnego skutku.

W. N.

◆

Londyn, dn. 20 lipca, 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako członek Komitetu Organizacyjnego Konferencji Ekonomicznej w Sprawach Krajowych w Londynie (czerwiec, 1964) i Komitetu Redakcyjnego „Dylematów Gospodarki Polskiej" (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1965), książki, będącej sprawozdaniem z tej konferencji, pozwalam sobie sprostować niektóre nieścisłości w notatce p. Bohdana Brodzińskiego pt. „Książki ekonomiczne" („Kultura" Nr 7/213 — 8/214, 1965).

1. Nie jest zgodne z prawdą twierdzenie autora notatki, że dopiero „w czasie obrad zmieniono nazwę imprezy z 'Konferencji Ekonomistów' na 'Konferencję Ekonomiczną' "; natomiast prawdą jest, że już na I plenarnym posiedzeniu Komitetu Organizacyjnego Konferencji w dniu 9 stycznia 1964 r. została przyjęta nazwa „Konferencji Ekonomicznej w Sprawach Krajowych".

2. Autor notatki pisze, że omówiona przezeń książka „nie kompromituje emigracji", a jest to — jego zdaniem — w dużym stopniu „zasługą komitetu redakcyjnego", dodaje zaś, że „niewiele jednak brakowało a stałoby się inaczej". Komitet Redakcyjny „Dylematów" w żadnym stopniu nie zmienił treści Konferencji: zamieścił zagajenie p. Adama Ciołkosza, Pre-

zesa Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, instytucji która była inicjatorką Konferencji, 13 wygłoszonych na niej referatów, oraz dyskusję nad referatami. Konia z rzędem temu, kto potrafi zrozumieć złośliwą uwagę p. Brodzińskiego, że „cały incydent" (jaki? — St. J. P.) świadczy o słabości kierownictwa emigracyjnego w Londynie, o zgubnej ingerencji czynników politycznych w sferę naukową". Jako b. sekretarz zarówno Komitetu Organizacyjnego Konferencji jak i b. członek Komitetu Redakcyjnego „Dylematów" niech mi wolno będzie stwierdzić, że żadna ingerencja „czynników politycznych w sferę naukową" nie miała miejsca w stosunku do obu tych instytucji.

Wyssane zaś z palca jest twierdzenie p. Brodzińskiego, że „politykom emigracyjnym wydaje się, że ich misją dziejową jest urobienie emigracji na modłę owego psa Pawłowa; jak się powie 'Polska Ludowa', to pies ma szczekać". Autor uspokaja, nie bez słuszności zresztą, czytelników „Kultury", że „odwieczna mądrość zawarta w (tym) przysłowiu mówi, że pies, który szczeka, nie gryzie".

3. Dziwi w notatce p. Brodzińskiego, że ani jednym słowem nie napomknął, że był uczestnikiem Konferencji i jednym z trzynastu referentów, który w okresie przygotowawczym do niej nie czynił zastrzeżeń, że Konferencja zainicjowana w ostatnich dniach grudnia, 1963 r. odbyła się w pierwszych dniach czerwca, 1964 r., co dopiero *post factum* organizatorom Konferencji wytyka.

Czytelnikom „Dylematów Gospodarki Polskiej" (nie zaś notatki p. Brodzińskiego) pozostawiamy ocenę, czy krótki okres prac przygotowawczo-organizacyjnych, bo nie opracowanie referatów, które, jak sam p. Brodziński przyznaje, było powierzone „fachowcom od poszczególnych dziedzin", rzeczywiście zaciążyło na poziomie Konferencji.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

St. J. PAPROCKI

◆

Houston 29 lipca 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Kultury" za miesiąc lipiec-sierpień przeczytałem, jak zwykle z ciekawością, artykuł p. Mieroszewskiego pt, „Zjednoczenie Niemiec" i Europy a Polska". Żyjąc od lat w Stanach nieraz słyszałem wyrażenie *sell down the river*, ale nigdy *sell over the river* jak to p. Mieroszewski napisał w powyższym artykule.

Wydaje mi się, że sama koncepcja potencjalnej osi Niemcy-Chiny jak przedtem oś Niemcy-Japonia opiera się na ekspansjoniźmie obu narodów. Ten fakt wyklucza zjednoczenie Niemiec jako cel polityki i Rosji i Ameryki jak długo Niemcy nie wyzbędą się dążeń ekspansji za Odrę i Nysę. Podział Niemiec jest najlepszą gwarancją przeciw utworzeniu osi Niemcy-Chiny — gwarancją równie ważną dla Rosji jak i dla Ameryki.

Nie rozumiem opinii p. Mieroszewskiego w sprawie „kontroli" Ameryki nad Niemcami. W jednym miejscu artykułu pisze on, że obecnie Niemcy Zachodnie mogą się rozczarować „zjednoczeniową polityką" Zachodu i mimo „kontroli" Ameryki zacząć współpracę z Chinami Czerwonymi.

W innym miejscu tegoż artykułu wyrażone jest przekonanie, że „kontrola" Ameryki nad Niemcami zjednoczonymi między Renem a Odrą byłaby wystarczającą, by uniemożliwić współpracę polityczną i gospodarczą Niemców z Chinami.

Wydaje mi się, że dążność do ekspansji terytorialnej Niemców jest elementem kluczowym. Jak długo taka dążność istnieje tak długo Niemcy jako państwo będą tym niebezpieczniejsze i trudniejsze do kontrolowania im więcej ludzi i terenów będzie w granicach jednego państwa niemieckiego.

Póki Niemcy nie uznają granicy na Odrze i Nysie i nie porzucą żądań granicy na Niemnie (jak to proponują władze NRF), tak długo zjednoczenie Niemiec pozostanie marzeniem ściętej głowy.

Proszę o umieszczenie tego listu w miesięczniku Panów.

Łączę wyrazy poważania

Iwo C. POGONOWSKI

◆

Londyn, 20 lipca 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja Bohdana Brodzińskiego z książki „Dylematy gospodarki polskiej" *(Kultura*, nr 7-8 z 1956 r.) składa się głównie z nieporozumień. Gdybym chciał wszystko prostować, pewno nie zamieściłby Pan listu. Piszę więc tylko *pro domo mea* — tytułem przykładu.

Autor obszedł się ze mną stosunkowo łagodnie. Obciąża mnie dość osobliwym zarzutem „emigracyjnej poprawności". O ile rozumiem z kontekstu, ma to znaczyć, że wyrażane poglądy przystosowuję do stanowiska politycznego kierownictwa emigracji. Porównanie mego referatu o ustroju rolnym w PRL z książką Andrzeja Korbońskiego „Politics of Socialist Agriculture in Poland 1945-1960" (co źle oddaje tłumaczenie B. Brodzińskiego: „o Politycznych Zagadnieniach Rolnictwa w Polsce, 1945-1960") „wykazuje charakterystyczne różnice między uwarunkowanymi refleksami emigranta a postawą niezależnego badacza". Można i tak, ale w takim razie po co Recenzent przypisuje mi tuż przedtem „wiedzę" i „obiektywizm"? Dla wykonywania odruchów uwarunkowanych potrzeba tyle właśnie wiedzy, ile jej miały pieski Pawłowa, a cóż to za obiektywizm, przeciwstawny postawie niezależnego badacza?

Pierwszym moim grzechem jest pominięcie strajków chłopskich 1937 r., które Korboński rzekomo zalicza do najważniejszych wydarzeń 20-lecia. Tego wprawdzie Korboński nie pisze, ale pisze na str. 8, zgodnie z rzeczywistością, że tłem strajków był kryzys gospodarczy i że stanowiły one głównie *(mainly)* protest wobec niekorzystnego dla rolnictwa układu cen. To zarazem wyjaśnia, dlaczego on o tym pisał, a ja nie. Jego książka ma za temat politykę rolniczą, a sporo uwagi poświęca także polityce w ogóle, ja zaś pisałem o ustroju rolnym. Gdy ponadto Korboński mógł okresowi niepodległości poświęcić 32 str., ja zaś — niespełna 3 str., nie mogłem się zajmować niczym, co nie było konieczne do oświetlenia powojennych przemian agrarnych. Wszak nie pisałem także o tak ważnych wydarzeniach jak przewrót majowy lub wielki kryzys gospodarczy, co może nie byłoby sprzeczne z „emigracyjną poprawnością". Za to obecny prezes Egzekutywy

Zjednoczenia Narodowego pisał przed kilku laty o przedwojennych strajkach rolnych dużo ostrzej niż to czyni A. Korboński.

Zarzut następny, to że nie napisałem, iż rządy ówczesne wyzyskały argument niemożności pełnej naprawy ustroju „jako pretekst do połowicznego załatwienia sprawy reformy", co jakoby wykazuje Korboński. W rzeczywistości pisze on na ten temat tyle: „Te warunki jednak nie usprawiedliwiają ograniczonego charakteru reformy" (str. 30). Ja zaś pisałem, że efekt reformy byłby większy, gdyby ją wykonano szybciej i lepiej. Wspomniałem też, że na charakterze kompromisu zaważyła konserwatywna większość w Sejmie. Czyżby truizm Korbońskiego wymagał większej niezależności myśli od tych moich truizmów?

Wreszcie, nie napisałem, że hamulcem rozwoju była „postawa klasy rządzącej czyli inteligencji". Tu Recenzent jest nareszcie w zgodzie z tym co napisał Korboński. Ja zaś tego nie napisałem i nie napiszę, po prostu dlatego, że nie podzielam poglądu, jakoby inteligencja polska stanowiła jakąś zwartą i antychłopską potęgę, której zrozumienie ma wyjaśniać wiele trudnych zagadnień. Obie ustawy Polski niepodległej o reformie rolnej są dziełem Sejmu, a druga z nich (1925) przypada na okres pełnego sejmowładztwa. „Inteligenci" reprezentowali w Sejmie interesy stronnictw z grubsza odpowiadających wówczas grupom społecznym. Wpływ grup ludowych był ogromny. Korboński stwierdza *explicite*, że oparciem projektu ustawy z 28 grudnia 1925 r., obowiązującej bez większych zmian aż do wojny, chociaż nie w pełni wykonywanej w czasie kryzysu, był słynny pakt lanckoroński z 1923 r. (str. 28). Pakt ten dał większość w Sejmie sojuszowi nacjonalistów z partią ludową „Piast", a ster władzy — Wincentemu Witosowi. Pozostanie bardziej radykalnych grup ludowych w opozycji nie zmienia faktu, że Witos słabo się nadaje na symbol inteligencji antychłopskiej. A co to wszystko ma wspólnego z „emigracyjną poprawnością" i „postawą niezależnego badacza"?

Ideału obiektywizmu nie osiągniemy. Ale możemy się wystrzegać poddawania się wpływom ubocznym, jak i obsesji węszenia tych wpływów, gdzie brak do tego wszelkich podstaw. Ta propozycja dotyczy tak autorów jak i recenzentów.

Z poważaniem

Józef PONIATOWSKI

◆

Ottawa, 25 czerwca, 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Notatniku nieśpiesznego przechodnia", umieszczonym w *Kulturze* Nr 6 (212) na str. 22, uderzyło mnie zdanie: „opowieść„ której nie ma w żadnym znanym mi zbiorze anegdot i opowiadań ludowych".

Otóż odpowiednikiem, świetnego zresztą opowiadania, „Kadi" jest utwór „Powiest o Szemiakinom sudie". Był on szeroko rozpowszechniony w Rosji, a co dziwniejsze, istnieje nawet (chyba mylna?) opinia, doszukująca się źródła tego satyrycznego opowiadania u... naszego Reja z Nagłowic.

Treść „Kadi" i „Opowieść o sądzie Szemiaki" jest bardzo podobna. Pewne drobne różnice wynikają głównie z przeniesienia akcji na teren Rosji 17-go wieku.

Bohaterem rosyjskiej wersji jest chłop, stający przed sądem sędziego-łapownika. Zamiast osła jest naturalnie koń, którego sędzia przysądził oskarżonemu aż do czasu odrośnięcia urwanego ogona.

Dziecko zostaje zabite w kołysce na skutek upadku chłopa z pieca, za co, w celu spłodzenia innego, sprawcy przyznano żonę poszkodowanego na czas nieograniczony.

Bohater skacze nie z minaretu, ale z mostu, z tym samym zresztą skutkiem. Syn przypadkowo zabitego otrzymuje prawo na wyrównanie rachunków z przestępcą w identyczny sposób.

Zresztą bliższe o tym szczegóły można znaleźć w książce: N.K. Gudzij, Istorija Driewniej Russkoj Litieratury, Moskwa, 1956, str. 413-416.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Irena SŁOWIKOWSKA

◆

Trenton. 7. 7. 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr 6/212 (1965) „Kultury", w recenzji Profesora M.K Dziewanowskiego o mojej książce „Arms of Valor", są pewne nieścisłości o sprostowanie których, przez umieszczenie we „Kulturze" niniejszego listu, uprzejmie proszę.

A więc:

— w r. 1919 byłem dowódcą 9. pułku strzelców w randze pułkownika; w r. 1920 byłem dowódcą 7. brygady strzelców, w obu wypadkach w 3. Dywizji Strzelców Żelaznych, pod dowództwem generała O. Udowiczenka;

— Jako liniowy dowódca nie mogłem być bliskim współpracownikiem Głównego Atamana Symona Petlury; w języku potocznym za bliskich współpracowników Prezydenta i Naczelnego Wodza uważa się ministrów oraz Sztab Generalny.

— Nie brałem udziału w „Wyprawie Kijowskiej", gdyż w tym czasie nasza Dywizja walczyła na froncie Jampol — Wapniarka, obok 18. DP Polskiej, generała Krajowskiego.

Z poważaniem

P. SZANDRUK

◆

Do Redaktora „Kultury"

W bilansie naszych czterdziestoletnich stosunków finansowych, jestem na pewno — i to na 90 % — dłużnikiem Stasia Mackiewicza. W formie honorariów za artykuły, zaproszeń, zapomóg w chwilach ciężkich — a któryż POLSKI dziennikarz tych kryzysów finansowych nie liczy na kopy? — zainkasowałem od Stasia wielokrotnie, stokrotnie więcej, niż kiedykolwiek mu wpłaciłem. A jednak w ciągu tych czterdziestu lat trzy razy postarałem się Mackiewiczowi te olbrzymie długi wdzięczności spłacić, choć zawsze chodziło o sumy tak skromne, tak mizerne, że raczej symboliczne. Po raz pierwszy wsparłem Mackiewicza symbolicznymi przesyłkami w marcu 1939 r. Przebywałem wówczas na Riwierze, i tam dotarła do mnie nieprawdopobna wiadomość o wsadzeniu Mackiewicza do Berezy przez satrapów sanacyjnych, Sławoja i Grabowskiego. Już wówczas chodziło o tę samą „zbrod-

nię", o którą Mackiewicz jest oskarżony dzisiaj: o „zbrodnię" niedostatecznego ukochania, podlizywania się, płaszczenia się przed kliką rządzącą, kliką policjantów i denuncjantów. Już wówczas chodziło o to, że klika u władzy chciała za wszelką cenę zakneblować usta, a jeżeli by się udało zaszczuć i zdeptać najbardziej nieustraszonego, najbardziej odważnego polskiego publicystę, walczącego jak lew w obronie wolności prasy i wolności słowa. Już wówczas Mackiewicz był — po umilknięciu wielkich piór Estreichera i Matuszewskiego, Adama Krzyżanowskiego i Strońskiego — najwybitniejszym polskim publicystą, i tę rangę zachował on po dziś dzień. Ale bezecne postępowanie Sławoja i Grabowskiego spotkało się w ówczesnej Polsce z oburzeniem CAŁEJ opinii: wileńskie „Słowo" dzień w dzień drukowało całe szpalty protestów i wyrazów oburzenia; tylko nieliczne złajdaczone jednostki, zachowywały lokajskie milczenie. Wówczas to właśnie wysłałem Stasiowi pierwszy mój grosz wdowi, jako znak, że w tej potrzebie solidaryzuję się z nim.

Niestety, już w pół roku później miałem okazję bardziej istotnego okazania mu wiernej przyjaźni. Na początku wojny byłem w Londynie: Mackiewicz musiał szukać schronienia na Litwie. Nie było dnia, bym nie odwiedzał naszej ambasady w Londynie, by nie piłować w sprawie wizy angielskiej dla Mackiewicza, nerwowo oczekującego możliwości wyjazdu z Kowna. Oczywiście, to „piłowanie" było zupełnie niepotrzebne: ambasadorem w Londynie był wówczas *a perfect gentleman*, Edward Raczyński, i on sam pilnował tej sprawy, jakby chodziło o kogoś mu najbliższego.

Po raz drugi starałem się pomóc Mackiewiczowi, gdy na skutek zaszczucia przez organ Kirkiena i jego „naczelnego publicystę" znalazł się on w latach pięćdziesiątych w skrajnej nędzy w Londynie. Pracowałem wówczas w „Voice of America" w Monachium, i z moich skromnych poborów starałem się utrzymać przyjaciela. Niestety, to zadanie okazało się ponad moje siły. Ale nie tylko skrajna nędza zmusiła Mackiewicza do powrotu do kraju. Jeszcze bardziej dolegał mu brak trybuny, z której by mógł bronić tez mu drogich, a przede wszystkim wolności słowa, wolności prasy. Ku wiecznej hańbie naszej emigracji, kilka nicości, nie umiejących nawet pisać poprawnie po polsku, pisywało wówczas, jak zresztą i dzisiaj, co dzień durackie artykulasy, bezczelne kobyły, a wielkie pióro Stanisława Mackiewicza było skazane na milczenie.

Mimo tego gdym się dowiadział w roku ubiegłym, że po „proteście 34" Stanisław Mackiewicz, tym razem już stary i ciężko chory, stał się znowu ofiarą terroru rządu czynionego, postarałem się najpierw sam o potem z kilkoma przyjaciółmi, w miarę możności ulżyć jego losowi. Prawda, moje wysyłki były skromne, śmieszne, i w dodatku, ponieważ przesyłane przez PKO a więc po oficjalnym kursie w połowie czy w większej części skradzione przez reżym. Alem chciał znowu złożyć jakiś hołd, choć skromny, nieustraszonemu bojownikowi o wolność prasy, o wolność człowieka, a także jedynemu publicyście polskiemu z talentem, z pazurem, który i dziś jeszcze mógłby porwać cały kraj, gdyby nie był ofiarą najnikczemniejszej cenzury, cenzury wydawców, redaktorów, cenzorów oficjalnych, policjantów, prokuratorów, ofiarą wszystkich nacisków i wszystkich Ciemnogrodów.

Te skromne sumy wynosiły przeciętnie siedemnaście funtów sterlingów i 10 sh.

Gdym spotykał Mackiewicza w czasie jego krótkich pobytów na Zachodzie, namawiałem go stale i zawsze na pozostanie zagranicą. Mackiewicz stale i kategorycznie odmawiał; zawsze mówił, że nic swej decyzji nie żałuje, że sto razy lepiej się czuje w kraju, niż na najbardziej złotym wygnaniu. Mógłbym teraz mieć *Schadenfreude*, mówić: „a widzisz? Kto miał rację? Wszystkiego czegoś się doczekał za Twój patriotyzm, za Twoją tęsknotę do kraju, to aktu oskarżenia, to szykan i gróźb, to połajanek i szturchańców,

na które nie możesz nawet odpowiadać! Nie tylko nie masz w Polsce trybuny, ale jeszcze różni szubrawcy, dawne stupajki Bieruta i Berii, szargają Twe dobre imię, przy aplauzach pseudo-dziennikarzy, z których 90 % wyszło z kursów NKWD".

Ale zamiast tej *Schadenfreude* odczuwam tylko żal, i tylko wstyd. Żal tak wielkiego pióra, zmuszonego do milczenia przez najniższą hołotę policyjną i prowokatorską. Żal Polski, że zawsze jej pisarze, jej rzecznicy, jej myśliciele, padają ofiarą *proizwołu* policjantów i prokuratorów.

I dlatego cokolwiek będzie stwierdzał prokurator Kosztirko — w miarę swych więcej niż skromnych możliwości będę się starał Mackiewiczowi pomagać.

W. A. ZBYSZEWSKI

◆

Brisbane, 4. 8 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

1. Przypuszczam, że Pan zechce zrewidować swe ostre zarządzenia o kurtyzowaniu listów. Są to otwarte usta opinii. Długość listu — wnoszę — „Kultura" przedłuży, gdy autor porusza sprawy różne na jednym papierze.

2. Jeśli mnogość listów i wodnistość treści narażają „Kulturę" na koszta papieru i druku, w przekonaniu Pańskim, że nic ciekawego nie wnoszą, proponuję, by chcący się wygadać opłacali swe epistoły (istnieją gargantuiczne gaduły np. ober-nudziarz na jubileuszu gen. M. Kukiela — „Wiadomości" Nr 1002). Australijskie spory tasiemcowe, pokrywające wiele stron, *credo* spowodowały Pańską decyzję. Nikt ze znajomych tego nie czyta.

3. Sprawa dochodzeń p. Cz. Dobka. Ta pożyteczna praca spełznie na niczym, gdy nie nastąpi akcja zwykła w normalnie funkcjonujących społeczeństwacy. Nie wdając się w śliskie rozważania, czy nasza struktura jest normalna, widzę konieczność działania (nie mówienia!) Rady Trzech. Niewyliczanie się z pieniędzy publicznych z jednej strony (przy chowaniu głowy i funduszu w piasek Charity Act i zawiłości prawa angielskiego), a bierność leaderów emigracyjnych z drugiej strony przedłuża kryzys zaufania. Nie posiadamy w charakterze narodowym odwagi cywilnej. Od góry w dół. Na górze przymyka się oczy i zatyka nos, na dole obrzuca się epitetami „złodziei" i dodaje „wszyscy oni tacy".

Rada Trzech. Najwyższy przełożony b. wielu z nas, gen. Anders, nie wahałby się z oddaniem pod sąd w wojsku podobnej gospodarki pieniężnej. Pan ambasador Raczyński zgodnie z linią swego rodu wolałby z własnej (dawniej!) kiesy złotem wyminąć brudne zaułki.

Przejąwszy zaszczyty (względne!) urzędu Prezydenta R. P., mając w pamięci przysięgę (art. 19. ust. 1. Ust. Konst.), „względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawieliwością", „zło odwracać" Rada Trzech winna powołać Sąd Obywatelski, nakazać dochodzenie, określić rozsądny ale krótki termin od rozpoczęcia urzędowania do wydania wyroku i w ten sposób oczyścić powietrze polskiego Londynu, którego fetor prasa *(vox populi)* aż przez oceany przenosi.

W Radzie Trzech zasiada Generalny Inspektor (anomalia prawna emigracji) w charakterze władzy nadrzędnej nad społeczeństwem i wojskiem (konia z rzędem temu, kto te czynniki teraz rozdzieli). W tym obszerniejszym charakterze swego stanowiska, proszę by się nie czuł dotknięty niniejszym listem. Piszę jak obywatel, nie mający zamiaru rezygnować ze swoich, jakże ograniczonych, uprawnień.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

St. ŻOCHOWSKI

W związku z listem p. Zbigniewa Jasińskiego, zamieszczonym w czerwcowym numerze „Kultury", Redakcja otrzymała obszerne wyjaśnienia ze strony *Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Związku Dziennikarzy R.P. Syndykat Australia i od p. Ryszarda Krygiera.* Ponieważ listy te nie wnoszą nic nowego do poprzednich oświadczeń wymienionych osób i organizacji, nie zamieszczamy ich w „Kulturze". Zamykając polemikę wywołaną przez artykuł p. Jasińskiego uważaliśmy za właściwe dać następnie p. Jasińskiemu możliwość odpowiedzi na postawione mu zarzuty, jak również zamieścić listy pp. H. Dutkiewicza i G. Cieśniewskiego, występujących w jego obronie. Na tym kończy się rola „Kultury". Kontynuowanie dyskusji czy ostateczne wyjaśnienie wzajemnych oskarżeń należy do polskiej prasy w Australii, która jak dotąd sprawą tą nie zajmowała się.

REDAKTOR

NAJTAŃSZA WYSYŁKA DO POLSKI
z magazynów tranzytowych

Towary wszelkich krajów po cenach eksportowych kraju produkcji. Przykład: płaszcze włoskie (ortalion) 4,96 dol, papierosy (np. Chesterfield) paczka 0,13 dol, czekolada w tabl. 1 kg 1, 20 dol.
Ceny z portem i asekuracją pełnej wartości.

PIENIĄDZE WYSŁANE W TOWARZE
1 dolar = 180, — zł
Gotówkę przekazujemy po najwyższym kursie.

"POLTEMA"
Anvers, 11 Gen. Belliardstr. tel 333009.

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e trimestre 1965

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **T. Konopacki,** 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio, tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; **Polish Amer, Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Co,** Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski,** 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik,** 131, Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXVI

CZESŁAW MIŁOSZ

GUCIO ZACZAROWANY

Nowy tom wierszy Czesława Miłosza świadczący o stałym rozwoju poety. Uderza w tym zbiorze — ułożonym w formie suity poetyckiej — skupiony spokój i rozległość wizji. Prostota i zwięzłość wyrazu idą tu w parze ze złożoną problematyką filozoficzną. Przyroda brzegów Pacyfiku nasyca te wiersze wnosząc nowe motywy do polskiej poezji. Włączone w tom adaptacje Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa tematycznie uzupełniają całość.

Str. 56 — Cena 7 F. (10/-; $ 1,50)

◆

TOM CXVII — Seria «Zeszyty Historyczne»

ZESZYT ÓSMY

sierpień 1965

zawiera m. in. prace

F. Kalinowskiego: *Polskość Battle of Britain*
T. Katelbacha: *Akt pierwszy dramatu* (dok.)
K. Bagińskiego: *Cenzura w Polsce*
J. Paszkowskiego: *Wybuch drugiego Powstania Śląskiego*
P. Wandycza: *Nieznane listy Petlury do Piłsudskiego*

oraz działy

DOKUMENTY — POLEMIKI — KSIĄŻKI — LISTY DO REDAKCJI

Str. 240 — Cena egz. F. 15 (22sh; $ 3)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F